MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 07–08 (188–189) Lipiec–Sierpień 2020

Kraków nieodkryty

Venus odkryta

Jerzy Pilch nieznany

1920: Wojna z bolszewikami po krakowsku

9 771733 045002 07

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Wstąp do Klubu **nie wychodząc z domu.**

KLUB
PRZYJACIÓŁ
MIESIĘCZNIKA
KRAKÓW

ZOSTAŃ PRZYJACIELEM KULTURY
- a otrzymasz niezwykłą grafikę Daniela Mroza -

Jeśli wpłacisz **1000** złotych, nie tylko zamieścimy w piśmie logotyp Twojej firmy lub instytucji i będziesz otrzymywał upominki związane z pismem, ale dostaniesz też unikalną grafikę Daniela Mroza*
I oczywiście przez cały rok będziemy ci wysyłać miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej.
GORĄCO ZAPRASZAMY!

Wpłat – z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA” – prosimy dokonywać na konto:

BIBLIOTEKA KRAKÓW
pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:
www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakładka:
Klub Przyjaciół „Krakowa”
email: **redakcja@Biblioteka.Krakow.pl**

* jedna z przykładowych grafik – za zgodą właścicielki praw: Łucji Mróz-Raynoch

„Kraków”
– kultura na wyciągnięcie ręki

Zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK

Współpraca:

MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

Zbigniew Pronaszko (1885–1958), *Akt formistyczny*, 1917, technika / materiał: olej, płótno, wymiary: 113 x 65, oznaczenie autorskie: Sygn. p.g.: z. pronaszko

To jeden z najważniejszych obrazów w twórczości artysty, realizujący większość postulatów teoretyków formizmu, w tym samego Pronaszki. Temat obrazu ma służyć przedstawieniu ruchu i rytmu, przedmiotowość motywu jest tu jedynie pretekstem. Ukazana wśród kotar i fragmentów architektury kobieta została zatrzymana w ruchu jakby przez błysk lampy fotograficznej. Pronaszko wykorzystał tu, zgodnie z postulatami formizmu, swoją wiedzę na temat osiągnięć kubizmu analitycznego. Przedstawienie jest rozbite na formy geometryczne, ale jednocześnie zwarte konstrukcyjnie. Spaja je dodatkowo koloryt sprowadzony do subtelnej gry odcieni dwóch zaledwie barw: szarości i złamanego różu. Dzieło poprzedzone było wieloma szkicami tuszem i ołówkiem. Jeden z nich Pronaszko umieścił na okładce wersji katalogu I Wystawy Ekspresjonistów Polskich (1917). Według tego samego schematu kompozycyjnego stworzył niezachowaną do dzisiaj rzeźbę, przedstawiającą modelkę z podniesioną ręką.
(Muzeum Narodowe w Krakowie)

A o tym, jak na kobietę patrzy się zza obiektywu, pisze w eseju otwierającym ten numer „Krakowa" znakomity fotografik Andrzej Pilichowski-Ragno.

Lato, miłość i aparat

Tekst: Andrzej Pilichowski-Ragno

Cóż wiesz o pięknem?
... Kształtem jest miłości.
C.K. Norwid

Doniosłe to i mądre słowa – lecz, jak wiadomo – kształt kształtowi nierówny (szczególnie jeśli chodzi o miłość i o pewien rodzaj kształtów). I to, broń Boże, nie żeby jeden gorszy, a drugi lepszy, albo – co straszniejsze jeszcze – jeden jak wzorzec metra w Sèvres, nieskalany defektem, a inny jakiś taki niesewrowaty! Co to, to nie! Idźmy z duchem czasów – wszystkie kształty są piękne!

Choć, jakby pochylić się nad problemem, to niby wszystkie, ale gdzieś tam, głęboko w mrocznych zakamarkach duszy (nie wiedzieć czemu, szczególnie latem) trochę jednak nie wszystkie. Oczywiście mowa tu nie o duszy czystej jak pieśń i jasnej jak słońca promienie. Mowa o czymś zgoła przeciwnym – o duszy (a właściwe jej mizernych resztkach) człowieka zajmującego się zawodowo fotografią. Potwór ten, zazwyczaj mimo pozornie nieodstającego od normy wyglądu, to zakała naszego pięknego ludzkiego gatunku. Przypatrzmy się trochę dokładniej tej odrażającej postaci.

Kto myślał, że fotograf to taki zawód, w którym, po pierwsze, nic się nie robi, po drugie – jak już się robi, to wyłącznie w towarzystwie młodych i pięknych dam, po trzecie – coś tam wprawdzie się robi, ale przyjemna to praca – bo bez żadnych moralnych dylematów, jest jak dziecko we mgle.

Film, blisko z fotografią w końcu związany, rozpracował tego gagatka doskonale. Weźmy chociażby takiego L.B. „Jeffa" Jefferiesa z *Okna na podwórze* Hitchcocka. Typ ten, mimo że obdarzony miłością jednej z najpiękniejszych kobiet srebrnego ekranu – Grace Kelly, nie przestaje oglądać się za gołymi babami, a czyni to w najgorszy z możliwych sposobów – podglądając przez lornetkę i teleobiektyw sąsiadki z naprzeciwka. Można przypuszczać, że gdyby nie jego złamana noga, na podglądaniu by się nie skończyło. O krok dalej poszedł inny obrzydliwiec z aparatem – fotograf Thomas z *Powiększenia* Antonioniego, który nie dość, że zamiast (jak obiecał) zrobić sesję dwóm niewinnym dziewczętom, niecnie je zdeprawował, to jeszcze zrobił to niedługo po tym, jak beznamiętnie uwiecznił na kliszy otchłanie ludzkiej nędzy, wdzierając się w przebraniu do przytułku dla ubogich. Albo protoplasta całego gatunku wykolejeńców – paparazzo ze *Słodkiego życia* Felliniego, typ człowieka, który prędzej sobie łeb urwie, niż odpuści kompromitujące i skandalizujące zdjęcie znanej postaci z wyższych sfer.

Przykłady można mnożyć, lecz jako żywo trudno będzie znaleźć wśród nich postacie pokroju św. Franciszka. To raczej parada ponurych typów, ludzi bez zasad, erotomanów i podstępnych lubieżników, żądnych sensacji. I pomyśleć, że za tą całą menażerią stoi niewinny przedmiot, ot, powiedzielibyśmy dzisiaj – błahostka, zabawka: aparat fotograficzny. Co jest straszliwego w tym pozornie nijakim urządzeniu, że wyzwala w ludziach takie emocje, żądze i popędy? Otóż, nie bójmy się tego słowa, aparat jest patriarchalny. Już widzę oczami wyobraźni zaparskane ekrany/kartki papieru przez mniej refleksyjnych czytelników.

Otóż, drogie panie i panowie, to nie żart – aparat fotograficzny jest patriarchalny, gdyż:

– wynaleźli go faceci,

– faceci często tym urządzeniem fotografowali kobiety,

– fotografowali je często na golasa,

– fotografowali je na golasa, żeby się nimi zachwycać,

– jak nie na golasa, to też żeby się zachwycać,

– co gorsza, część kobiet też zaczęła fotografować kobiety, żeby się nimi zachwycano, czyli powieliła brzydki stereotyp,

– co najgorsze, część kobiet zaczęła fotografować siebie w taki sposób, żeby się zachwycali nimi faceci,

– co potrójnie najgorsze, część kobiet, żeby nie powielać brzydkich stereotypów, zaczęła fotografować siebie, ale w taki sposób, żeby się nimi nie zachwycali faceci, ale inne kobiety, wiedząc, że i tak chodzi oto, żeby faceci się zachwycali, tylko trochę czym innym niż normalnie się zachwycają (proszę sobie wpisać w Google „sad selfie" albo „feminist selfie" i – dla odważnych – przeczytać parę felietonów, w których co bardziej krewkie panie radzą innym paniom, jak poprawnie ideologicznie korzystać z aparatu).

Sytuacja jest więc raczej beznadziejna. Wprawdzie podejmowano próby wyjścia z kryzysu – na przykład pan Robert Mapplethorpe fotografował gołych facetów, żeby się

nimi zachwycano, a pan fotograf Peter Freed uwiecznił tysiące pań bez makijażu i upiększeń w postprodukcji, ale oni i paru może jeszcze innych to jednak kropla w morzu.

Skazani jesteśmy na porażkę – fotografia jest patriarchalna. Żarty żartami, krytyka feministyczna krytyką feministyczną – można lubić lub nie, a jak ktoś nie wierzy, polecam dogłębną lekturę postów na amatorskich i nieamatorskich (*sic!*) forach internetowych, poświęconych fotografii modelek. Oto parę przykładów. Najczęstszym typem postu, występującym w nieskończonej liczbie wariantów, jest twierdzenie natury estetycznej. Oto mamy jedną z najwyżej punktowanych fotografii na forum, z komentarzami typu: „Fota kicha, ale modelka rewela" – w tłumaczeniu: fotografia bez żadnych walorów estetycznych, natomiast pani pozująca bardzo ładna (najczęściej jest to rodzaj fotografii, w których stosunek procentowy odzieży do samej modelki wynosi 0 do 100).

Co robić? Po której stronie się opowiedzieć? Wybrać punkt widzenia wrednego macho, porzucić sztukę? A może odwrotnie? Z jednej strony patriarchalne oko łypie zachęcająco, a z drugiej ukryty w każdym z nas wrażliwy fotograf esteta cierpi katusze. Wybór beznadziejny, przypominający znany filozoficzny dylemat wagonika. Jednak, gdy już wajcha zaczyna przechylać się w stronę samczej (czyli zerowej) wrażliwości, natykamy się na drugi w kolejności typ komentarzy krytycznych, mianowicie uwagi anatomiczno-wyrównawcze. Pojawiają się więc stwierdzenia typu: „W sumie wporzo, tylko te fałdy to bym wyczesał" (tłumaczenie: niezłe, usunąłbym w Photoshopie widoczne efekty nadwagi). Albo: „Co ona ma na twarzy!!?" (tłumaczenie: skóra niewystarczająco wygładzona, nie przypomina budyniu waniliowego). Tego już za wiele! – mówimy sobie – jak tak można traktować kobietę! I gdy już z obrzydzeniem chcemy przejść dalej, ten złośliwy patriarchalno-fotograficzny gnom taką oto nam myśl podsuwa: zaraz, zaraz, no, ale rzeczywiście, cholera, lepiej by to troszkę wyglądało, gdyby tu przesunąć, tam podnieść, a tu ciut zamazać. No i zaczyna się wiadomy cyrk – walka światłego humanisty z dominacyjno-patriarchalną opresyjnością fotografii.

Co jednak najbardziej tragiczne, same zainteresowane nie są tu bez winy – no bo zastanówmy się: w jakiej sytuacji znajduje się fotograf, który po udanej, wedle siebie, sesji, przy omawianiu zdjęć z modelką napotyka ten dziwny, uporczywy wzrok, ten niemy krzyk, te wewnętrzne spazmy, kiedy całe ciało w niewyrażonym słowami paroksyzmie zdaje się mówić: „A nie dałoby się tak ze trzy kilo mniej? I te parę pryszczy?". I znowu – co robić? Narazić się na zarzut przynależności do gorszej kategorii rodzaju ludzkiego, traktującej płeć piękną przedmiotowo, promującej fałszywe standardy i obsesję piękna, nierozumiejącej, że tymi paroma kliknięciami myszką w programie graficznym niszczy dokonania całych pokoleń sufrażystek? Czy może ulitować się nad zbłąkaną duszyczką, poprawić to i owo, sprawić, by poczuła się piękna i atrakcyjna oraz (po cichu) liczyć na to, że siostry i tak jej kiedyś wytłumaczą, jak bardzo zbłądziła, i przekonają ją, że albo brak pryszczy i tych dwóch, trzech kilogramów albo słuszna walka o równość i lepsze jutro.

W jakiej sytuacji znajduje się fotograf, który po udanej, wedle siebie, sesji przy omawianiu zdjęć z modelką napotyka ten dziwny, uporczywy wzrok, ten niemy krzyk, te wewnętrzne spazmy, kiedy całe ciało w niewyrażonym słowami paroksyzmie zdaje się mówić: „A nie dałoby się tak ze trzy kilo mniej? I te parę pryszczy?".

Kto więc myślał, że fotograf to taki zawód, w którym, po pierwsze, nic się nie robi, po drugie – jak już się robi, to wyłącznie w towarzystwie młodych i pięknych dam, po trzecie – coś tam wprawdzie się robi, ale przyjemna to praca – bo bez żadnych moralnych dylematów, jest jak dziecko we mgle.

Fotograf to postać tragiczna – dryfująca po burzliwych wodach między Scyllą patriarchalizmu a Charybdą feminizmu. Trudno się więc dziwić, że często pojawia się pokusa, aby pójść za częstą radą wspomnianych wyżej bywalców fotograficznych forów, udzielaną w ramach dezaprobaty wobec prezentowanych zdjęć: „Sprzedaj puszkę i szklarnię i nie zamulaj walla". W tłumaczeniu: znajdź sobie jakąś inną uczciwą pracę.

Andrzej Pilichowski-Ragno – artysta fotografik, ilustrator. Urodził się w Rzymie. Mieszka i pracuje w Krakowie. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, z którym związał się po studiach na wiele lat jako wykładowca w Katedrze Teorii Literatury. Studiował także fotografię pod kierunkiem profesora Zbigniewa Łagockiego w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jest członkiem rzeczywistym Związku Polskich Artystów Fotografików. Ma za sobą wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych, między innymi w Warszawie, Rzymie, Paryżu i Tokio. Jest laureatem licznych nagród, wyróżnień oraz międzynarodowych stypendiów artystycznych, takich jak wiedeńskie X-change Culture Science Competition i I nagroda w konkursie „Świat przyjazny dziecku" w Warszawie.

TEMAT MIESIĄCA: KRAKÓW. NIEODKRYTY

W dniach, gdy Rynek był pusty, jakby wymarły, jakby z epoki postapokaliptycznej, budząc uczucia lekko niepokojące, by nie rzec – duszne, wtedy właśnie zachwycił mnie urokiem przestrzeni. Idąc z wolna opustoszałymi uliczkami (OK, w maseczce), dostrzegałem piękno nieodkrytego. Ten nowy czas – paradoksalnie – pozwolił, by Kraków nas oszołomił tak, jak bujna wiosna zachwyca po szarej zimie. (...) Kraków nieodkryty? Na pewno. Zróbmy wszystko, aby w wakacje poczuć nasze miasta inaczej. Żeby się nimi zachwycić. Pełniej je odkryć. W Krakowie może to będzie wycieczka do Tyńca? A może spacer ulicą Szeroką na Kazimierzu? Przeżycie lęku w krypcie z mumiami u oo. Reformatów? Pocałujmy więc ukochaną osobę pod najpiękniejszym drzewem miasta. Zjedzmy lody z córką w historycznej kawiarni. Raz jeszcze odwiedźmy muzeum z wnukiem.

Mapa starych drzew Adam Zagajewski s. 8
Magiczne miejsca s. 20
Warownia na tynieckiej skale Krzysztof Jakubowski s. 25
Miejsce, które mnie straszy Ewa Lipska s. 29
Ulica Szeroka Krzysztof Jakubowski s. 31
Wypalony pałac Krzysztof Jakubowski s. 64

JERZY PILCH. POŻEGNANIE

Pilchu Witold Bereś, Krzysztof Burnetko s. 7
Pilch po naszemu s. 30, 46, 63, 77, 84, 86
Pisać trzeba spod jaj Jerzy Pilch/Witold Bereś s. 51
Nie chcieliśmy lepiej Kinga Strzelecka-Pilch s. 96

KRAKÓW MÓWI

Gdzie jest Maria Jaremianka? Agnieszka Dauksza/Janusz M. Paluch s. 70
Obrazy jak planety Agnieszka Dauksza s. 73

ESEJ

Lato, miłość i aparat Andrzej Pilichowski-Ragno, S. s. 1

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Jasna strona „Venus” Krzysztof Jakubowski s. 12
Piękny Pies przetrwał zarazę Maciej Piotr Prus/Majka Lisińska-Kozioł s. 34
Kronika kulturalna s. 87 i 89
Krakowski łącznik s. 90
Kraków (Główny) s. 91
Linia A–B s. 92

REKOMENDACJE:

Jesteśmy wielcy, czyli mali Witold Bereś s. 19
Czekając na teatr Jakub Wydrzyński s. 57

PORTRETY

Portrety 2020 (lipiec-sierpień) s. 33

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: lipiec–sierpień 1920 Krzysztof Jakubowski s. 59

TEATR

Przesuwanie ostatniej kropki Paweł Głowacki s. 66

FILM

Wakacje nad morzem Maria Malatyńska s. 74
To nasz Dom Łukasz Maciejewski s. 78

LITERATURA

Odpowiedzialność za małego czytelnika – Nagroda Żółtej Ciżemki 2020 Marta Gruszecka s. 27
Światoodczucie Zofia Zarębianka/Elżbieta Wojnarowska s. 41

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka s. 85
Moja Krakowska Książka Miesiąca Janusz M. Paluch s. 88

GALERIA „KRAKOWA”

Piotr Lutyński Magda Huzarska-Szumiec s. 48

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 5
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 11
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
POZA KRAKOWEM... Magdalena Miśka-Jackowska s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83

OKŁADKA

Rzygacze na Sukiennicach fot. Elżbieta Marchewka / za wiedzą i zgodą Urzędu Miasta Krakowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Gdy patrzę na nasz kraj, na świat, to zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie należy uważać, aby wirusa nie zarazić człowiekiem...

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Rys. Piotr Błachut

Fot. Danuta Węgiel

Jerzy Pilch (1952–2020)

Odszedł wielki Pisarz i nasz Autor.

Swój ostatni felieton na łamach miesięcznika „Kraków” zaczął zdaniem „Nie wiem, czy kiedy to czytacie, jest już »po wszystkim«”.

Drogi Jerzy: Nie, nie jest po wszystkim. Wraz z Twym odejściem prawdziwy ból dopiero nadszedł.

Redakcja „Krakowa”

Pilchu

Tekst: Witold Bereś i Krzysztof Burnetko **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Jerzy był z nami i przy nas prawie całe nasze dorosłe życie.

Najmocniej rzecz jasna w ostatnim wielkim „Tygodniku Powszechnym" – tym z Jerzym Turowiczem, Krzysztofem Kozłowskim i Józefą Hennelową. On w swoim boksie, absurdalnie wymyślonym i wybudowanym w starej redakcji przez krojczych nowych czasów. A my w swoim pokoiku, zwanym kanciapą Dzikich. Co tydzień na zebraniu u Szefa. Ale najczęściej pewnie na Płycie (w lecie w każdym razie), czyli w którymś z kawiarnianych ogródków na Rynku – w Zwisie albo w Bambusach, jak na zdjęciu powyższym, wspominkowym i tkliwym, gdzie siedzą sobie Stanisław Balbus, Marian Stala, Paweł Głowacki, współautor tego tekstu Krzysztof B. i On – Pilchu.

Ta nasza znajomość, by nie rzec – przyjaźń, trwały do końca jego dni. To zresztą, że na naszą prośbę zgodził się pisać felietony do miesięcznika „Kraków", było rzecz jasna i zaszczytem dla nas, ale i – przyznajmy – dowodem jego do nas przywiązania.

Dziś Go nie ma.

Ale jego fraza, jego książki, jego słowa – tak jak zawsze towarzyszyły, tak towarzyszą i towarzyszyć będą nam już zawsze. Ta o potrzebie zażegnania fenomenu obojętności świata. O marzeniu spotkania drugiej, pasującej połówki. I o tym, że chwila rozpinania bluzki na czyichś stromych piersiach jest jedyną chwilą w życiu bez strachu przed śmiercią.

Pozornie zajmował Pilcha temat jeden najmocniej: picie i alkohol stały się u niego wątkami-kluczami. Pozornie jest i drugi wielki temat – kobiety.

Ale przecież to wielka niesprawiedliwość i uproszczenie.

Bo jego prawdziwie wielką sprawą jest Polska, a w zasadzie Polacy. W tym nadwiślański katolicyzm. A także polscy politycy, celebryci, literaci, a i sportowcy.

Te słowa pisać nam tyleż łatwo, ile trudno. Żeby nie popadać w egzaltację i postmortalną poprawność: w czasie wspólnych lat wypiliśmy wszakże co nieco z Jerzym Pilchem. Żołądkowa gorzka, soplica i whisky, brandy albańskie i bułgarskie, koniaki, piwo nawet. Wszystko i cokolwiek.

Tak, trudno uwierzyć, ale z tego picia wiele wynieśliśmy dobrego i mądrego.

Jesteśmy Ci, Jerzy, za to zwyczajnie wdzięczni.

Adam Zagajewski: Mapa starych drzew

Notowała Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Stworzyłem sobie w Krakowie coś w rodzaju mapy drzew, które lubię odwiedzać. Robię to zwłaszcza wiosną, kiedy budzą się po zimowym odpoczynku, ale też w innych porach roku, by móc patrzeć, jak się zmieniają.

Moim ulubionym drzewem jest ogromny miłorząb, który rośnie pod kościołem Franciszkanów. Znajduje się on od strony najpiękniejszego witraża Stanisława Wyspiańskiego, czyli *Boga Ojca*. Kiedy tam przechodzę, wyobrażam sobie rozmowy między witrażem a drzewem. Te ich nieme dialogi muszą być niezwykle interesujące. Wsłuchując się w nie, można doznać satysfakcji estetycznej związanej zarówno z dziełem sztuki, jak i z dziełem natury. Urodę tego miejsca dopełnia pomnik kardynała Adama Sapiehy dłuta Augusta Zamoyskiego, a wszystkie te elementy składają się na wyjątkowy trójkąt artystyczno-naturalny.

Od niego jest już całkiem blisko na Planty. Tam, naprzeciwko filharmonii rośnie gigantyczny platan. Trudno go dostrzec, gdyż ukrywa się wśród innych drzew. Mimo że jest nieco zamaskowany, doskonale czuje się w tym miejscu. To drzewo stanowi dużą rzadkość w Krakowie. Mamy tylko kilka platanów. Drugi tak samo piękny jak ten na Plantach rośnie w Ogrodzie Strzeleckim, od strony ulicy Lubicz. Gdy już się tam jest, wystarczy przejść na drugą stronę, by dotrzeć do Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pandemia uniemożliwiła mi wybranie się do niego wiosną. Znalazłem się w nim z pewnym opóźnieniem, gdy tylko został otwarty.

Już samo przejście ulicą Kopernika, odkąd opróżniono znajdujące się przy niej szpitale, wprowadza w dziwny nastrój. Wydaje mi się, że stojące tam puste, zabytkowe budynki odczuwają ulgę, iż nie ma już w ich murach tych wszystkich potwornych, ludzkich cierpień. Ulica Kopernika jakby chciała wspomnienie o nich odreagować. Jest tam zielono, kosy śpiewają jak szalone, a nogi same prowadzą do ogrodu botanicznego. A w nim rośnie dąb jagielloński, który ma podobno 250 lat. Jest absolutnie majestatyczny. To jedyne tak stare i wielkie drzewo w tym miejscu. Pamiętam, że kiedy Czesław Miłosz przyjechał do Krakowa, zapytał mnie, co ciekawego można tu robić? Poleciłem mu właśnie spacer do tego dębu.

Często odwiedzam też stary wiąz, który rośne w ogrodzie domu Józefa Mehoffera przy Krupniczej. Można mu się przyjrzeć, kiedy usiądzie się w tamtejszej kawiarni. Stanowi on absolutnie geometryczne centrum tego ogrodu. Myślę, że musiał zostać posadzony za czasów, kiedy w tym domu mieszkał malarz. A może on sam go sadził? Jednak ten piękny wiąz mnie martwi. Coś złego się z nim dzieje. Mam nadzieję, że to tylko przejściowe problemy, bo nie chciałbym stracić jednego z ważnych punktów na mapie moich spacerów.

> Witraż Wyspiańskiego a miłorząb. Wyobrażam sobie te ich rozmowy. Te nieme dialogi muszą być niezwykle interesujące.

*

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym cyklu będą nagradzane książkami miesięcznika „Kraków”.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Miasto nieodkryte. Kraków

Tekst: Witold Bereś

W dniach, gdy Rynek był pusty, jakby wymarły, jakby z epoki postapokaliptycznej, budząc uczucia lekko niepokojące, by nie rzec – duszne, wtedy właśnie zachwycił mnie urokiem przestrzeni. Idąc z wolna opustoszałymi uliczkami (OK, w maseczce), dostrzegałem piękno nieodkrytego. Ten nowy czas – paradoksalnie – pozwolił, by Kraków nas oszołomił tak, jak bujna wiosna zachwyca po szarej zimie.

Sukces Krakowa (i wszystkich większych miast w Polsce) jest widoczny gołym okiem. Tu jest nie tylko zamożność i spokój, ale przede wszystkim – perspektywy. Rozwoju ducha, przedsiębiorczości, kultury. To miejsca, gdzie trudniej pozyskać ciemnych, rzekomo skrzywdzonych wyborców wszelakich populistów. Może dlatego Miasto w oczach niektórych zamienia się we wrogi obóz: robią więc wszystko, aby miasta w oczach publiki zamienić w Demona.

Zapraszamy: zrób sobie *selfie* w jednym z miejsc opisywanych przez nas w cyklu „Kraków. Nieodkryty", zamieść na swoim portalu społecznościowym i wyślij link do nas, do redakcji, a dostaniesz jedną z książek autorów związanych z naszym pismem.

I wyskakują w telewizji rządowej krasnoludki sprzyjające władzy i stawiają tezy wspierające marzenia populistów: oto rzekomo miasta nie przygotowały się do pandemii, w wyniku błędów znalazły się na skraju ekonomicznej przepaści, zadłużyły, że ho-ho, i teraz skamlą do rządu o pomoc.

Niektórzy podłapują te tezy i widzą tylko kłopoty miast.

Jasne – z pandemią wszyscy mają pod górkę. Miasta też. Z jednej strony spadek dochodów (z podatków, opłat, czynszów, z biletów). Z drugiej – większe wydatki (koszty walki z zagrożeniem zdrowia, ale też wsparcie przedsiębiorców). Nic więc dziwnego, w normalnym systemie politycznym rząd starałby się miasta wspierać, iść im na rękę, a „poluzowanie rygorów finansowych" przez władze nie byłoby żadną łaską, tylko patriotyczną powinnością. Ale w normalnym systemie politycznym władze nie żyłyby obsesją zarżnięcia miast z powodów ideologicznych.

Nie musimy się tej narracji poddawać. Nie musimy nakręcać histerii, bo to stan, który się roznosi jak pandemia. Tym bardziej że miasta są silne i stabilne, i oby wszyscy mieli tak wysokie oceny agencji ratingowych jak choćby Kraków.

Chyba że komuś zależy na tym, żeby po sędziach, lekarzach, nauczycielach, na listę wrogów publicznych wpisać również samorządowców?

*

Kraków nieodkryty? Na pewno. Tak jak i wiele innych naszych miast. Zróbmy wszystko, aby w dobie zamkniętych granic, w wakacje poczuć nasze miasta inaczej. Żeby się nimi zachwycić. Wsłuchać w nie. Pełniej je odkryć.

W Krakowie może to będzie wycieczka do Tyńca? A może spacer ulicą Szeroką na Kazimierzu? Przeżycie lęku w krypcie z mumiami u oo. reformatów?

Pocałujmy więc ukochaną osobę pod najpiękniejszym drzewem miasta. Zjedzmy lody z córką w historycznej kawiarni. Raz jeszcze odwiedźmy muzeum z wnukiem.

To jest nasz obywatelski trybut we wsparcie miast. Dlatego miesięcznik chętnie włącza się w akcje społeczne „Bądź turystą w swoim mieście" oraz #zwiedzajKrakow w ramach kampanii „Kraków nieodkryty". Tu chodzi o sprawę prostą: wspieranie szeroko pojętej turystyki. Żeby mieszkańcy i turyści odważyli się korzystać z oferty miejskich knajpek, firm, muzeów. Aby później zostawali naszymi ambasadorami – bo to dzięki nim Kraków cieszy się opinią miasta otwartego. Na http://www.krakow.travel/wyczytacie mnóstwo szczegółów: są i rabaty, i ulgi, i zachęty.

Wiemy, że będą się do tych działań przyłączały miasta kolejne. A my jako redakcja od siebie dodajemy jeszcze jedną akcję: „Nie pytaj, co daje Ci kultura. Zapytaj, co Ty możesz dla kultury zrobić. »KRAKÓW« wspiera kulturę".

W ramach akcji będziemy nieodpłatnie promować cenne inicjatywy i wydawnictwa kulturalne. I namawiamy: róbcie sobie *selfie* w jednym z miejsc opisywanych przez nas w cyklu „Kraków. Nieodkryty", umieszczajcie na swoim portalu społecznościowym i wysyłajcie linki do nas, do redakcji. W nagrodę – jedna z książek autorów związanych z naszym pismem!

*

Wydawać by się mogło, że pandemia to dla rozwoju miast przeszkoda nie do pokonania. Że tu nastąpi załamanie.

A jednak – nie. Miasta nadal są nadzieją Polski.

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Polska i prawo po krakowsku

Tekst: Krzysztof Burnetko

Aby wyjść ze stanu „rozwibrowania prawa", trzeba najpierw odsunąć od władzy sprawców tego zamieszania.

Nazywam się Włodzimierz Wróbel, jestem sędzią w Izbie Karnej, równocześnie wykładam prawo karne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wiem, że oglądają mnie też moi studenci. W czasie pandemii zamiast normalnych wykładów rozmawialiśmy przez internet o prawie i teraz moi seminarzyści: Andrzej, Kuba, Monika, Mikołaj słuchają na Facebooku, co tutaj się dzieje" – tak Włodek Wróbel (mogę pozwolić sobie na poufałość, bo znamy się ze studiów, a i w latach późniejszych jako dziennikarz mogłem korzystać z jego prawniczej wiedzy) zaczął swoje wystąpienie przed sędziami Zgromadzenia Ogólnego Sędziów Sądu Najwyższego, kiedy to ważyła się sprawa wyboru prezesa tego kluczowego dla polskiego wymiaru sprawiedliwości, ale i rodzimej wolności (ocena ważności wyborów!) organu.

Ta, utrzymana w tyleż poważnym, co błyskotliwym stylu mowa już weszła do historii polskich zmagań o utrzymanie demokracji i państwa prawa.

Przypominał dalej sędzia Wróbel, że „każda władza, obojętnie jakiej jest barwy, ma ogromną chrapkę na sądy". Po czym dał precyzyjny wykład zasad demokracji konstytucyjnej: trójpodziału władz, ich równowagi i kontroli, gwarancji niezależności sądów i niezawisłości sędziów oraz znaczenia przestrzegania w państwie ustalonych wcześniej procedur, choćby wyglądało to na zbędny formalizm.

Ale może najwięcej do myślenia dało odwołanie się przez prof. Wróbla do pytania, które zadał mu niedawno jeden z jego seminarzystów z UJ: „Czy jest sens być sędzią w tym kraju?". Prof. Wróbel ciągnął retorycznie: „Chcielibyście kiedyś usłyszeć takie zdanie od studenta prawa, młodego człowieka?". Dodał tylko dla porządku: „Przecież wiadomo, że do takiego sądu, który zostanie przejęty przez polityków, nikt nie będzie miał zaufania". I zauważył, że przed budynkiem Sądu Najwyższego policja właśnie legitymuje i nęka obywateli, którzy domagają się wolnych sądów.

A Mikołajowi odpowiedział publicznie: „Mikołaj, nie rezygnuj, nie rezygnuj z bycia sędzią, z bycia prawnikiem, bo to jest taki zawód, w którym trzeba walczyć o innych. W jaki sposób? Walczyć o wspólnotę, walczyć o państwo. Tak jak prawo, prawnicy mają też kręgosłup i w pewnym momencie on się odgina".

Przytaczam tę – tyleż pouczającą, co zwyczajnie wzruszającą – scenę z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że stała się ona symbolem powrotu na krajową scenę państwowo-polityczną krakowskiej szkoły prawa. Tak, może zabrzmi to patetycznie, ale chodzi o tradycje sięgające Pawła Włodkowica, od 1414 roku rektora Akademii Krakowskiej – co najważniejsze – wielkiego propagatora tolerancji w państwie. Wtedy tyczyła pogan i innowierców, dziś może tyczyć choćby ludzi LGBT. Nie bez powodu nagroda Rzecznika Praw Obywatelskich dla tych, którzy wbrew woli większości bronią praw i wolności, nosi miano Pawła Włodkowica. Chodzi też, znowu tylko przykładowo, o twórców klasycznej szkoły polskiego prawa okresu międzywojnia – Edmunda Krzymuskiego, a potem Władysława Woltera. Czy wreszcie o powołane w Krakowie w 1981 roku Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności", w ramach którego eksperci (głównie z UJ) mieli opracować społeczne projekty ustaw reformujących system prawa w Polsce. A całkiem ostatnio o zainicjowane właśnie przez prof. Wróbla internetowe dyskusje o obecnym stanie praworządności toczone na otwartych Zebraniach Naukowych Katedry Prawa Karnego UJ (czasem wspólnie, co znamienne, z Katedrą Prawa Konstytucyjnego). W tych pasjonujących rozmowach udział biorą nie tylko prawnicy ze szkoły krakowskiej (między innymi eks-sędziowie rzeczywistego Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Zoll i Piotr Tuleja, naukowcy młodego pokolenia jak dr Mikołaj Małecki czy karniści-praktycy klasy mec. Piotra Kardasa, niedawno mianowanego przewodniczącego rady doradczej European Lawyers Foundation), ale też goście poziomu Ewy Łętowskiej, Adama Bodnara i Mariusza Szczygła. Tematy są gorące i podstawowe: „Prawo i bezprawie wyborcze w stanie epidemii", „Odpowiedzialność karna za korupcję polityczną", „Stany nadzwyczajne – ograniczenia praw i wolności", „Stany nadzwyczajne – perspektywa konstytucyjna".

Wiąże się z tym drugi powód przytoczenia sceny z Sądu Najwyższego. Otóż z woli i winy ekipy rządzącej znaleźliśmy się jako Polska w sytuacji, w której prawo i procedury ustąpiły swawolnym decyzjom polityków, obywateli próbuje się poddać rządom przepisów bezprawnych, a wiele instytucji państwa przestało zasługiwać na swoje miano. Aby wyjść z owego stanu, nazwijmy to: „rozwibrowania prawa", trzeba najpierw odsunąć od władzy jego sprawców.

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

ANTYKWARIAT

Jasna strona „Venus”

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia:** Jan Zych

6 maja 1970 roku w galerii pałacu Pugetów zaprezentowano 160 kobiecych aktów. Na plakatach wystawy „Venus” widniała adnotacja: „Wstęp od lat 16”. Zdjęcia oglądało dziennie kilkaset osób. Niebawem kilka fotogramów skradli nieznani sprawcy.

System narzucony tej części Europy po 1945 roku niósł różnorodne ograniczenia. Mniejszego kalibru były ograniczenia natury obyczajowej. Nowa władza okazała się nadzwyczaj pruderyjna, a wszechobecna cenzura wytyczała ciasne granice, stojąc na straży wyznaczonych pryncypiów. Kraków, podobnie jak cały kraj, wziął głębszy oddech dopiero w 1956 roku, kiedy „odwilżowe” klimaty zrodziły pozytywny ferment, budząc ukryty potencjał we wszystkich niemal dziedzinach.

Striptiz Alicji

Uchylenie „żelaznej kurtyny” sprawiło, że z Zachodu zaczęły docierać filmy, sztuki teatralne, czasopisma itp. Wraz z nimi przyszły trendy, które w skostniałym, stęsknionym za nowościami świecie trafiły na bardzo podatny grunt. Nawet w konserwatywnym (podobno) Krakowie. Dotyczyło to większości odcieni tak zwanej codzienności. Dynamicznie, niemal z miesiąca na miesiąc, zmieniała się, na przykład, moda. Widać było to nie tylko na ulicach, ale też (a może zwłaszcza) na basenach i kąpieliskach. Bywające tam panie zaczęły coraz śmielej odsłaniać ciała, pojawiły się pierwsze dwuczęściowe stroje zwane bikini.

Nieco gorzej było z nagością. Przeciętny krakowianin raczej nie był z nią oswojony. Dlatego pierwsze pokazy striptizu, w lokalach nazywanych nocnymi, wzbudziły ogromny entuzjazm. Już u progu 1957 roku atrakcję taką proponowały dwa lokale kawiarniano-restauracyjne: Esplanada w secesyjnym pawilonie stojącym do 1960 roku w miejscu dzisiejszego Bunkra Sztuki oraz także nieistniejąca Warszawianka przy ul. 1 Maja 4 (dziś Dunajewskiego). Bliska odległość sprawiała, że mogła je sprawnie obsługiwać jedyna wtedy krakowska striptizerka. Ciepło i barwnie wspominał tamte lata scenograf i artysta malarz Kazimierz Wiśniak:

„Rock and roll i striptiz to były dwie nowości tamtych czasów, pojawiły się niemal równocześnie. Nocą w »Warszawiance« rozbierała się niejaka Alicja Darlen. Rozbierała się powoli, powoli też przygasało światło, a kiedy ściągała majteczki, gasło całkowicie. Publiczność szalała! Po kilku dniach stali bywalcy tego lokalu w momencie wyciemnienia świateł wyjmowali przyniesione ze sobą elektryczne latarki i oświetlali gołą striptizerkę”.

Początki bywają trudne, ale z czasem i taka atrakcja mogła się opatrzyć. Poza tym niebagatelną rolę odgrywały koszty, bo bilet do lokalu (zawierający zawsze tak zwany bon konsumpcyjny), kosztował na przełomie lat 50. i 60. aż 150 zł. Stanowiło to 1/10 przeciętnej pensji i niewielu mogło sobie na taką przyjemność pozwolić. W tych niełatwych czasach, kiedy nie wymyślono jeszcze internetu, a telewizja nadawała tylko jeden czarno-biały program, koneserzy uroków kobiecego ciała zdani byli jedynie na kolportowane w nieoficjalnym obiegu, zwykle kiepskiej jakości fotografie. No właśnie, fotografie...

„Venus” od początku towarzyszyły emocje. Dowodem wpisy w księdze pamiątkowej: „Już się nie boję ożenić – kawaler”, „Jako nauczycielka wyrażam oburzenie z powodu pokazywania zdjęć pornograficznych, które rozwijają niskie instynkty, co w rezultacie prowadzi do prostytucji, a w związku z tym do szerzenia się chorób wenerycznych oraz masowych gwałtów”, „Kiedy zorganizuje się wystawę męskiego aktu?”.

KTF i Klimczak

U progu lat 60. ubiegłego wieku w krakowskiej prasie zaczęło pojawiać się nazwisko Władysława Klimczaka. Był dobiegającym czterdziestki pasjonatem fotografii, fotoreporterem „Dziennika Polskiego”. Działał w regionalnym oddziale Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. W 1961 roku gremium to zyskało samodzielność jako Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne, a Klimczak został jego wiceprezesem. Traf chciał, że kilka miesięcy później zmarł prezes Józef Górski, zostawiając Klimczakowi prezesurę i spore kłopoty finansowe, w jakie wpędził KTF jeden z jego nieuczciwych członków. Przed sądem Klimczak wykazał się niemałym sprytem, a przy okazji znajomością psychologii. Dzięki indywidual-

Obrady jury

nym negocjacjom przełamał siłę zbiorowego pozwu i w efekcie KTF wypłaciło wierzycielom ledwie dziesiątą część żądanej kwoty.

KTF żmudnie budowało swoją markę, a jego prezes miewał nietuzinkowe pomysły. Jubileusz 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1964 roku stał się szansą do zyskania splendoru. Na wystawę *Kraków i jego Uniwersytet* nadeszły prace z całego kraju. Eksponowano je na jednej ze ścian w siedzibie Towarzystwa przy ul. Stolarskiej 9. O wiele większe zainteresowanie wzbudziła jednak inna ściana. Zawisło na niej 40 nastrojowych kobiecych aktów autorstwa Jerzego Wernera, grafika z krakowskiej ASP. Mieczysław Klimaszewski, rektor tej, artystycznej przecież, uczelni wyraził dyskretnie dezaprobatę: „Proszę zrozumieć, jubileusz, zagraniczni goście, będzie zaskoczenie, niekoniecznie pozytywne…". Niezrażony Klimczak tłumaczył, że za granicą widzieli rzeczy bulwersujące o wiele bardziej, a zakazany owoc zawsze przyciąga. Kiedy jednak jubileuszową ekspozycję wizytował magistracki kierownik Wydziału Kultury Franciszek Kuduk, ścianę z aktami przezornie przysłonięto. Wieść o „ścianie Wernera" szybko obiegła Kraków i wystawę odwiedziło 35 tys. osób. Takiej frekwencji KTF jak dotąd nie odnotowało.

W marcu 1966 roku Klimczak zaprezentował na ul. Stolarskiej wystawę *Impresje dziewczęce* złożoną z fotogramów autorstwa Kazimiery Dyakowskiej, polskiej prekursorki kobiecego aktu. W Gliwicach, gdzie mieszkała, nikt nie odważył się podjąć ryzyka. W Krakowie dopisek na plakatach „Wstęp od lat 16" gwarantował frekwencję. Znów pojawiła się otoczka skandalu, ale prezes zacierał ręce: świetna reklama. Kiedy okazało się, że KTF zarobiło na wystawie 80 tys. zł., Dyakowska zażądała prowizji. Doszło do procesu, bo spotkała się z kategoryczną odmową. Sprawa zakończyła się ugodą, a i to może tylko dlatego, że poszkodowany akurat w wypadku samochodowym Klimczak nie mógł osobiście bronić swych – i sztuki – racji przed sądem.

Sytuacja powtórzyła się w 1968 roku, kiedy po wystawie *Od aktu klasycznego do nowoczesnego* krakowski fotografik Witold Michalik oczekiwał honorarium. Tym razem sąd podzielił niezłomne stanowisko prezesa, że zarabiać ma tylko KTF. Było to jednak kolejne przykre doświadczenie i prezes postanowił skończyć z wystawami indywidualnymi. A dla równowagi niejako Towarzystwo zorganizowało ekspozycję zatytułowaną *Krajobraz i przyroda regionu krakowskiego*.

Kolejny 1969 rok nie był dla Klimczaka łatwy. Najpierw z błahego pretekstu technikum, w którym uczył przez kilkanaście lat, podziękowało mu za współpracę. Wiadomo: pieniacz i promotor pornografii. Później za-

Władysław Klimczak, wieloletni prezes Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego i inicjator „Venus”

padła decyzja o generalnym remoncie kamienicy przy ul. Stolarskiej 9. Towarzystwo już nigdy tam nie wróciło, bo budynek przeznaczony został na konsulat USA. Klimczak jednak jeszcze o tym nie wie i gorączkowo poszukuje tymczasowej siedziby. Udaje się mu zdobyć parter dawnego pałacu Pugetów przy ul. Bohaterów Stalingradu 13 (dziś Starowiślna). To rezydencja tylko z nazwy – opuszczona właśnie przez Prokuraturę Wojewódzką, zrujnowana, bez ogrzewania i mediów.

Prezes próbuje wyjednać środki na remont w magistracie, ale pechowo kończy swą misję prezydent Zbigniew Skolicki, a jego następca Jerzy Pękala jest nieprzystępny. W desperacji Klimczak wykłada własne pieniądze w formie pożyczki dla KTF. Remont kilku sal pałacu traktuje z pieczołowitością, z jaką dba się o własny dom. Przecież zbliża się 75-lecie Towarzystwa i siedziba musi być gotowa – tłumaczy.

Fototwórcy i fotoamatorzy

Tymczasem właśnie kwestia podwiązania KTF pod tradycje zawiązanego w 1895 roku Towarzystwa Miłośników Fotografii staje się zarzewiem konfliktu ze Związkiem Polskich Artystów Fotografików, elitarnym, dopieszczanym przez system stowarzyszeniem twórców. Fotograficy traktowali fotoamatorów pobłażliwie – jako rodzaj towarzystwa wzajemnej adoracji. Fotoamatorzy ripostowali, że to ZPAF korzysta z wszelkich beneficjów, pozostając na garnuszku ludowej władzy. Prezes Klimczak zawsze twierdził, że zabiegał o integrację obu środowisk. Może to prawda, ale nie było chyba w tych staraniach większego przekonania i dezintegracja trwała.

Tymczasem prezes ma w związku z jubileuszem bogate i sprecyzowane plany. Przede wszystkim chce powołać muzeum fotografii i wszelkich związanych z nią sprzętów. Marzy mu się ponadto wyższa uczelnia fotograficzna, realizacja pomysłu Walerego Rzewuskiego, krakowskiego pioniera fotografii sprzed stu lat.

Na wszystko to zarobić ma wystawa „Venus”, którą przygotowuje od końca 1969 roku. Udział może wziąć każdy – zrzeszony i niezrzeszony. Zabiega ozbliżenie z ZPAF, aby przypadkiem nie wkładali kija w szprychy.

W tym celu w lutym 1970 roku delegacja KTF udaje się do siedziby ZPAF przy ul. Solskiego 24 (dziś św. Tomasza). Po tym spotkaniu przychodzą kolejne i ocieplenie stosunków staje się faktem. Wkrótce Klimczak zaprasza wpływowego w środowisku Zbigniewa Łagockiego do jury I Ogólnopolskiego Salonu Fotografii Artystycznej „Venus 70”.

„Venus” po raz pierwszy

Świat końca lat 60. zmieniał się dynamicznie. Przede wszystkim rozwinął się ruch hippisow-

ski, kojarzony powszechnie ze swobodą obyczajów. Zjawisko to stało się widoczne także w Polsce i w samym Krakowie. Przewrotem w tradycyjnej obyczajowości stała się legalizacja pornografii (twardej!) w Danii od 1969 roku. Już kilka miesięcy później przemycane stamtąd, głównie przez marynarzy, „mocne" pisemka dotarły między innymi pod Wawel.

Na krajowym podwórku nie było, rzecz jasna, takich sensacji, ale zmieniał się, na przykład, rynek prasy. We wrześniu 1969 roku zadebiutował tygodnik społeczno-polityczny „Perspektywy". Zastąpił tygodnik „Świat" rozwiązany na fali czystek po marcu '68 roku. „Perspektywy", wydawane w kolorze i w niezłej już szacie graficznej, zamieszczały regularnie akty autorstwa warszawskiego fotografika Renarda Dudleya. Nieco słabsze edytorsko akty zdobiły też przedostatnią stronę miesięcznika „Widnokręgi". Klimat przed kolejną kontrowersyjną wystawą zdawał się być zatem bardziej przyjazny niż ledwie parę lat wcześniej.

Był tylko jeden szkopuł – w kwietniu 1970 roku zapowiedziano huczne obchody 100-lecia urodzin Lenina. W Krakowie, na Zwierzyńcu przygotowano nawet muzeum wodza rewolucji. Czy to przypadkiem nam nie przeszkodzi – frasował się prezes. Nie przeszkodziło.

„Venus" otwarto 6 maja 1970 roku. 231 autorów z całej Polski nadesłało 1155 fotogra-

mów, z których 205 jury zakwalifikowało do konkursu. W dwóch salach galerii zaprezentowano 160 fotogramów, w trzeciej sali klubowej urządzono ekspozycję „Ściana eksperymentalna". Na plakatach pojawiła się adnotacja: „Wstęp od lat 16". Powodzenie było ogromne. Wystawę oglądało dziennie kilkaset osób. Niebawem, w nocy 21/22 maja, nieznani sprawcy włamali się do galerii, kradnąc 11 fotogramów. Prasa odnotowała to jako „fakt bez precedensu w dotychczasowej historii wystawiennictwa fotograficznego". Kilka miesięcy później, w niedzielę 13 września, tuż przed zamknięciem młody człowiek dokonał kolejnej kradzieży. Krótką walkę stoczyła z nim kobieta pilnująca wystawy. Zaalarmowany krzykiem strażnik zamknął drzwi wejściowe i napastnik zmuszony był uciekać przez okno. Zarząd KTF przyznał dzielnej pracownicy Cecylii Franczyk nagrodę w wysokości 500 zł. Po tym incydencie w galerii zainstalowano fotokomórki sprowadzone z Drezna, w zamian za wypożyczenie części fotogramów.

Pierwszą wystawę odwiedziło ponad 250 tys. widzów. Następna – „Venus 71" – miała już rangę salonu międzynarodowego. Na kolejne przysyłano średnio 3 tys. fotogramów. Z nich międzynarodowe jury dopuszczało około stu, co gwarantowało odpowiedni poziom artystyczny. Jak wspomina krakowski fotografik (obecnie współpracujący z „Kra-

kowem") Jan Zych: „W 1971 roku moje prace odrzucono, w następnym roku przyjęto, a w 1979 zostałem laureatem Grand Prix".

Pozyskiwane środki pozwoliły realnie rozważać utworzenie muzeum. Już w 1972 roku staraniem prezesa KTF wyodrębniło w swojej strukturze zbiory pod nazwą Muzeum Historii Fotografii. Odtąd zaczęły się długoletnie starania o przydzielenie siedziby.

„Venus" odniosła spektakularny sukces, także finansowy. Ale bezinteresowna zawiść sprawiła jednak, że prezes Klimczak miał coraz mniej zwolenników. Były nawet przymiarki, aby wystawę zlikwidować, ale nikt z decydentów nie odważył się podjąć takiej decyzji. Łatwiej było nękać KTF niekończą-

Cenne zbiory Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego uległy w znacznej części zniszczeniu i rozproszeniu. Doszło do tego, że część z nich znaleziono latem 2015 roku w skupie makulatury.

cymi się kontrolami, ale, o dziwo, wszystko się zgadzało. W tej sytuacji zwiększono opodatkowanie.

Wystawy odbywały się co roku i kiedy zdawało się, że spowszedniały, w 1975 roku wydarzył się poważny incydent. Podczas wernisażu 30-letnia Stanisława D. z okrzykiem: „Tak kończę Międzynarodowy Rok Kobiet!" oblała przyniesionym w słoiku lizolem z czerwoną farbą 14 fotogramów. Straty wyceniono na 50 tys. zł. Przed sądem zeznała, że czynu nie żałuje, bo stanęła w obronie poniżanych kobiet i dla równowagi żąda wystawy „Apollo 76". Skazano ją na pół roku więzienia z zawieszeniem na cztery lata, bez grzywny.

Sprzeczne emocje towarzyszyły „Venus" od początku, a dowodem były wpisy w księdze pamiątkowej: „Już się nie boję ożenić – kawaler"; „Dla kogo właściwie urządzono tę wystawę?"; „Jako nauczycielka wyrażam swe oburzenie z powodu pokazywania zdjęć pornograficznych, które rozwijają niskie instynkty, co w rezultacie prowadzi do prostytucji, a w związku z tym do szerzenia się chorób wenerycznych oraz masowych gwałtów"; „Kiedy zorganizuje się wystawę męskiego aktu?".

„Venus" po raz ostatni

Dopiero w 1982 roku MHF otrzymało nową siedzibę w oficynach kamienicy Hetmańskiej, która przechodziła właśnie poważny remont i przebudowę. 31 grudnia 1986 na bazie części zbiorów powstało odrębne, niezwiązane z KTF, państwowe MHF. Jego pierwszym dyrektorem był Klimczak pełniący nadal funkcję prezesa KTF. Ostatnią transzę zbiorów przewieziono z pałacu Pugetów do Hetmańskiej we wrześniu 1988 roku. W tym samym roku na wystawę nadeszło rekordowe 8 tys. fotogramów od 559 autorów z 38 krajów.

Z końcem lat 80. „Venus" przestała już szokować, ale nadchodziły nowe czasy i wyzwania, a prezes lubił być w centrum wydarzeń. W 1989 roku Muzeum wystawiło spektakularną ekspozycję *Zginęli w Katyniu*, zaprezentowaną rok później w Budapeszcie, przy okazji trwającej tam konferencji „Totalitaryzm w Europie Środkowej". Wystawa została pokazana też w Moskwie i Wilnie.

W 1990 roku władze miasta pozbawiły Klimczaka funkcji dyrektora Muzeum Historii Fotografii. Ostatni Międzynarodowy Salon „Venus 91" został zorganizowany tylko siłą rozpędu, bo prace z kraju i z zagranicy już nadeszły. Nieoczekiwanym problemem stało się tylko ich wyeksponowanie, ponieważ gościny odmówiło MHF. Ostatecznie udało się urządzić wystawę w galerii Pod Krzywym Dębem przy ul. Karmelickiej 55, ale była to raczej namiastka wydarzenia, a nie dawny salon o międzynarodowej randze.

Tymczasem ledwie Muzeum i KTF zdążyły zadomowić się w nowej siedzibie, kamienicę Hetmańską zwrócono prywatnym właścicielom. W 1992 roku MHF przeniesiono do willi przy ul. Józefitów 16, a KTF zostało eksmitowane wraz ze swoimi zbiorami, nie otrzymując niczego w zamian. Dopiero rok później zdobyło siedzibę przy galerii Nafta w Instytucie Górnictwa Naftowego i Gazownictwa przy ul. Lubicz 25. Po zerwaniu przez Muzeum współpracy KTF odmówiło przekazywania reszty swoich zbiorów państwowej placówce.

Tak oto kluczowy zapis porozumienia z 1986 roku o przekazaniu całości zbiorów KTF do nowego Muzeum nie został nigdy zrealizowany. Miejscy urzędnicy twierdzili, że winny jest Klimczak, on obarczał winą ich. W czerwcu 1994 roku Urząd Wojewódzki i państwowe Muzeum Historii Fotografii przegrały proces. Sąd uznał, że eksponaty są własnością KTF. Cóż z tego, kiedy cenne zbiory przechowywane przez kolejne lata w przypadkowych magazynach uległy w znacznej części zniszczeniu i rozproszeniu.

Doszło do tego, że część z nich znaleziono latem 2015 roku w skupie makulatury...

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Jesteśmy wielcy, czyli mali

Tekst: Witold Bereś **Zdjęcie:** Albert Zawada (materiały promocyjne za zgodą wydawcy)

„Był 15 maja. Tamten 15 maja. Bojownicy UPA, o tak, znów ich widzę jak dziś, śmiertnicy ze słynnej sotni Stefana Kiściaka – czy jak chcą Ukraińcy, Stepana Kistjaka – byli zmęczeni długimi przygotowaniami i oczekiwaniem. Byli wściekli, bo od nocy siedzieli w kilkunastu na pace furgonetki marki Piast zaparkowanej niedaleko najważniejszego i największego z warszawskich łuków triumfalnych, tego na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu. Upamiętniającego zwycięską i krótką wojnę z Niemcami w trzydziestym dziewiątym, kiedy to Rzeczpospolitą z bryndzy wyciągnął wspólny atak francuski i angielski oraz tajemnicza śmierć przywódcy Rzeszy, kanclerza Hitlera”.

Oto historia: czasy opowieści są współczesne, choć z maleńką zmianą – nie doszło do wojny światowej, więc Polska nieprzerwanie rośnie w siłę. Warszawa to Paryż, Buenos Aires i Rio do Janeiro na krańcach cywilizacji Zachodu (bo na wschodzie tylko Kraj Rad, dziki, ponury bantustan komunistyczny). W żydowskiej dzielnicy stolicy pną się w górę

drapacze chmur, w dzielnicy polskiej – takoż samo. Mobile polskiej produkcji z Radomia (czyli telefony komórkowe) biją technologicznie cały świat na łeb na szyję. No i Polska ma swoje kolonie – w tym San Fernando, czyli dawną Santo Domingo z Portem Mickiewicza jako stolicą i wczasami *last minute* na białej plaży.

Ziemowit Szczerek (rocznik 1978), autor tekstów wielu, blogujący żywo w Polityce.pl i na portalu Ha!Art, to pisarz co się zowie. Niemal każda jego książka to nagroda lub co najmniej towarzyskie wydarzenie. Piszę niemal, ponieważ nie lubię *Siódemki*, ale to moja fanaberia, bo publika i tę książkę kocha. Ale już choćby *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian* (2013) czy *Międzymorze. Podróże przez prawdziwą i wyobrażoną Europę Środkową* (2017) to perełki literatury polskiej.

A teraz stworzył popkulturę, która celowo przekracza granice kiczu i daje do myślenia.

Niby Polska jest więc mocarstwem nieomal, ale jakże śmiesznie (i okropnie) przypomina dzisiejszą RP. Z nadętością władz, łajdactwem w policji i korupcją. I łukami triumfalnymi ukazującymi wielkość Rzeczypospolitej.

I w tej to sytuacji seryjny zabójca zaczyna mordować polityków z obozu władzy. Morderca zostaje ochrzczony przez „czerwoniaki” (nikt tu nie używa polsko-angielsko mowy czasów dzisiejszych, tylko polszczyznę, która wyewoluowała z międzywojnia) „Kubą Hieroglifem”. Detektyw Franciszek Kary, były komandos i maszyna do zabijania, od razu wie, że dla władzy, zagrożonej przez niegdysiejszych sojuszników z Zachodu, taki morderca to wyjście idealne – bo i kryzys wewnętrzny, i problemy z Ukrainą. Zatem ten ochlaptus, narkoman i serce złamane, bo to zła kobieta była – musi tę historię rozwikłać...

Jak to u Szczerka – wszystko jest porąbane. Dowcip. Tempo. Zaskoczenie.

Czyli – do czytania.

Ot, doskonałe.

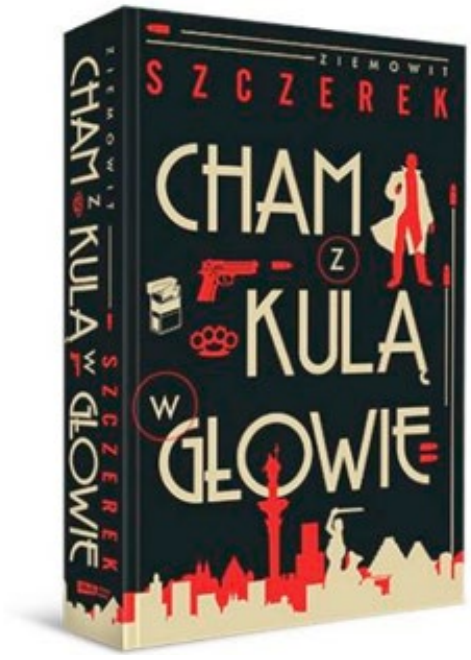

Ziemowit Szczerek, *Cham z kulą w głowie*, Znak Literanova, Kraków 2020.

Magiczne miejsca Krakowa

Notowała Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

CK Kraków

Kazimierz Kłodziński (lekarz medycyny pracy, internista, pasjonat Krakowa)

– Są dwie ulice w Krakowie, do których mam ogromny sentyment. Przed wielu laty mieszkałem przy Stolarskiej, skąd codziennie maszerowałem do Nowodworka. Droga wiodła ulicą Poselską, gdzie dziś jest Muzeum Archeologiczne, a wcześniej mieściło się więzienie św. Michała i sąd. Zawsze się pod nim zatrzymywałem, bo moją wyobraźnię uruchamiały słynne rozprawy, które się tam odbywały.

Kiedy dziś tamtędy przechodzę, przypomina mi się historia, jak to około roku 1905 przyjechał do krakowskiego sądu wizytator w Wiednia. Zasiadł w ławie sądowej i z uwagą wysłuchał całej rozprawy. Gdy się skończyła, podszedł do prowadzącego ją sędziego i powiedział, że bardzo mu się wszystko podobało, oprócz wyroku, jaki zapadł. Bowiem w ostatnich czasach kodeks ck Austrii nieco się zmienił i za owo przestępstwo obowiązują inne kary. Wyraził wręcz oburzenie, że w krakowskim sądzie o tym nie słyszano. Sędzia mu na to odpowiedział, że nowe paragrafy zna doskonale, ale u nas jakoś się nie przyjęły.

Z ulicy Poselskiej blisko już na Kanoniczą, która jest drugim moim ulubionym miejscem pod Wawelem. A to dlatego, że babcia, która dożyła 94 lat, opowiadała mi, iż właśnie tam poznała mojego dziadka. Szła wśród średniowiecznych kamienic, a dziadek zażywał przejażdżki konnej, w efekcie czego wzięli ślub, a ja w kolejnym pokoleniu pojawiłem się na świecie.

Ale co jeszcze bardziej zaskakujące, w Domu pod Telegrafem przy Kanoniczej 24, w którym pod koniec XVIII wieku mieściły się koszary austriackiej policji, a potem koszary artylerii, zacząłem bywać jako świeżo upieczony student medycyny. W latach 60. minionego wieku znajdowały się tam przychodnie specjalistyczne, w których odbywałem praktyki. I właśnie w ich trakcie poznałem moją małżonkę. Nic więc dziwnego, że nie mogę przechodzić Kanoniczą obojętnie.

Przegorzały

Agata Małodobry (historyczka sztuki, Muzeum Narodowe w Krakowie)

– A gdyby tak spojrzeć okiem turysty na Przegorzały? To jeden z najbardziej ma-

lowniczych zakątków Krakowa, gdzie przyroda i architektura urzekająco się dopełniają. Wszyscy znamy bajkową willę Adolfa Szyszko-Bohusza i zamek ze wspaniałym widokiem na Wisłę, ale rzadko wspomina się o tym, że tuż obok zobaczymy jeden znajlepszych przykładów brutalizmu w polskiej architekturze, czyli Kolegium Polonijne UJ. Patrząc na ten budynek, musimy pamiętać, że nurt brutalistyczny to nie tylko zimny i bezduszny beton – to także dążenie do radykalnie oszczędnej konstrukcji, prymat funkcji nad łatwą dekoracyjnością i – często – symbioza z otaczającą naturą.

Kolegium Polonijne UJ wzniesiono w latach 1975–91 według projektu czworga architektów: Tomasza Mańkowskiego, Zofii Nowakowskiej, Dariusza Kozłowskiego i Krzysztofa Bojanowskiego. Dziś to miejsce funkcjonuje jako hotel. Początkowo wydawał mi się przytłaczający; tak mogą odbierać go wielbiciele eleganckiej estetyki klasycznego modernizmu. Warto jednak przełamać się i poznać bliżej tę intrygującą realizację. Ciężka, szlachetna bryła o skrzydłach niejednolitej wysokości zbudowana jest pod dyktat kąta prostego. Surowa poetyka klinkierowej cegły i betonu potęguje monumentalny charakter obiektu. Nie sposób myśleć o tym budynku w oderwaniu od otoczenia. Jego forma wpisuje się znakomicie w Las Wolski: ascetyczna architektura podkreśla bujną roślinność, a wysmukłe sosny kontrapunktują kwadratowe rytmy elewacji. Koniecznie trzeba wejść na wewnętrzny dziedziniec, popatrzeć stamtąd na las, a potem wyruszyć dalej, w stronę Ogrodu Zoologicznego. Trasa z Przegorzał przez Las Wolski wiedzie żółtym szlakiem między pięknymi o każdej porze roku starymi drzewami.

Spacerując przez las, mijamy po drodze kamienną figurę Matki Boskiej, ufundowaną w roku 1930 przez wiceprezydenta Krakowa dr. Ludwika Schneidera i jego żonę Marię. Na pobliskiej polanie Juliusza Lea zobaczymy niedawno wyremontowany Pawilon Okocimski. Zaokrąglony od frontu, niewielki budynek na podmurówce z naturalnego wapienia to perełka międzywojennego krakowskiego modernizmu. Dach wsparty na zgrabnych filarach i duże okna nadają konstrukcji lekkość. Wybudowany w1936 roku pawilon projektu Jana Ogłódka (asystenta Adolfa Szyszko-Bohusza) mieści dziś Centrum Edukacji Ekologicznej, a jego położenie wśród leśnych drzew wydaje się być stworzone dla takiej funkcji.

Katakumby

Katarzyna Bik (historyczka sztuki, autorka książki *Najdroższa*)

– W czasach spowodowanej epidemią izolacji zdarzało mi się zatęsknić za Włochami. Stawały mi wtedy przed oczyma obrazy podziemnych światów: rzymskich katakumb, krypt w kościołach Mediolanu, Florencji czy

Rzymu z pochowanymi tam szczątkami spadkobierców kultury antycznej. Jeśli zwiedzaliście podziemia Watykanu, to wiecie, co mam na myśli. Ale pamięć nasuwa mi jeszcze jeden obraz: bezwstydny i pogański – maski pośmiertne z gipsu i stiuku, które zdobiły domy Florentczyków w XV wieku. Specjalizował się w nich florencki zakład Verrocchia, nauczyciela Leonarda da Vinci. Produkował on przekietują z blaszanych portretów. Upudrowane, wyfiokowane, wydekoltowane ich matki, żony, kochanki wyginają zalotnie szyje, puszczają podmalowane oko do tańczących szkieletów. Nie wierzycie, to zobaczcie sami.

Mamy też w Krakowie katakumby, a te najbardziej przypominające włoskie mieszczą się w podziemiach kościoła Reformatów pw. św. Kazimierza Jagiellończyka przy ul. Refor-

rażająco realistyczne *voti* – figury woskowe będące podobiznami zamawiających je osób. Ludzie ci wystawiali te swoje wierne, woskowe podobizny naturalnej wielkości, ubrane w szaty, a nawet siedzące na koniu, w kościele Santissima Annunziata.

Coś z takiego magicznego myślenia przeniknęło także do wyobraźni naszych przodków w Krakowie. Świadczą o tym portrety trumienne, które pokazywane są w Pałacu Biskupa Erazma Ciołka, oddziale MNK. Od spojrzeń tych zjaw nieoświeconego sarmatyzmu może wam się zjeżyć włos na karku. Ci wszyscy mości panowie, purpuraci, szlachciury i szaraki z pięknie odmalowanymi stanowiskami i ambicjami gapią się ze ścian na zwiedzających. Sobiepańscy i zawadiaccy chwieją się, stojąc na palcach, sztywni i wypięci, „mężni Polacy, dobrzy junacy" we własnych oczach hojni, cnotliwi, wielkoduszni i męscy. W cudzoziemskich – lekkomyślni, pyszni, próżni i hulaszczy. Sarmackim pijanicom nawet śmierć jest niestraszna. Delektują się nią, wynoszą na strojnych katafalkach, komackiej. Sam kościół, klasztor i pobliska droga krzyżowa mają wiele z włoskiego klimatu. Specyficzne warunki panujące pod ziemią sprawiły, że pochowani tam od połowy XVII wieku zakonnicy, przedstawiciele sławnych rodów jak Wielopolscy czy Szembekowie, ale też żołnierz napoleoński i pewna służąca zostali w naturalny sposób zmumifikowani. Jest to niezapomniany widok, gdy patrzy się na skromnych franciszkanów, leżących w piasku z głowami na kamieniach, a obok nich spoczywających w trumnach świeckich zmarłych. Podobno pochowano tam niemal tysiąc nieboszczyków. Do dziś zachowało się około 400 mumii.

Zakład Kąpielowy Antoniego Matecznego

Jerzy Zoń (reżyser, dyrektor Teatru KTO)

– Zanim opowiem o ważnym dla mnie miejscu w Krakowie, muszę sięgnąć 50 lat wstecz, do wsi pod Limanową, z której pochodzę. Nie zapomnę nigdy, jak ojciec pierwszy raz zabrał mnie stamtąd do Krakowa. Poszliśmy na przystanek autobusowy w Limanowej,

koło którego stał kiosk, gdzie kupiliśmy kanapki z kiełbasą. Od tego czasu nie wyobrażałem sobie już bez nich drogi do Krakowa. Gdy po trzech godzinach, bo tyle wtedy trwała podróż, dojeżdżaliśmy do ronda Matecznego, przełykałem ostatni kawałek kiełbasy, ojciec powiedział: „Kończ to jedzenie, wysiadamy". To rondo kojarzy mi się do dzisiaj z czymś niesamowitym, drzwiami do innego świata.

Jawiły mi się ono jeszcze bardziej tajemniczo ze względu na nazwę, która widniała na przystanku. Nie miałem pojęcia, o co chodzi z tym „Matecznym".

Kiedy Teatr KTO przeniósł się do Podgórza, pomyślałem sobie, że jest w tym coś symbolicznego, bo znowu będę blisko ronda znanego chyba wszystkim ludziom w Polce, a na pewno tym, którzy kiedykolwiek jechali w Tatry z Warszawy czy Gdańska. Wydało mi się to tym bardziej istotne, że obok znajduje się miejsce, które z rondem łączy osoba Antoniego Matecznego. Mam tu na myśli założony właśnie przez niego, niezwykłej urody park otaczający stary budynek Zakładu Kąpielowego Wody Siarczano-Solankowej.

Antoni Mateczny był postacią niesamowitą, Czechem, który ożenił się z Polką i w Krakowie założył firmę budowlaną. Kiedy stawiał swoją kamienicę przy ul. Kalwaryjskiej, dowiercił się do źródła wody mineralnej, siarczanej. Ponieważ często wyjeżdżał w celach leczniczych do Karlsbadu, doskonale wiedział, ile możliwości daje znaleziona w ziemi woda. Nie minęło wiele czasu, jak zaczął zapraszać krakowian do swojego domu kąpielowego. Było w nim 20 pokoi kąpielowych, w kilku stały wytworne, fajansowe wanny.

Nie mogłem odmówić sobie wprowadzenia podobnych wanien do mojego plenerowego spektaklu, który powstał z okazji otwarcia Muzeum Podgórza. Kiedy idę do budowanej właśnie nowej siedziby Teatru KTO, przy ul. Zamoyskiego, przez Rynek Podgórski, przypominam sobie, jak podczas premiery zapadł nad nim zmrok. Wówczas na ulicznej scenie pojawiły się piękne panie w strojach z epoki, grała muzyka retro, przy dźwiękach której wjechały parawany osłaniające wanny. Jestem pewien, że Antoni Mateczny był wtedy znami i miał satysfakcję, iż wiem już, skąd wzięła się nazwa ronda, które stanowi istotny element moich wspomnień z dzieciństwa.

Śladami „Przekroju"

Tomasz Potkaj (autor książki *Przekrój Eilego*)

– Mieszkam w Warszawie, ale od lat przyjeżdżam do Krakowa. Intensywność moich wizyt zwiększyła się znacznie, gdy zbierałem materiały do książki o „Przekroju" i jego twórcy Marianie Eilem. Zacząłem wówczas chodzić śladami mojego bohatera, które ułożyły mi się w dość nieoczywistą, ale na pewno ciekawą trasę spacerową.

Należałoby ją zacząć od ul. Wielopole 1, gdzie pierwotnie mieścił się „Ilustrowany Kurier Codzienny". Zaraz po wojnie do tak

zwanego krążownika wprowadziła się redakcja „Dziennika Polskiego", a następnie „Przekroju". To właśnie tu 15 kwietnia 1945 roku pojawił się pierwszy numer pisma. Potem przeniosło się ono do trzypokojowego mieszkania na trzecim piętrze domu, wówczas przy ul. Manifestu Lipcowego, a dziś Piłsudskiego 19. Łatwo tę pięknie odnowioną kamienicę znaleźć, gdyż posiada charakterystyczne balkony. W marcu 1968 roku stali na nich redaktorzy tygodnika i z bezpiecznej odległości obserwowali manifestacje studentów.

Do pomieszczeń redakcyjnych prowadził ciemny przedpokój, którym można było dojść do gabinetu szefa. Na środku było ogromne biurko, zawalone mnóstwem papierów, książek, rysunków, zza których wystawała tylko głowa Mariana Eilego. Biurko to miało mnóstwo szuflad. Były one przekleństwem autorów. Gdy do ich przepastnych czeluści trafił jakiś tekst, można było być pewnym, że zostanie tam na dłużej, a redaktor wyciągnie go dopiero, jak będzie panowała urlopowa posucha. Kiedy w latach 70. Mieczysław Czuma przeniósł redakcję do nowej siedziby, mieszczącej się przy ul. Reformackiej 3, biurko to powędrowało wraz z pracownikami „Przekroju". Ciekawy jestem, co się z nim obecnie dzieje. Może znajduje się dalej w jednym z pokoi IPN-u, który przejął interesujący architektonicznie, secesyjny budynek z czerwonej cegły.

Spacer śladami Mariana Eilego można skończyć, przysiadając na jego ławeczce, która stoi na Plantach tuż obok Collegium Witkowskiego. Ale są jeszcze dwa miejsca, gdzie pamięć o twórcy „Przekroju" jest wciąż żywa. Przy ul. Małej 5, odchodzącej od ul. Felicjanek, znajduje się kamienica, w której mieszkał redaktor razem z żoną Katarzyną. W jej fasadę wmurowano poświęconą mu tablicę.

By dotrzeć do jeszcze jednego punktu, który, przynajmniej symbolicznie, przypomina bohatera mojej książki, trzeba wsiąść do tramwaju i udać się w okolice sądów. Tam znajduje się skwerek Mariana Eilego. Bawią się na nim dzieci, a w pobliżu jest sympatyczna kawiarnia. Przy kawie i ciastku można porozmyślać o założycielu tego jedynego w swoim rodzaju pisma.

*

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym cyklu będą nagradzane książkami miesięcznika „Kraków".

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Warownia na tynieckiej skale

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcie:** archiwum autora

Tu zawsze warto się zjawić, najlepiej – płynąc Wisłą. Dziś możesz tu zrobić sobie zdjęcie niemal takie jak przed stu laty – a jednak inne...

Dawna wieś Tyniec położona na prawym brzegu Wisły, przy starym szlaku handlowym wiodącym do Oświęcimia, powstała prawdopodobnie w miejscu prehistorycznej osady zaliczanej do kultury łużyckiej (tak zwane grodzisko). Nazwa Tyniec pochodzi od słowa „tyn" – co oznaczało mur, ogrodzenie i wiązało się zapewne z obronnymi funkcjami dawnego grodziska.

Dalsze dzieje Tyńca łączą się nierozerwalnie z zakonem benedyktynów. Na stromej wapiennej skale nad Wisłą powstał ich pierwszy romański klasztor ufundowany w połowie XI wieku przez Kazimierza Odnowiciela bądź jego syna Bolesława Śmiałego. Opactwo, uposażone w kilka okolicznych wsi i dziesiątki hektarów gruntów, było bardzo zamożne. O tynieckich sadach, warzywnikach, winnicach i pasiece wspominał kronikarz Jan Długosz. Wiadomo, że obok zamkniętego krużgankami wirydarza był też tak zwany ogród dolny, urządzony na zboczu ponad Wisłą na planie przypominającym kształt dzwonu. Łagodniejszy klimat pozwalał wówczas na uprawę winorośli, a pamięć o tym przechowała się do dzisiaj w lokalnym nazewnictwie wzgórza Winnica czy ul. Winnickiej.

Tyniecki klasztor był przez wieki świadkiem historii i przedmurzem Krakowa. Jako pierwszy bronił się tam Konrad Mazowiecki, walcząc o tron krakowski z Bolesławem Wstydliwym. Kilkanaście lat później klasztor ucierpiał podczas drugiego najazdu tatarskiego (1260), lecz wkrótce odbudowano go w gotyckiej postaci. W latach 1771–1772 bronili się tam konfederaci barscy, odpierając szturmy wojsk rosyjskich. Niestety, nie obyło się bez zniszczeń kościoła i klasztoru, spalono też wieś i folwark wraz z młynem.

Po kasacie zakonu benedyktynów (1816) dobra opactwa przeszły na rzecz Funduszu Religijnego, podobnie jak wieś licząca w drugiej połowie XIX wieku ponad 1200 mieszkańców i 215 domów. Benedyktyni wrócili do Tyńca dopiero w sierpniu 1939 roku po długoletnich staraniach księcia metropolity Adama Sapiehy. Przywracanie świetności opactwu trwało lata, a odbudowę tak zwanej Wielkiej Ruiny – pozostałości dawnej biblioteki klasztornej w południowej części wzgórza – ukończono dopiero w 2008 roku. Obecnie działa tam między innymi klasztorne muzeum.

Fotografia, wykonana jesienią 1927 roku, ukazuje przeprawę przez rzekę, w ramach ćwiczeń stacjonującego w Krakowie słynnego 8 Pułku Ułanów. Dodać warto, że przez całe stulecia funkcjonowała w tym miejscu przeprawa promowa, zawieszona w 1990 roku (próby jej przywrócenia trwają od trzech lat). Na pierwszym planie zacumowana krypa oferuje węgiel – zapewne z kopalń jaworznickich – spławiany tradycyjnie Przemszą i Wisłą.

*

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym cyklu będą nagradzane książkami miesięcznika „Kraków".

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Nie pytaj, co daje Ci kultura. Zapytaj, co Ty możesz dla kultury zrobić *
(miesięcznik „**KRAKÓW**”)

NAGRODA ŻÓŁTEJ CIŻEMKI

IV edycja - za rok 2019

proj. prof. K. Nitsch / fot. K. Lis

Od roku 2017 z inicjatywy Biblioteki Kraków przyznawana jest w Krakowie doroczna, ogólnopolska Nagroda Żółtej Ciżemki dla najbardziej wartościowej polskiej książki adresowanej do młodych czytelników. Otrzymują ją Autorka / Autor książki oraz twórca jej szaty graficznej. Fundatorem Nagrody jest Prezydent Miasta prof. Jacek Majchrowski.

NOMINOWANI

Karolina Bąkowska
Niesamowity wszechświat
ilustr. Asia Gwis
Wydawnictwo Nasza Księgarnia
Warszawa 2019

Ewa K. Czaczkowska
Bajki mariackie
ilustr. Katarzyna Fus
Wydawnictwo Znak
Kraków 2019

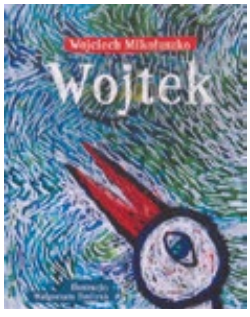

Wojciech Mikołuszko
Wojtek
ilustr. Małgorzata Dmitruk
Wydawnictwo Agora
Warszawa 2019

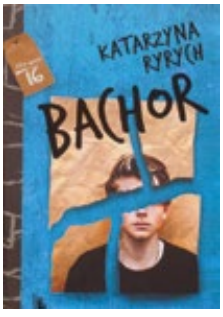

Katarzyna Ryrych
Bachor
proj. okładki Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
Wydawnictwo Literatura
Łódź 2019

Kazimierz Szymeczko
Gołąbek niepokoju
ilustr. Magdalena Pilch
Wydawnictwo Literatura
Łódź 2019

** akcja społeczna miesięcznika „Kraków” wspierająca kulturę polską czasów pandemii*

Zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK

Wielka odpowiedzialność za małego czytelnika

Tekst: Marta Gruszecka

Piękniejsza od dziecięcej wyobraźni może być tylko dziecięca literatura. Bo przecież to też wyobraźnia, tyle że spisana i ozdobiona kolorowym tuszem.

O prestiżową Nagrodę Żółtej Ciżemki 2020, laur przyznawany przez Bibliotekę i Miasto Kraków autorowi najbardziej oryginalnej i najciekawiej zilustrowanej książki dla dzieci, walczyło w tym roku ponad 130 tytułów.

Jako dziecko od najmłodszych lat wychowywane wśród kotów nie mogłabym zacząć przygody z literaturą od książek, w których te nie grałyby głównej roli. Kocich historii było wiele, kotom wszak przygód nigdy nie brakowało. Najlepsze kocie bajki wymyślał tata – aż żal, że jeszcze wtedy nie potrafiłam pisać. Brygada kotów pilnujących sklepu pana Władka przed złodziejami mogłaby śmiało zostać bohaterem niejednej powieści przygodowej dla dzieci.

Moje bajki

Gdy tylko litery powoli zaczynały tworzyć słowa, a te układać się w zdania, dostałam od babci Stasi *Przygody Filonka Bezogonka* szwedzkiego pisarza Gösta Knutssona. To historia bezdomnego kociaka bez ogona, który przypadkiem (choć po tylu latach przyjaźni z kotami wiem, że w ich zachowaniu nie ma niczego przypadkowego) wskakuje do pewnego samochodu i staje się członkiem rodziny dziewczynki o imieniu Birgitta. Filonek szybko zaprzyjaźnia się z domownikami, zdecydowanie trudniej nawiązać mu relacje z mieszkającymi na osiedlu innymi kotami. Te bezdomne, które jedzą wyłącznie to, co upolują, zazdroszczą Filonkowi pełnej miski. Po czasie przestają jednak prześladować „nowego bez ogona" i przyjmują Filonka do grupy.

W wydanych przez Krajową Agencję Wydawniczą w 1980 roku *Przygodach Filonka Bezogonka*, które do dziś trzymam w bibliotece, nie było zbyt wielu ilustracji. Ot, czarno-białe rysunki Filonka i innych kotów na szarym papierze. Jako kilkuletnia dziewczynka zdecydowanie czułam, że czegoś tu brakuje. Dlatego dorysowywałam kotom niebieskie (pewnie już wtedy niebieski był moim ulubionym kolorem), czasem zajmujące nawet dwie sąsiednie strony, ogony. Byłam wówczas absolutnie przekonana, że niebieski ogon odpędzi od Filonka smutki i poczucie wstydu z powodu kociej niepełnosprawności. „Już nikt nigdy nie będzie zarzucał mu braku ogona!" – myślałam i ochoczo rysowałam ogonkowe kontury. Dbałam też o ogony innych kotów, które akurat towarzyszyły Filonkowi na ilustracji. Zawsze jednak dorysowywałam im je nieco krótsze – wszak to Filonek, prześladowany przez nie bohater, miał mieć najdłuższy ogon.

Fikcyjną znajomość Filonka Bezogonka z czarną Frydą, jedną z bezdomnych kotek, przeniosłam do rzeczywistości. Imię jego kociej przyjaciółki spodobało mi się do tego stopnia, że właśnie Frydą postanowiłam ochrzcić moją pierwszą kotkę, z którą spędziłam potem ponad piętnaście lat życia.

Teksty i najpiękniejsze ilustracje

Bohaterów z dzieciństwa po prostu się pamięta. Na ich przykładzie poznaje się świat i kształtuje własne postawy. (Nie ma ogona? To nic, pomogę mu i dorysuję, dzięki temu poczuje się pewniej). Właśnie dla takich książek, których bohaterowie doświadczają przygód przeżywanych przez nas na tyle mocno, że pozostają one zapisane w naszej pamięci niemal jako własne wspomnienia, w 2017 roku została ustanowiona Nagroda Żółtej Ciżemki. Data powołania nowego wyróżnienia nie jest przypadkowa – w tym roku przypadała bowiem setna rocznica śmierci Antoniny Domańskiej, autorki powieści i opowiadań historycznych dla dzieci, którą Biblioteka Kraków, organizator konkursu, obrała na patronkę nagrody. Zadaniem lauru jest wyróżnienie najpiękniejszych i najbardziej wartościowych tekstów adresowanych do dzieci i młodzieży. Ideą nagrody jest również skupienie uwagi na ilustracjach uzupełniających treść, będących często prawdziwym dziełem sztuki. Wyróżnienie ma promować rodzimą literaturę, dlatego mogą je otrzymać wyłącznie polscy twórcy. – Poprzez tę inicjatywę pragniemy wyróżnić tych rodzimych autorów, ilustratorów, grafików, dzięki którym literatura może wciąż silnie oddziaływać na wszechstronny rozwój dzieci i młodzieży, a przy tym przynosić im intelektualną, emocjonalną i estetyczną przyjemność z obcowania ze światem dobrej książki – mówi Stanisław Dziedzic, dyrektor Biblioteki Kraków i przewodniczący kapituły konkursu.

Wyróżnienie ma promować rodzimą literaturę, dlatego mogą je otrzymać wyłącznie polscy twórcy. Ideą nagrody jest również skupienie uwagi na ilustracjach uzupełniających treść, będących często prawdziwym dziełem sztuki.

Prestiż, 25 tysięcy złotych i statuetka

Książki mogą być zgłaszane do oceny przez czytelników, związki twórcze, instytucje kultury, wydawców, księgarzy i bibliotekarzy. Warunek jest jeden – tytuł musi być wydany wroku poprzedzającym rozstrzygnięcie konkursu. O co walczą auto-

rzy? Nagroda Żółtej Ciżemki to 25 tysięcy złotych ufundowane przez prezydenta Miasta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego. Zwycięzca otrzymuje również statuetkę autorstwa prof. Krzysztofa Nitscha, światowej sławy polskiego medaliera. – To pod każdym względem prestiżowa nagroda – podkreśla Dziedzic. – Nie dość, że jest jednym znajwyższych finansowo polskich wyróżnień dla autorów, to jeszcze zwycięzców wybiera wybitne grono specjalistów w dziedzinie literatury, co gwarantuje wysoki poziom konkursu.

W skład kapituły, poza dyrektorem Dziedzicem, wchodzi pięcioro ekspertów: literaturoznawczyni i autorka tomików poezji oraz książek dla dzieci prof. Alicja Baluch, jeden znajwybitniejszych krakowskich ilustratorów Marcin Bruchnalski, zastępca dyrektora Biblioteki Kraków ds. merytorycznych Izabela Ronkiewicz-Brągiel, doktor nauk humanistycznych i literaturoznawczyni Anna Skoczek oraz kierownik Katedry Poetyki i Teorii Literatury IFP w Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie dr hab. Katarzyna Wądolny-Tatar.

Ponad 130 książek

Pierwszą w historii Nagrodę Żółtej Ciżemki wspomniane grono przyznało w 2017 roku książce *Niezłe ziółko* z tekstem Barbary Kosmowskiej i ilustracjami Elizy Dziubak (Wydawnictwo Literatura). Rok później laur trafił do Elizy Piotrowskiej za *Wojtka. Żołnierza bez munduru* (Święty Wojciech). Ubiegłorocznymi zwycięzczyniami zostały Katarzyna Maziarz i Małgorzata Zając za *Trochębajki o Stanisławie Wyspiańskim* (Muzeum Narodowe w Krakowie). W 2020 roku do konkursu zgłoszono ponad 130 książek, z czego do ścisłego finału kapituła mogła wybrać zaledwie pięć tytułów. Obrady były burzliwe, gdyż, jak zaznacza dyrektor, walczące o nagrodę książki wyróżniały nie tylko walory literackie, ale i plastyczne. – Z przyjemnością obserwuję renesans ładnych, funkcjonalnych, przyjaznych młodemu czytelnikowi ilustracji. Dla dzieci i młodzieży warstwa plastyczna tego, co czyta, jest przecież bardzo ważna. Niektóre książki z dzieciństwa zapamiętałem właśnie dzięki ilustracjom. Gdy papier był szary i siermiężny, to rysunki zachęcały mnie do lektury – wspomina Dziedzic.

O samotności i pokonywaniu granic

Bachor Katarzyny Ryrych z ilustracjami Ilony Gostyńskiej-Rymkiewicz, wydany nakładem Wydawnictwa Literatura, pierwsza z zakwalifikowanych do finałowej piątki książek, to historia nastoletniego Arka, który ma dość tresującego go ojczyma oraz ignorującej go mamy. Samotny i nieszczęśliwy chłopak postanawia zawalczyć o lepszy los i odnaleźć swojego prawdziwego tatę. Nawet jeśli mają mu do tego wystarczyć wyłącznie zdjęcia kochanków mamy...

Drugim zaproszonym do konkursu tytułem sygnowanym przez Wydawnictwa Literatura jest *Gołąbek niepokoju* Kazimierza Szymeczko z ilustracjami Magdaleny Pilch. Losy jego bohatera Gustlika, chłopaka z Bytomia, śledzimy przez pryzmat konfliktu polsko-niemieckiego na pograniczu śląskim, codzienności Ślązaków w latach 1919–1921 oraz... gołębnika. Bo nawet kiedy ludziom nie wolno przekraczać granic, ptaki mogą przecież robić to do woli.

O Nagrodę Żółtej Ciżemki walczy też *Wojtek* Wojciecha Mikołuszko ilustrowany przez Małgorzatę Dmitruk (Agora). Książka z Wojtkiem w tytule już raz konkurs wygrała, ale czy tak będzie i tym razem? To wzruszająca opowieść obocianie Wojtku, którego losy splatają się z perypetiami rodziny siedmioletniego Jacka. W książce Mikołuszki, poza historią, urzekają haftowane ilustracje oraz umiejętne podkreślenie roli przyrody, jaką odgrywa ona dla człowieka.

Bajki Mariackie Ewy Czaczkowskiej ilustrowane przez Katarzynę Fus (Znak) to najbardziej krakowska ze wszystkich finałowych propozycji. Znajdziemy w niej historie o hejnale, legendy o wiewiórkach z Rynku, dowiemy się, jak powinna wyglądać idealna szopka krakowska. Dla dzieci z Krakowa *Bajki...* są lekturą obowiązkową, dla czytelników z innych miast okazją do poznania jego najciekawszych tajemnic.

Listę autorów zakwalifikowanych do finału kończy Karolina Bąkowska i jej *Niesamowity Wszechświat* z ilustracjami Asi Gwis (Nasza Księgarnia). Propozycja autorki to jedna z tych książek, która zna odpowiedzi na najdziwniejsze pytania najmłodszych czytelników. Czy spadające gwiazdy spełniają życzenia? Czy komety sprowadzają nieszczęścia? Tego nie wiedzą nawet dorośli. Ale wszyscy, którzy przeczytają *Niesamowity Wszechświat*, znajdą tutaj odpowiedzi.

*

Wszystkie wybrane przez kapitułę konkursu książki mają w sobie coś, co zasługuje na Nagrodę Żółtej Ciżemki. Laureat może być jednak tylko jeden. Kto nim został – dowiemy się wkrótce...

Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Z ostatniej chwili

Decyzją jury Nagrody Żółtej Ciżemki z 15 czerwca *Bajki Mariackie* Ewy Czaczkowskiej z ilustracjami Katarzyny Fus (Znak) z ŻÓŁTĄ CIŻEMKĄ 2020!

Fragment z jednego z uzasadnień:
„To *remake* w dobrym stylu. Autorka wraca do opowieści o obecności wiewiórek na Rynku Głównym, które były na nim wcześniej niż gołębie, o budowie wież kościoła Mariackiego, o hejnale Mariackim, do historii żółtej ciżemki, ale opowiada o tym w sposób nowy, interesujący. (...) Książkę się po prostu dobrze czyta".

(Anna Skoczek)

Miejsce, które mnie straszy

Tekst: Ewa Lipska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Jest takie miejsce w Krakowie, ulica Senacka, które mnie straszy do dzisiaj. Ta mała uliczka ma za sobą długą i burzliwą historię, o której obszernie informują niektóre przewodniki po naszym mieście. W budynku przy ulicy Senackiej 3, od czasu kiedy władze austriackie w 1797 roku odebrały go od zakonu karmelitów bosych, mieściło się więzienie, zwane „więzieniem świętego Michała". W 1873 roku zniszczony budynek zastąpiono nowym, gdzie ponownie zagościło więzienie i sala rozpraw. Istniało ono przez cały okres zaborów, w dwudziestoleciu międzywojennym, w czasach okupacji niemieckiej i podczas rządów komunistycznych. 12 września 1939 roku Niemcy rozstrzelali tu 32 osoby, w tym 25 Żydów. W podziemiach wykonywano kary śmierci. Pamiętam te opowieści z dzieciństwa mrożące krew w żyłach. Do dzisiaj, gdy przechodzę tę małą, zaciszną uliczką, ogarnia mnie strach. Zapewne takich miejsc w Krakowie jest więcej, ale to najbardziej utkwiło mi w pamięci.

*

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym cyklu będą nagradzane książkami miesięcznika „Kraków".

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Spis cudzołożnic. Proza podróżna, 1993

Jerzy Pilch już za życia stał się dla mnie postacią na wpół historyczną. Był bowiem pewnym naturalnym, choć bez wątpienia także samoistnym kontinuum najlepszej tradycji polskiej prozy XX wieku. W jego twórczości dostrzegałam ducha i Mrożka, i Gombrowicza, i Schulza, i wielu innych zasłużonych. A on dalej był i pisał. Teraz więc coś brutalnie i nagle, choć przecież spodziewanie, się skończyło. Absurdalny to koniec, dlatego wróćmy do początku.

Absolwent „Gołębnika" akcję jednej ze swych najsłynniejszych powieści *Spis cudzołożnic* rozgrywa w Krakowie. Bohaterem groteskowej opowieści jest Gustaw – niespełniony pisarz, któremu powierzono „misję" zaprezentowania dziedzictwa i kultury miasta królów polskich pewnemu szwedzkiemu intelektualiście. Wycieczka sowicie zakrapiana albańskim koniakiem zamienia się w rozedrganą przygodę, której celem staje się „zażegnanie fenomenu obojętności świata", czyli... zatopienie w kobiecych wdziękach. Pomocnym narzędziem w tym procederze okazuje się tytułowy spis cudzołożnic.

Powieść ta jest moją rówieśnicą (rocznik 1993), stąd z tym większym zaciekawieniem zauważam, że pisarski wdzięk Pilcha nie ulega przedawnieniu. Jego opowieść, choć do bólu szowinistyczna, wciąż potrafi uwodzić czytelnika fabularną gibkością i językowym wyrafinowaniem. Pilch za pośrednictwem Gustawa podejmuje ciągłą grę z rzeczywistością – tak z narodową przeszłością, jak i z osobistą teraźniejszością. I do końca nie wiemy, kto wychodzi z tej batalii zwycięsko. „– Może jednak ruszymy? – mówię. – Tańce, Kraków i brak zahamowań?"

Sylwia Pyzik

Widok z mojego boksu, 2019

Jerzy Pilch to pisarz, którego styl rozpoznać łatwo, podobnie jak pisarstwo chociażby Woody Allena. Dowcip, lekka kpina, łagodna satyra i melancholijna zaduma – Pilch bawi i wzrusza. Wspomnienia z redakcji „Tygodnika Powszechnego" koncentrują się głównie na osobach tam pracujących, stąd świetne portrety Jerzego Turowicza, Bronisława Mamonia, ks. Józefa Tischnera i wielu innych. Autor snuje też refleksje, niekiedy mocno polemiczne, o innych osobistościach polskiej kultury – na przykład opowiada o konflikcie Miłosz–Herbert. Nie unika mówienia o Janie Pawle II, problemach ks. Stanisława Musiała z zakonem jezuitów, metaforyce Ryszarda Kapuścińskiego, ale też o swojej wpadce, kiedy to znakomitemu autorowi, pisującemu pod pseudonimem do paryskiej „Kultury", obiecał, że jak dłużej popracuje, to w końcu ujrzy swój tekst w druku w „Tygodniku". Pilch pisze jak gdyby w czasie rzeczywistym, ma się wrażenie, że nie uczestniczymy w świecie minionym, w którym większość z opisanych postaci już nie istnieje. Aż trudno uwierzyć, że teraz nie ma wśród nas samego autora... Przemierzamy wraz z Nim ulicę Starowiślną i zmierzamy na ukos przez Rynek i Bracką, na Wiślną do redakcji „Tygodnika" i zasiadamy wraz z Nim w jego boksie, jednym z wielu pracowicie wymyślonych przez Romka Graczyka. Czytelniku, nie przegap okazji i zasiądź tam wraz z Nim. Wsłuchaj się opowieści. Nie pożałujesz. Pilch nadal jest – z nami, w nas...

Elżbieta Wojnarowska

Inne rozkosze, 1995

Dla mnie Jurek żyje w naszym spektaklu *Inne rozkosze* w Teatrze Stu. Słyszę jego słowa płynące ze sceny: „Patrzyłem na kobietę idącą wzdłuż ulicy Szewskiej, miała na sobie łososiową spódnicę i białą bluzkę, szła szybkim, zdecydowanym krokiem, ruch jej nóg, jej piersi, jej włosów sprawiał, że zaczynałem się krztusić, dławiłem się światem, dławiłem się, a więc istniałem". Ze sceny płyną kolejne słowa powieści: „W restauracji zawsze bardziej interesowała mnie kelnerka niż danie, które przynosiła. Wsiadałem do pociągu i tak długo zaglądałem do kolejnych przedziałów, aż trud mój bywał nagradzany". A ja przed oczami mam Jurka we Free Pubie, widzę go wyraźnie, jak przechadza się między stolikami, tak intensywnie, aż jakaś kobieta woła do niego: – Ej, pub jest dla młodych!". Opowiada mi to potem z lekkim rozżaleniem. A kiedy na scenie rozgrywa się dialog: „Obyczaj grożenia śmiercią był pradawnym domowym obyczajem. Kohoutek nieśmiertelne frazy o zabijaniu słyszał, odkąd nauczył się słuchać. – Ja cię zabiję! – mówiła matka Kohoutka do ojca Kohoutka i machała rzeźnickim kordelasem. – Tym, tym nożem poderżnę ci gardło! – Tym, tym młotkiem rozwalę ci głowę! – charczał ojciec i pokazywał wielki murarski młotek", to ja jestem w Wiśle, widzę jego dom rodzinny, w którym nigdy nie byłem, wyobrażam sobie jego Matkę i Ojca, których nigdy nie poznałem... I tak to właśnie działa: magia słów, które stają się ciałem... I pozostają z nami na zawsze. A dopóki je wypowiadamy, dopóty on w nich jest. On jest.

Artur Więcek „Baron"

Ulica Szeroka

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcie:** archiwum autora

Kiedy zjawisz się w dawnej dzielnicy żydowskiej na krakowskim Kazimierzu i zachwyci cię piękno zaułków, znajdź miejsce poniższe i zrób sobie tam zdjęcie, by docenić, jak Kraków żyje...

Ulica ta to właściwie wydłużony rynek, rzadko spotykane, jedyne w swoim rodzaju założenie urbanistyczne, ze starymi synagogami, pałacem i dostojnymi domami z XVI, XVII i XVIII wieku. Już w średniowieczu było to centrum wsi Bawół włączonej do Kazimierza wkrótce po lokacji miasta w 1340 roku. Choć brak na to dowodów, według Jana Długosza to właśnie w tej okolicy miały stać pierwsze budynki Akademii ufundowanej przez Kazimierza Wielkiego. Po dekrecie Jana Olbrachta z 1495 roku, nakazującym *de facto* Żydom opuszczenie miasta, zaczęli się oni osiedlać właśnie tu. Wkrótce uformowało się Miasto Żydowskie oddzielone własnymi, wewnętrznymi murami od reszty Kazimierza, zgodnie z obowiązującymi wówczas zwyczajami. Co najmniej od początku XVII wieku jego centrum tworzyła właśnie ul. Szeroka.

Na fotografii z 1918 roku widać północną pierzeję placu zamkniętą okazałym domem (ul. Szeroka 2) z ceglano-kamienną fasadą, powstałym w końcu XVIII wieku w wyniku połączenia trzech mniejszych XVI-wiecznych kamieniczek, przylegających do murów obronnych. We wnętrzach zachowało się kilka kolebkowo sklepionych sal wraz z sienią, międzyokienne kanelowane kolumny z toskańskimi kapitelami i wiele innych detali świadczących o bogatej przeszłości tego miejsca. Dom ten niesłusznie identyfikowany jest jako dwór (pałac) Jordanów, który rzeczywiście stał do XVIII wieku, ale w okolicach dzisiejszego pl. Nowego. Po lewej straszą ruiny dawnego domu (ul. Szeroka 1), zastąpione dopiero w 1929 roku nową modernistyczną kamienicą.

Na pierwszym planie intryguje wydzielony kwadrat ulicy, otoczony murem zwieńczonym arkadkowym ornamentem. Wedle legendy, przed laty odbywać miało się tam wesele żydowskie. Rozpoczęło się w piątek po południu i przeciągnęło mimo napomnień rabina do późnego wieczora. Wtedy rabin rzucił klątwę, a dom zapadł się pod ziemię i wszyscy uczestnicy wesela zginęli. Ku przestrodze działkę otoczono murem pozbawionym wejścia... Według innej, bardziej racjonalnej teorii miejsce to mogło kryć ofiary jakiejś epidemii, grzebane – aż do końca XIX wieku – zawsze poza głównymi cmentarzami. Prawdopodobne jest też, że była to kiedyś najstarsza część sąsiedniego cmentarza Remuh, odcięta po regulacji ulic i otoczona murem. W czasie wojny cmentarzyk wraz z otaczającym go murem został przez hitlerowców zrównany z ziemią. Przez wiele lat jego zarys wyznaczała jedynie niewielka wyniosłość widoczna w perspektywie ulicy i ledwie czytelne ślady muru. Dopiero w połowie lat 60. ubiegłego wieku urządzono w tym szczególnym miejscu zieleniec z grupą drzew.

*

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym cyklu będą nagradzane książkami miesięcznika „Kraków”.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

spotkania autorskie
Michael Crummey | Patrick deWitt | Esi Edugyan | David Szalay | Madeliene Thien | Nicolas Dickner

debaty
Pierwsi mieszkańcy Kanady
Był sobie człowiek
McLuhan w epoce algorytmów
Co można wyczytać z gry wideo?

Nogaś na plaży
Olga Gitkiewicz | Mikołaj Łoziński | Urszula Zajączkowska | Maciej Zaremba Bielawski

H/historia
Anne Applebaum | Dorota Karaś i Marek Sterlingow | Paweł P. Reszka | Mirosław Tryczyk

debiuty
Jędrzej Napiecek | Barbara Sadurska | Wojtek Szot | Natalka Suszczyńska

i inni

O, Kanada!

20–23 sierpnia 2020

offline w Sopocie
online na www.literackisopot.pl

#literackisopot2020

Goyki 3 Art Inkubator
Sopot
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Canada

Dofinansowano ze środków Miasta Sopotu oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Uparty śledczy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Archiwum IPN

Ten krakowskim sędzia doprowadził do skazania największych zbrodniarzy wojennych. Jego sylwetkę przypomina Filip Gańczak w książce *Jan Sehn. Tropiciel nazistów*. Książka jest kolejną propozycją w II edycji prowadzonego przez „Kraków" konkursu na dzieło biograficzne „Portrety".

Jan Sehn (na pierwszym planie) w Instytucie Ekspertyz Sądowych w Krakowie, 1958

Okna Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie przy ul. Westerplatte zawsze były całkiem sporych rozmiarów. Jan Sehn, od 1949 roku szef zasłużonej placówki wydającej opinie w najważniejszych procesach, pewnie nieraz podnosił głowę z nad biurka, by przyjrzeć się bujnie kwitnącym na pobliskich Plantach drzewom. Musiał to robić, gdyż, jak wynika z książki Filipa Gańczaka *Jan Sehn. Tropiciel nazistów*, spędzał niezliczone liczby godzin, ślęcząc nad dokumentami i przygotowując akty oskarżenia przeciwko takim zbrodniarzom jak Amon Göth, Arthur Liebehenschel, Maria Mandl czy Rudolf Höss. Pracowitość się opłaciła. Dzięki krakowskiemu sędziemu udało się skazać wielu hitlerowskich zbrodniarzy.

Zanim jednak zaczął żmudne zbieranie dowodów i przesłuchania świadków, jako przewodniczący Okręgowej Komisji Badań Zbrodni Niemieckich doprowadził do zabezpieczenia śladów działalności esesmanów na terenie obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Będąc sędzią, doskonale wiedział, jak ważne jest zachowanie dowodów winy. A mogły one w każdej chwili zniknąć, gdyż żołnierze Armii Czerwonej, którzy zajęli obóz, nie przywiązywali większego znaczenia do tego typu spraw, rozbierając choćby na opał baraki czy likwidując szubienicę, na której ginęli więźniowie. Sehn jednak nie dopuścił do tego, uruchamiając swoje kontakty, między innymi ze znanym ze studiów Józefem Cyrankiewiczem – więźniem obozu, a po wojnie wpływowym człowiekiem komunistycznej Polski.

Gańczak szczegółowo opisuje, jak sędziemu udało się doprowadzić do skazania największych wojennych przestępców. Historyk pokazuje niekonwencjonalne sposoby prowadzenia przez niego przesłuchań, podczas których udało mu się na przykład nakłonić Rudolfa Hössa do napisania w więzieniu autobiografii. – Wydanie tych pamiętników było ważne przede wszystkim dlatego, że odsłaniają one mechanizm zbrodni. Poza tym znalazły się w nich charakterystyki wielu niemieckich zbrodniarzy, co w niektórych przypadkach miało istotną wartość dowodową, gdy przygotowywano kolejne procesy. Zwłaszcza że Höss przedstawił wszystko bardzo szczegółowo, w sposób wyprany z emocji – tłumaczy Gańczak.

Doświadczenie Jana Sehna przydało się także niemieckim prokuratorom, przygotowującym procesy oświęcimskie we Frankfurcie nad Menem. I właśnie przed rozpoczęciem jednego z nich śledczy z Krakowa zmarł w dość podejrzanych okolicznościach. Autor jego biografii sceptycznie podchodzi do sensacyjnych sugestii dotyczących morderstwa tropiciela nazistów, nie kryjąc jednak, że osób, które mu źle życzyły, musiało być w Niemczech wiele.

Filip Gańczak, *Jan Sehn. Tropiciel nazistów*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020.

Piękny Pies przetrwał zarazę

Rozmawiała Majka Lisińska-Kozioł **Zdjęcia:** Jacek Kozioł

Maciej Piotr Prus (pisarz, poeta, dziennikarz i współwłaściciel istniejącego od blisko dwudziestu lat klubu Piękny Pies, który kolejny raz wznowił działalność): Wcale nie byłem pewien, czy Piękny Pies przetrwa zarazę. Poprosiliśmy o pomoc naszych sympatyków, bywalców, przyjaciół. Nie zostawili nas samych. Zebrali na portalu zrzutka.pl ponad 15 tysięcy złotych. Dzięki nim wszystkim i ku naszej radości historia Pięknego Psa będzie miała ciąg dalszy; 18 maja otwarliśmy nasz klub po raz piąty.

Majka Lisińska-Kozioł: Tym razem wracacie po pandemii. Udało się przetrwać, choć z dnia na dzień koronawirus zatrzasnął drzwi klubu. Zniknęły wtedy dochody, zostały wydatki.

Kraków sprzyja prowadzeniu życia w kawiarniach i klubach.

Maciej Piotr Prus: Gdy rozmawialiśmy niedługo po tym ostatnim zamknięciu klubu, wcale nie byłem pewien, czy wznowimy działalność. Poprosiliśmy o pomoc naszych sympatyków, bywalców, przyjaciół. Nie zostawili nas samych. Zebrali na portalu zrzutka.pl ponad 15 tysięcy złotych. Dzięki nim wszystkim i ku naszej radości historia Pięknego Psa będzie więc miała ciąg dalszy; 18 maja otwarliśmy nasz klub po raz piąty.

Przed wami sporo wyzwań, za wami historia. Piękny Pies to jednak dziwna nazwa jak na klub muzyczny.

Maciej Piotr Prus: Wymyślili ją Krzysztof „Kiwi" Chwedczuk i Małgosia Żarczyńska moi – przed laty – wspólnicy. Piękny Pies – brzmiało oryginalnie, a nawet abstrakcyjnie. Nazwa nie nawiązywała do miejsca, które miało ją nosić, ale się przyjęła.

Czy miała z nią coś wspólnego bokserka poety Marcina Świetlickiego?

Wiele osób tak uważa, ale tej bokserki w czasie, gdy otwieraliśmy Psa, jeszcze nie było.

Dziwna nazwa i zaskakujący pomysł, by otworzyć klub. Jest pan przecież dziennikarzem, pisarzem, poetą.

Kraków to moje miejsce, ale że różnie się w życiu plecie, w którymś jego momencie wyjechałem do Paryża, stamtąd do Toronto, potem do Warszawy. Gdy wróciłem do Krakowa, by pracować w „Przekroju", nie chciałem się już stąd ruszać. Pomyślałem, że moja życiowa podróż mogłaby się tu domknąć. Zawsze lubiłem tutejsze niekończące się dyskusje przy drinkach albo kawie. Dobrze się czułem wśród tutejszych ludzi. Pies powstał jednak trochę przez przypadek, gdy dogadałem się z „Kiwim" i Małgosią. „Kiwi" wniósł energię i doświadczenie w tworzeniu krakowskich klubów, Małgosia artystyczną duszę. Wynikło z tego sporo ciekawych akcji plastycznych, muzycznych czy literackich. Myślałem wtedy, że pobawię się we właściciela lokalu ze dwa, trzy lata, a potem wrócę do zawodu dziennikarza. Ale Piękny Pies, który na początku był fantastyczną przygodą, rozgościł się w moim życiu na dobre.

Może dlatego, że – jak napisała w swojej rozprawie doktorskiej *Semiosfera mojego Miasta. Notatki* znana krakowska artystka Iwona Siwek-Front – Kraków sprzyja prowadzeniu życia w kawiarniach i klubach, a człowiek musi mieć wokół siebie odbiorców, bo ktoś musi pobudzić natchnienie, a nasza myśl ma mieć rezonans, obić się chociażby o ścianę, o mur, żeby do nas wróciła jak rykoszet i oświeciła mózg.

Trudno się nie zgodzić. Tyle że nawet jeśli pojawiają się w Krakowie ludzie z pomysłami i energią, to prędzej czy później uciekają – choćby do Warszawy – bo nasze miasto chyba woli tych, co już przeminęli od kreatywnych żywych. Kiedyś nawet smog i brak perspektyw tworzyły specyficzny krakowski spleen. Odnoszę wrażenie, że ludzie byli tu niedotlenieni, zapomnieli, jak to jest normalnie żyć, myśleć, pracować, więc przesiadywali w knajpach. Stworzyli tym „magiczną atmosferę", która stała się turystyczną atrakcją. Napisałem kiedyś, że reszta kraju powinna się opodatkować na rzecz Krakowa, bo jego mieszkańcy stanowią rodzaj dobra narodowego, mimo że miasto nie ma energii sprawczej.

Może nie do końca tak jest. Piękny Pies działa już niemal 20 lat mimo „niedotlenienia" właścicieli i mimo tego, że Kraków się zmienił, a miejsc do zabawy przybyło. Przetrwaliście przeprowadzki. Rozmawiamy dziś przy placu Wolnica, a to już czwarty adres klubu, no i jak wspomnieliśmy – piąte otwarcie.

Najpierw ulokowaliśmy się przy ul. św. Jana. Miałem wtedy tak zwany umysł początkującego, czyli kompletnie nie zdawałem sobie sprawy, jakie powinny być ograniczenia w prowadzeniu knajpy, dlatego niemal wszystko było u nas dozwolone. Nawet największe szaleństwa, nie wyłączając tańców na barze i na stolikach.

Tańczył pan na barze?

Tam wskakiwały głównie dziewczyny. Ale jak wszyscy poddawałem się atmosferze luzu i zabawy bez ram oraz bez hamulców, jeśli chodzi o wymyślanie tego, jak sobie uprzyjemnić czas. Inna niż obecnie

Maciej Piotr Prus; studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, mieszkał we Francji, był członkiem redakcji pisma „Kontakt", mieszkał w Kanadzie. Jest autorem dwóch tomików wierszy, zbioru opowiadań *Błędnik* (2003), powieści *Kukły* (2005) oraz książki *Wyznania właściciela klubu Piękny Pies* (2009). Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Max", a w latach 2000–2001 tygodnika „Przekrój", jest współwłaścicielem krakowskiego klubu Piękny Pies. W latach 2010–2015 wraz z Piotrem Bikontem prowadził tam odbywający się comiesięcznie magazyn mówiony „Gadający Pies". W 2017 roku opublikował, wydaną nakładem Ha!art powieść *Przyducha*.

była atmosfera, inne napięcia krążyły wpowietrzu, inna energia. Dziś powiedziałbym, że ludzie mieli wtedy więcej optymizmu, więcej radości nosili w sobie. No a Piękny Pies to było miejsce wyjątkowe i wyjątkowo zatłoczone. Imprezowicze wpadali nawet wśrodku nocy, gdy zamykano inne pobliskie knajpki, bo u nas można się było bawić do rana.

Kto bywał w Psie?

Łatwiej by mi było wymienić, kto nie bywał. Przekrój wiekowy był mniej więcej od osiemnastu do osiemdziesięciu paru lat. Najstarszy, o ile pamiętam, był malarz i scenograf Jerzy Skarżyński. Ale bywali też studenci – najczęściej ASP czy Wyższej Szkoły Teatralnej, a nawet młodzież maturalna. Z czasem rozniosło się, że do Pięknego Psa przychodzą właściwie wszyscy krakowscy artyści. Zachodził Marcin Świetlicki, Marcin Baran, czyli inny poeta, Grupa Ładnie... Na weekendy zjeżdżali do nas na przykład muzycy i aktorzy z Warszawy, która – jeśli chodzi o liczbę knajp i miejsc do zabawy – była wtedy taką środkowoeuropejską wioską.

Wystarczały rozmowy, tańce i trunki?

Przy Jana zapoczątkowaliśmy spotkania autorskie. Bywała u nas młodziutka Dorota Masłowska, zanim jeszcze stała się uznana i popularna. Były próby organizowania małych koncertów, pojawiali się performerzy. Ale w tamtym Pięknym Psie niemal wszystko, co najfajniejsze, działo się spontanicznie. Bywało, że jakiś zespół wchodził do Psa wprost z ulicy, zaczynał grać i rozkręcała się zabawa. A to Sycylijczycy ze swoimi instrumentami, a to górale, którzy akompaniowali wcześniej na jakimś weselu, a to śpiewak operowy, który dawał popis przy barze. Ludzie słuchali, a alkohol się lał strumieniami.

„Można chuliganić, imprezować, ale wtedy, jak coś z tego wynika, jest twórcze. (...) W wybranych przez bohemę kawiarniach na świecie zawsze tworzyły się ideologie, powstawały filmy, poezja, proza, obrazy, piosenki, scenariusze. To są takie miejsca, w których wyhodował się niejeden wielki człowiek" – pisała między innymi o Pięknym Psie Iwona Siwek-Front.

Artyści muszą mieć publiczność. Ich fani chcą mieć się czym chwalić następnego dnia. Fakt, że pili wódkę z Marcinem Świetlickim, Maciejem Maleńczukiem czy Sławomirem Shutym i to pod obrazem Marcina Maciejowskiego *Sabo, nie idź tą drogą*, podnosi ich towarzyskie notowania. W Psie wciąż udaje się spotkać ludzi, którzy mają coś do powiedzenia. Takie spotkania przy barze, toczące się u nas rozmowy były i są inspiracją. Przy Jana był tłok, ale ludzie – i ci znani już, i kompletnie anonimowi – poznawali się, zaprzyjaźniali na wiele lat. Jest też sporo wyswatanych przy okazji zabawy małżeństw.

Niektóre kluby spełniają rolę dawnych domów kultury – dowodem Alchemia, Kafe Szafe czy Piękny Pies.

A słyszałam, że miłość, która się narodzi w Pięknym Psie, jest krótka.

Na ogół. Ale znam pary, które przetrwały, ich dzieci dorosły i teraz zaczynają bywać w Psie. Odwiedza nas kolejne pokolenie.

Nie przedłużono wam umowy najmu lokalu przy Jana, bo byliście głośni.

Podobno. Zabawne, że budynek należał do Polskiego Związku Głuchych. Przenieśliśmy się więc na pięć lat na Sławkowską 6.

Niedaleko.

O rzut beretem, ale przy Sławkowskiej było już inaczej. Tam zaczęliśmy działać bardziej profesjonalnie. A to znaczyło, że straciliśmy ten właściwy Psu luźny charakter. Mieliśmy salę na dole, gdzie organizowaliśmy koncerty, wernisaże, imprezy kulturalne. A potem wpadliśmy z Piotrem Bikontem i paroma znajomymi na pomysł, żeby wydawać gazetę mówioną. Z tęsknoty chyba za zawodem dziennikarza.

Tak narodził się „Gadający Pies".

To było cieszące się dużą popularnością wydarzenie kulturalne, opisywane jako „antropologiczne pismo mówione". Przychodzili muzycy, literaci, profesorowie, ludzie sztuki. O tym, kto wystąpi, decydowało kolegium redakcyjne, w skład którego wchodzili choćby scenograf i grafik Aleksander Janicki, pisarz i kompozytor Edward Pasewicz, fotografik Andrzej Pilichowski-Ragno, wokalista Jorgos Skolias. Stałymi uczestnikami byli między innymi prof. Jerzy Vetulani, psychofarmakolog i neurobiolog, oraz Wojciech Bonowicz, poeta i publicysta. Każda z występujących osób dostawała pięć minut i mogła przez ten czas mówić, co chciała. Mam listę uczestników, która liczy kilkaset nazwisk. Zapraszaliśmy też osoby starsze ze środowiska krakowskiego, o których się powoli zapominało. Pojawił się Kazimierz Wiśniak, scenograf, malarz, współtwórca Piwnicy pod Baranami, oraz Jerzy Bereś, rzeźbiarz i performer – u nas odbyło się bodaj jego ostatnie wystąpienie przed śmiercią. Bywał Adam Macedoński, plastyk, za PRL działacz opozycji demokratycznej. Artyści przyjeżdżali z drugiego końca Polski tylko po to, żeby u nas wystąpić. To był ewenement, bo przecież nie zwracaliśmy pieniędzy za podróż. Bywało, że w ciągu jednego wieczoru prezentowało się i dwadzieścia osób. Profesor Czesław Rybotycki, etnolog i prezes Towarzystwa Przyjaciół Piwnicy pod Baranami, przyzwyczajony do wykładów, nigdy nie był w stanie zmieścić się w podarowanych mu pięciu minutach. Gdy mijały, profesor zawsze był przy wstępie... Ale, na przykład, profesor Vetulani wpisał się w tę pięciominutową konwencję genialnie. Mówił, że te pięciominutówki przypominały mu pierwsze lata Piwnicy pod Baranami. Odnajdował w nich podobną energię.

Profesor Vetulani mieścił się w pięciu minutach? Znam go jako gawędziarza uwielbiającego niekończącą się konwersację.

A jednak! Specjalnie przygotowywał sobie krótkie wystąpienia i rzadko przekraczał czas.

Patrzył na zegarek?

To ja trzymałem dyscyplinę. Miałem pięć zapalonych czerwonych lampek i co minutę wyłączałem jedną, żeby mówca wiedział, że czas mu się kończy. Jednym te minuty trochę wydłużałem, innym trochę skracałem. Spotykaliśmy się co miesiąc, potem rzadziej, przez jakieś 5–6 lat. Do każdego spotkania Aleksander Janicki robił plakat.

Byłby możliwy powrót do takich spotkań?

Nie sądzę. Piotrek Bikont zginął w wypadku, nie żyje profesor Vetulani. Rozpełzła się nasza energia sprawcza i chyba formuła się wyczerpała. Czasy mamy inne, życie przyspieszyło i nie widzę w sobie tej dawnej determinacji, a potrzeba, by jej było jeszcze więcej niż wówczas.

Ze Sławkowskiej przenieśliście się na ul. Bożego Ciała.

Z bagażem dziesięciu lat istnienia na karku. Zaczęła się zmiana pokoleniowa: my dorośliśmy do innego życia, a młodzi uznali, że Piękny Pies to miejsca dla „dziotków", i że się tam już nie chodzi. Klub podupadł, mimo że wtedy do jego kulturalnej strony przykładaliśmy bodaj największą wagę.

Kto namalował portret Pięknego Psa...

To jest plakat wykonany przez naszego wychowanka Piotra Gruszczyńskiego. Zaprojektował nam też tapetę, która została wydrukowana. Dzisiaj można ją sobie obejrzeć w naszej... toalecie.

„Dziotki", czyli starsi bywalcy, nadal przychodzą do Psa przy placu Wolnica?

Rzadko. Postarzeli się, zajęli czymś innym. Niektórym wysiadły wątroby. No i pamiętają czasy, kiedy wchodziło się do Psa i wszyscy byli znajomymi. Teraz to się zmieniło, więc czują się mniej komfortowo.

Co oferujecie młodym?

I ja, i Małgosia Żarczyńska, i Daniel Starczewski mamy ambicję, żeby Piękny Pies działał na dobrym poziomie, bo tylko wtedy się obroni. To sprawdzona recepta, która pozwoliła nam przetrwać te dwadzieścia lat, mimo wahań finansowych i dziur pokoleniowych. Miejsce musi być też w miarę przytulne, ale nie pretensjonalne, a muzyka dobra. Co nie zna-

czy, że musimy grać wyłącznie jazz. Dbamy, by barmani byli otwarci, żeby każdy kto przychodzi, czuł się u nas dobrze. I jeśli nawet na jakiś czas zmieni miejsce, to jest szansa, że wróci i zostanie, jak choćby Marcin Świetlicki (poeta, dziennikarz, wokalista zespołu Świetliki), Ziemowit Szczerek (dziennikarz, pisarz). Znani artyści przyciągają inne osoby. Ale pojawiają się równie ciekawi ludzie, którzy nie są medialnymi gwiazdami. Pamiętam, kilka lat temu Paweł Sołtys, ps. Pablopavo (pisarz, wokalista, autor tekstów piosenek i kompozytor), usiadł w fotelu przez nikogo nierozpoznany i przysłuchiwał się toczącej się przy barze rozmowie na temat kina czeskiego, o którym rozprawiał Jarek Trzupek, który co tydzień, przez kilka lat prezentował u nas filmy czeskie i słowackie z lat 40., 50., 60. ubiegłego wieku. Pokazy miały dużą publiczność. Tego typu działania są często niedoceniane, tymczasem niektóre kluby spełniają rolę dawnych domów kultury – czy to Alchemia, Kafe Szafe, czy Piękny Pies.

W Krakowie knajpy nie mogą być zbyt eleganckie. Do takiej można się przejść od czasu do czasu, ale nie codziennie. Żeby się dobrze czuć, krakus musi mieć trochę krakowskiego „brudku".

Także tutaj mamy propozycje kulturalne. Pokazywaliśmy, na przykład, zdjęcia Marcina Ryczka, są wystawy obrazów, pokazy filmowe, odbywają się koncerty, mamy spotkania autorskie. Ludzie zaakceptowali nasze nowe miejsce.

Wystrój i niebieskoszare ściany też?

W Krakowie knajpy nie mogą być zbyt eleganckie. Do takiej można się przejść od czasu do czasu, ale nie codziennie. Żeby się dobrze czuć, krakus musi mieć trochę krakowskiego „brudku". Takiego pod kontrolą.

Ten klub rozgościł się Pana życiu. A co w nim zmienił?

Zapewnił mi choćby kontakt z młodymi ludźmi. Mam 61 lat i widzę, że moi rówieśnicy inaczej funkcjonują. Zamykają się w gronie tych samych od dziesięcioleci znajomych, nie stawiają sobie wyzwań, nie muszą otwierać się na nowe, bo tego nowego nie znają. A ja ciągle spotykam się z różnymi ludźmi w różnym wieku. Rozmowy z nimi poszerzają moje horyzonty. Nie trwam w sprawach przeszłych. Piękny Pies to mój sposób na młodość. Moja inspiracja i... potrzeba kontroli wydolności wątroby. Wiem, jak się prowadzić, żeby przeżyć. To jest trudne, ale wypracowałem swoją metodę.

Piękny Pies zagościł też w pańskiej powieści *Przyducha*. Akcja toczy się na Kazimierzu i w centrum Krakowa. Jest w niej trochę atmosfery jakby z Orwella. W pewnym momencie pojawiają się zasieki i kontrole, trzeba się starać o przepustki, żeby przejść z jednej dzielnicy do drugiej. Przestrzeń, która była całością, została podzielona. Tak już było w naszym kraju. I taka perspektywa budzi obawy.

Cóż, zawsze ktoś może zabrać nam wolność albo ją ograniczyć. Ostatnio niespodziewanie zrobił to koronawirus. No, a rozkopana od miesięcy ulica Krakowska i Stradom, czyli dzisiejsza kazimierska rzeczywistość, czasem się niektórym ludziom z tamtymi powieściowymi obrazami kojarzy. Mam znajomego, który prowadzi w pobliżu sklepik. Czytał *Przyduchę* i jak widzi taśmy i barierki na Krakowskiej mówi, że te zasieki, które nie dają nam tu normalnie żyć, to ja już dawno przewidziałem.

Identyfikacją miejsca są konkretne osoby, anegdoty, które krążą w mieście latami. W *Wyznaniach właściciela klubu Piękny Pies* przytacza ich Pan sporo. Niektóre prawdziwe, inne mają trochę z literackiej fikcji. Jest na przykład opowieść o czołgu...

Wykonany był z listewek pokrytych materiałem. Miał lufę i sporo napisów. Wjechaliśmy nim na Rynek, wznosiliśmy okrzyki. Dołączały do nas kolejne osoby, choć nie bardzo wiedziały, co się dzieje. Czy to rewolucja, czy może jakaś akcja kibiców Cracovii, która rozgrywała wtedy mecz. Interweniowała straż miejska, bo jako „performerzy" nie mieliśmy pozwolenia na poruszanie się czołgiem.

A słynne teleportacje?

Krzysztof „Kiwi" Chwedczuk zbierał z klubu gości, którzy dotrwali do 6 rano, wsadzał do taksówek i wywoził gdzieś za miasto. Nawet do Zakopanego. Któregoś wieczoru zamknął lokal z ludźmi w środku i oznajmił, że otworzy go dopiero o 10 rano. Zgodnie z kartką wiszącą na drzwiach.

Znaczkiem rozpoznawczym klubu w tamtym szalonym czasie była Basia...

Basia czerpała energię z tego, że uczestniczyła w nocnym życiu Krakowa. To znana, choć dzisiaj już mniej, „Królowa Nocy", ćma barowa i osobowość, która na pewno jest częścią fenomenu Pięknego Psa. Była muzą malarzy, pisarzy, fotografów, muzyków i filmowców. Do klubu przychodziła około dziesiątej, czasami później. Nosiła buty na koturnach, ciasne, czarne, skórzane spodnie, skórzaną bransoletkę nabijaną ćwiekami... Włosy miała tlenione, usta krwistoczerwone, rzęsy postawione. Baśka potrafiła się przysiąść do stolika i rzucić: – Ej, idziesz po piwo? Weź mi małe. Albo nie, małe się nie opłaca. Weź mi duże. Kiedyś, pamiętam, zaszedł do nas na Sławkowską Adam Michnik. Basia go zaczepiła i mówi: – Jestem Basia. – A ja jestem Adam – odparł. Basia spojrzała na niego przeciągle: – Adamie, to może powiedz coś osobie...

Korzystałam z: Maciej Piotr Prus, *Wyznania właściciela klubu Piękny Pies*, Wydawnictwo EMG, Kraków 2009.

Majka Lisińska-Kozioł – absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi „Złotej Gruszki".

ul. Józefitów 16

JUŻ ZA CHWILĘ

otwieramy

drzwi

się

Ciebie

oczy

zbiory

oddział

MuFo

Muzeum Fotografii w Krakowie

www.mhf.krakow.pl

Fot. Walery Rzewuski. Ze zbiorów MuFo

Kraków

MuFo

Nazwa Projektu: Modernizacja i adaptacja zabytkowej siedziby Muzeum Historii Fotografii im. Walerego Rzewuskiego w Krakowie na potrzeby utworzenia Centrum Magazynowo-Konserwatorskiego i Digitalizacyjnego oraz Badawczego.

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Rzeczpospolita Polska

Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

Piotr Lutyński, *Nasze myśli realizują się w życiu*, akryl/metal/tkanina, 2019

Światoodczucie

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Zofia Zarębianka: Na ludzi oddziałuje się sobą, tym, jakim samemu się jest, jakie wartości się wyznaje...

Elżbieta Wojnarowska: Poeci zwykle ukrywają się za podmiotem lirycznym...
Zofia Zarębianka: Stosunkowo rzadko wypowiadam się jako „ja", w pierwszej osobie. Nawet gdy poruszam tematy prywatne, takie, których geneza sięga do własnego doświadczenia, własnego życia, nie posługuję się pierwszoosobową narracją liryczną... Najczęściej podmiot jest w moich wierszach ukryty, zakamuflowany, wypowiada się o nim ktoś jakby z zewnątrz. Tego rodzaju zabiegi służą zapośredniczeniu wyznania lirycznego, są parawanem dla nazbyt osobistych wyznań, mają chronić przed ekshibicjonizmem... Jakaś „ona" faktycznie często (ale nie zawsze!) jest tożsama ze mną, ale gramatycznie się chowa...
Pisząc z punktu widzenia jednostki, uogólniasz swoje, jej przeżycia jako los przynależny każdemu, a więc nam wszystkim.
Myślę, że to, co najbardziej własne, jest zarazem wspólne nam wszystkim jako ludziom, dotyczy w takiej czy innej formie każdego... Rzeczywistości doświadczane przez każdego z nas z osobna jako niepowtarzalne i odnoszące się jedynie do mnie samej, rzeczywistości fundamentalne egzystencjalnie jak choroba, cierpienie, śmierć, są nasze własne, indywidualne w swoim przebiegu – za każdym razem innym, w swojej formie i okolicznościach, ale też niezależnie od tych biograficznych odmienności – ponieważ wyznaczają jakąś podstawę bytu każdego człowieka. Pozostają też tym, co nas, jako ludzi, łączy... Czy nie dzięki temu, że tak jest, możliwe jest w ogóle porozumiewanie się między ludźmi?
Podsumowanie życia nie jest jednak u ciebie wesołe.
Nie czynię jeszcze jakichś generalnych podsumowań – i to samo w sobie jest optymistyczne... A że świat, rozliczne zagrożenia, wobec których stoi ludzkość i Ziemia jako planeta, są oczywiste i ja jakoś zawsze, od dzieciństwa mocno je odczuwałam czy przeczuwałam, to stąd wyczulenie na kruchość, przemijalność, tymczasowość życia na Ziemi.
Ale przecież doceniasz wartość każdej chwili, każdego istnienia, szczegółów świata, który nas otacza. Wręcz trzymasz się go kurczowo.
To też pewnie typ wrażliwości, sposób intuicyjnego i pozazmysłowego odbierania jakichś niewidocznych i niesłyszalnych sygnałów, zwiastujących te niebezpieczeństwa dla życia na planecie. W drugiej

***

Zmywam naczynia
I usiłuję przypomnieć sobie
Wiersz
Który przypłynął
Wczoraj w nocy
Niezapisany obraz
Porywa strumień
Wody

***

Lęk
Przetworzyć w wiersz
Zastygnie w milczeniu
Zamarznięte frazy
Nie znajdują na to słów
Zamierają
Na siniejących wargach

Zofia Zarębianka – poetka, eseistka, profesor w Katedrze Literatury XX wieku UJ, członek Pen Clubu, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Centrum Kultury i Dialogu przy Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum" w Krakowie. Debiutowała w roku 1981 na łamach „Powściągliwości i Pracy". Potem przyszedł stan wojenny i dopiero w 1992 roku wydała pierwszy tomik *Człowiek rośnie w Ciszy*. Później były jeszcze: *Wyrwane z przestrzeni* (1996), *Niebo w czerni* (2000), *Jerozolima została zburzona* (2004), *Wiersze: Pierwsze* (2008), *Tylko na chwilę* (2012). A także kilka prac naukowych, w tym *Zakorzenienia Anny Kamieńskiej* (1996), *Czytanie sacrum* (2008) i *Wtajemniczenia (w) Miłosza* (2014)

Z Orłowa

Byłam tutaj zanim się narodziłam
Niewielkie uliczki opodal
nadmorskiego brzegu
Stare wille w zaniedbanych ogrodach
Już wtedy z tego molo patrzyłam
w daleki
Horyzont
Było późne lato
Była wczesna jesień
W białych koralach i sukience w kropki
Stoisz w oknie
opierając się o framugę
I czekasz na mnie
uśmiechasz się łagodnie
Z czarno-białej fotografii
Którą pomału ściera czas

Konkluzja

Niejasne znaki
Nieczytelne hieroglify
Mozaiki z brakującymi
Kamyczkami
Jak to poskładać
Po prostu
Trwać
To wystarczy

połowie lat 70. minionego wieku, gdy zaczynałam na poważnie pisać, jeszcze w szkole średniej, podejmowana przeze mnie tematyka globalnego zagrożenia, w tym ekologicznego, była czymś w ogóle nieobecnym w polskiej poezji. Już wtedy pisałam o niszczeniu przyrody, o braku wody, o zatrutych źródłach życia Ale jakoś nikt z krytyków nie zauważył, że ja podjęłam ten problem dawno temu, chyba jako jedna z pierwszych... Zgadzam się więc – obraz, jaki się wyłania z moich wierszy nie jest jasny, przynajmniej w odniesieniu do wymiaru ziemskiego, do tego doczesnego tu i teraz. Lecz między umiłowaniem życia a poczuciem jego kruchości i przemijalności nie ma sprzeczności. Przeciwnie, im bardziej coś jest zagrożone, tym bardziej się to coś ceni, tym bardziej chce się wyssać do końca, ile można, żeby nic nie stracić.

Piszesz z punktu widzenia osoby wierzącej. Skąd więc tyle pesymizmu i niepokojów, jeśli chodzi o życie wieczne? Czy nie należy się cieszyć z końca trosk i powrotu do wiecznej szczęśliwości, cokolwiek rozumieć pod tym określeniem?

Wiara nie jest stanem statycznym. Gdyby była pewnością, nie byłaby wiarą, ale wiedzą. Wiara jest zaufaniem, ale i zmaganiem, ciągle ponawianym aktem zawierzenia. Wiara w moim rozumieniu jest wiernością Bogu, w tym sensie jest aktem woli niezależnym od uczuć. Często jest zawierzeniem w ciemności. Jest też coś takiego jak dynamika wiary, pisze o tym między innymi Paul Tillich. Zatem to nie jest, a nawet nie powinno być tak, że wiara niweluje troskę i niepokój. One są naturalne i – by tak rzec – są elementem wiary. Wiara nie pozbawia człowieka rozumu i refleksji. Jeśli by tak było, byłaby czymś powierzchownym, niewytrzymującym konfrontacji z brutalnością życia. Wiara wreszcie nie oznacza braku realizmu w odniesieniu do ziemskiego wymiaru, do naszego tu i teraz.

Istnienie zła w człowieku kłóci się z koncepcją stworzenia go na obraz i podobieństwo Boga, gdyż Bóg musiałby być także złem, nie tylko dobrem i miłością. Czy nie to wpływa na lęk przed śmiercią? Obawa o to, kogo i co tam napotkamy, jeśli napotkamy? Czy nie to mniej lub bardziej świadomie przekazujesz nam w swoich wierszach?

Ja niczego nie zakładam z góry. Gdyby tak było, to uprawiałabym wierszowaną moralistykę, a nie poezję. Każdy może sobie wyciągać z wiersza takie wnioski, jakie mu dyktuje jego indywidualna lektura i na jakie mu pozwala jego pojemność emocjonalna, wrażliwość i czasem też przygotowanie do odbioru. Ja piszę, a to, w jaki sposób wiersz zostanie odczytany, to już nie moja rzecz.

Jesteś profesorem. Czy praca naukowa nie przeszkadza ci w pisaniu poezji? Pisanie naukowe wymaga jednak innego zaangażowania intelektualnego niż twórczość metaforyczna, jaką jest poezja? Jak udaje ci się przechodzić z jednej formy w drugą?

Wiersze pisałam dużo wcześniej, niż zostałam profesorem. I to one pozostają główną formą mojej wypowiedzi pisarskiej, może nie w sensie ilościowym, bo tu przeważają formy dyskursywne, ale w sensie ważności. Prymat w moim pisaniu mają wiersze, stąd zresztą tytuł jednego z tomików: *Wiersze: Pierwsze*. Tu nie chodzi o wiersze pierwsze, czyli

wczesne, ale o to, że wiersze są w mojej świadomości najważniejsze. To, że jestem profesorem, jest niezależne i pozostaje rozłączne z faktem pisania wierszy. Nie odczuwam tu żadnej dychotomii...

Czyja i jaka twórczość zachwycała cię kiedyś, a jak jest teraz?

Każdy może sobie wyciągać z wiersza takie wnioski, jakie mu dyktuje jego indywidualna lektura i na jakie mu pozwala jego pojemność emocjonalna, wrażliwość i czasem też przygotowanie do odbioru.

Ja się rzadko zachwycam, a jeśli już, to pojedynczymi wierszami raczej niż całą jakąś twórczością. Efektem takich punktowych zachwytów są moje książki: *Bóg wpisany w wiersze, teologia poetów obcych* (2018) i tom drugi, tak samo zatytułowany, tylko dla odmiany: *teologia poetów polskich* (ma się ukazać do końca roku). Z ważniejszych nazwisk, które się tam pojawiają, wymieniłabym Paula Celana, Nelly Sachs, Rainera Marię Rilkego i Denise Levertov.

A moją niezmienną miłością jest twórczość Czesława Miłosza, którego uważam za najwybitniejszego polskiego pisarza (bo nie tylko poetę) XX wieku. Miłosz to dla mnie ranga taka jak Mickiewicz. Intelektualny rozmach jego dzieła jest czymś niezwykłym. A jego duchowa mądrość i głębia nie mają sobie równych.

Trudno mi wskazywać najbardziej ulubionych twórców, bo z racji zawodu czytam dużo i czasem wolę w ogóle od czytania odpocząć, posłuchać muzyki, iść do kina albo na spacer, posiedzieć z przyjaciółmi. To też ważne wymiary życia.

Jakie zasady zaszczepiasz swoim studentom kończącym studia? Idźcie i...

Na ludzi oddziałuje się sobą, tym, jakim się jest, jakie wartości się wyznaje... Chciałabym, żeby byli przyzwoitymi ludźmi, żeby rzetelnie podchodzili do swej pracy, żeby pozostawali w horyzoncie wartości. To jest coś, co ludzie wyniosą z kontaktu z tobą albo nie...

A jaką zasadę zaszczepili ci rodzice?

Chyba niczego mi specjalnie nie zaszczepiali... Po prostu byli. Był to dom o określonym profilu i to się zwyczajnie wynosi... Ale żeby to w jakieś formuły ujmować? Może jedna z Księgi Mądrości Syracha: „Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy mądrość serca osiągnęli". I druga z wiersza Miłosza *O aniołach*: „Zaraz dzień, jeszcze jeden, zrób, co możesz...".

***

A jeślibym jednak umarła
to jakie życie mnie czeka
zamiast słońca i wiatru
na ziemi
pod ziemią – podziemna rzeka
Leta
zamiast letniej zieleni
pamięć
zieleń odwoła
w śnie ciemnym zakorzeni
pod mchem

Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Pod Mocnym Aniołem, 2000

Znaliśmy się połowicznie. To znaczy ja dokładnie wiedziałem, kim On jest, a On niekoniecznie musiał wiedzieć, kim jestem ja. Dzisiaj już tego nie sprawdzę. Połączyła nas prasa studencka, w której zaczynaliśmy. A przede wszystkim stołówka RSW Prasa w Klubie „Pod Gruszką", gdzie wspólnie jadaliśmy pracownicze obiady, bodaj á 11 zł za komplet z kompotem. Stołówkę prowadził reżimowy koncern wydawniczy, ale jadało w niej całe środowisko, także ludzie z „Tygodnika Powszechnego", „Wieści" i też prywatnego (*sic!*) „Hasła Ogrodniczego" oraz wolni strzelcy na legitymację Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Każdy przychodził i siadał tam, gdzie było akurat miejsce. Redaktorstwo więc mieszało się ze sobą i rozmawiało między zupą a drugim daniem, które zwykło się opóźniać. Z tych rozmów zapamiętałem już wtedy Jego błyskotliwe, lekko zgryźliwie, ale zawsze dowcipne, ociekające ironią metafory. Z ciekawością więc pochłaniałem później wszystkie Jego krótkie formy, które publikował w periodykach i prasie codziennej.

Pod Mocnym Aniołem przeczytałem późno, bo już po balandze, jaką wyprawili w ogrodach hotelu Crow Piast w Bronowicach twórcy zrealizowanego na podstawie tej książki filmu z okazji zakończenia zdjęć w Krakowie. Po osobistej zresztą namowie Jacka Rzehaka – producenta. Film został dobrze oceniony i później nagrodzony, ale książka była znacznie lepsza. Nie na darmo Pilch dostał za nią jedyną w swoim dorobku nagrodę Nike. Choć nominowany był aż dziewięć razy!

Zawsze w Jego prozie frapowało mnie to, jak z odcieni szarości codziennego życia potrafi zrobić barwną, soczystą literaturę. Z ludzkich upadków i poniżenia – jego sięgające nieboskłonu wyżyny. Prosto, ale finezyjnie, zawsze ironicznie.

Jacek Balcewicz

Miasto utrapienia, 2004

Zacznijmy od rzadkości we współczesnej literaturze polskiej. Otóż *Miasto utrapienia* to normalna powieść, ze znakomitą ekspozycją, wciągającym początkiem, mocnym środkiem i zaskakującym końcem, a nie żaden apokryf czy marzenie senne. Powieść z punktami zwrotnymi i pierwszym akapitem, który – wiadomo, że od tego często uzależniamy swój zakup – wbija w fotel. „Urodziłem się w roku 1976 – dwa lata po największym w dziejach tryumfie polskiego futbolu i dwa lata przed wyborem polskiego Papieża. Przez całe dzieciństwo, a może i później, byłem absolutnie pewien, że Polska jest odwieczną piłkarską potęgą oraz że papież zawsze jest Polakiem".

O czym jest ta powieść? Recenzenci deliberowali, czy Pilch pisze o sobie, Warszawie czy kobietach. Pewnie można powiedzieć coś w rodzaju: to powieść o męskich kłopotach z ojcem, ojca kłopotach z jego ojcem, o silnym związku wnuka z dziadkiem. O wódce, kłamstwie i o seksie, seksie, seksie. Ale dzielenie włosa, uprawnione w przewodach doktorskich, wydaje mi się nietrafne, gdy recenzować książkę. Bo czy to ważne, że pisarz – tamten, ów czy Pilch – pisze o sobie? Pisarz rządzi emocjami czytelnika i liczy się tylko to, w jakim stopniu tenże czytelnik siebie odnajdzie w jego książce.

Ot: jakimi jesteśmy facetami? To pytanie na tyle banalne, że niemal nikt nie potrafi podejść do niego z litością i autoironią. Bo któż patrząc na kobiety, nie myśli o jednej (no, o dwóch rzeczach)? W opakowaniu Pilcha to, czego właściwie powinniśmy się wstydzić, dzięki autoironii przybiera kształt balona, z którego sami wypuszczamy trochę powietrza.

Witold Bereś

Moje pierwsze samobójstwo, 2006

„Duch babki Pechowej nie przychodzi do mnie", wyznaje Jerzy Pilch w opowiadaniu *Trup ze złożonymi skrzydłami* z tomu *Moje pierwsze samobójstwo*. Nie tylko ten duch. Żaden. W śnie Pilcha żaden zmarły nie puka do drzwi jego rodzinnego domu w Wiśle. Pamięć Pilcha – pusta. Nie ma gości. „Nigdzie nikogo". Lecz wystarczyło, że napisał: „Duch babki Pechowej nie przychodzi do mnie" – a widmo się zjawiało. Czyż nie? Przychodziło – w zdaniu tym. I inne widma bliskich w innych zdaniach jak wolno zapadający zmierzch.

W zdaniach opowiadań *Mojego pierwszego samobójstwa*. W powieściach Pilcha. W setkach małych próz, groteskowo zwanych felietonami, zwłaszcza w słownych krajobrazach zamarłej Wisły, żywych na stronach *Bezpowrotnie utraconej leworęczności*. Duchy przychodziły od początku do końca. Przychodziły zawsze. Wystarczyło, że zaczął pisać. Przychodziły, nie przychodząc, nie ruszając się z miejsc po tamtej stronie – gdyż Pilch wracał w czas przeszły dokonany, dzień w dzień układając zdania tutaj. Wracał – nie ruszając się z miejsca po naszej stronie. I starczało doprawdy byle co, by zaczęła się podróż rakiem. Choćby, jak w opowieści *Sobowtór zięcia Tołstoja*, zobaczona w gazecie fotka Lwa Tołstoja grającego w szachy. Ot, strzęp, lecz coś ukłuło. Coś w zdjęciu odebrało spokój narratorowi. Uchyliła się furtka. Odkręcił pióro. Słowo po słowie wrócił do domu, którego nie ma.

Ponoć dawni Grecy wchodzili w śmierć – tyłem. Mieli przed sobą całe życie. Nie znajduję lepszej formuły losu Jerzego. Jego pisania, jego pamiętliwych baśni. A teraz – zmarł. Nigdzie nikogo.

Coraz bardziej nigdzie, coraz intensywniej nikogo. Dobrze byłoby ułożyć zdanie, że już nie przyjdzie.

Paweł Głowacki

Piotr Lutyński, *Spacer*, 2020

Piotr Lutyński studiował na Wydziale Pedagogiczno-Plastycznym Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Tworzy malarstwo, obiekty, instalacje, performanse muzyczne oraz pokazy multimedialne. Jego prace pokazywane są w galeriach i muzeach. Ostatnio w Krakowie mogliśmy oglądać je w Bunkrze Sztuki na wystawie *Budda, Mars i jeleń*.

Świat widziany oczami zwierząt

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Marcin Gierat

Nosi jelenia na torsie, maluje abstrakcyjne obrazy, które łączy ze światem biologicznym, i gra koncerty dla pływających w akwariach ryb. Swoją galerię otworzył w starym autobusie, na dachu którego występuje. Piotr Lutyński jest artystą nietuzinkowym.

Co byście zrobili, widząc idącego z naprzeciwka mężczyznę z przypiętą do torsu głową jelenia? Nie obeszłoby się bez przynajmniej chwilowego zaskoczenia. Gdy zobaczyłam w MOCAK-u właśnie takie zdjęcie Piotra Lutyńskiego, podpisane *Second life*, nie miałam wątpliwości, że ktoś, kto daje drugie życie martwemu zwierzęciu, jest artystą niebanalnym. – Głowę jelenia kupiłem na pchlim targu, będąc w Stanach Zjednoczonych. Postanowiłem ją ożywić. Zakładałem ją na siebie i spacerowałem ulicami Nowego Jorku. Patrzyłem na świat oczami jelenia, dziwiąc się tej ludzkiej dżungli, w której się znalazłem, gdzie wszyscy za czymś gonią, nie zastanawiając się nad sensem swoich poczynań – wspomina twórca.

Rogi wykorzystuje też w swoich rzeźbach, instalacjach i obiektach. Niedawno na wystawie w Bunkrze Sztuki Lutyński zbudował mieszczańskie salony ze starymi meblami, przetartymi dywanami, nad którymi zawisły jelenie poroża. Z pozoru ciepłe wnętrza zostały zderzone z martwą – w dosłownym znaczeniu – naturą, wywołując w odbiorcach niezbyt przyjemne odczucia. Zresztą symbole biologiczne pojawiają się też w tworzonych przez niego tak zwanych obrazach skrzynkowych, w których znajdują się ziarna zbóż, muszle, ślimaki, nasiona, plastry wosku czy zasuszone owady. – To jest równoległy do naszego świat. Czerpiemy z niego więcej informacji, niż nam się wydaje. Bez niego cywilizacja by upadła – twierdzi artysta, który ów świat biologiczny łączy z abstrakcyjnymi obrazami, dopełniając je w ten sposób i wzmacniając przekaz.

Abstrakcyjne układy geometryczne otaczają też figurę Buddy. Rzeźba ubrana w kolorową czapkę ze słuchawkami na uszach zmusza nas do kontemplacji. – Nie jestem buddystą, ale pociąga mnie wizerunek starego człowieka o uśmiechu dziecka. Towarzyszą mu obrazy przedstawiające koła, które przynależą do wszystkich kultur. Takie okręgi nad naszymi głowami można zobaczyć dzięki zdjęciom wykonanym specjalnymi aparatami. Musieli je widzieć, choć w inny sposób, także ludzie w średniowieczu, skoro na obrazach przedstawiających świętych pojawiły się aureole – dochodzi do wniosku artysta, który od pewnego czasu zafascynowany jest fizyką kwantową.

Do istot żywych wibracje docierają także za sprawą muzyki. Nawet do ryb, którym Lutyński podczas jednej ze swoich akcji w Galerii Foksal w Warszawie puszczał dziesięć specjalnie dla nich skomponowanych utworów. Karpie słuchały dźwięków (i słów Marcina Świetlickiego), pływając w świecących akwariach – obiektach malarskich pomalowanych w kwadraty.

Muzyka odgrywa ogromną rolę w twórczości Piotra Lutyńskiego. Przed laty z Markiem Kozicą założył zespół Rdzeń, w którym grają różni artyści. Projekt KR736EJ to jeżdżąca galeria, pracownia, żywa rzeźba. W środku znajduje się biblioteka i swoista przestrzeń wystawiennicza, z którą artyści objechali Austrię, Niemcy, Czechy, a także sporą część Polski, występując na dachu pojazdu.

– Podczas jednego z koncertów w Strzeszynku dołączył do nas Leszek Możdżer, grając na harmonii. A po Krakowie jeździliśmy z okazji 15. urodzin Świetlików. Ostatnio Rdzeń, w składzie: Piotr Lutyński, Marek Kozica, Ewa Libera, Zbigniew Libera, Adam Rzepecki oraz Fryderyk Lutyński, wystąpił na ASP oraz w Bunkrze Sztuki, gdzie wykonaliśmy między innymi utwór *Wiosna w bolerku*. Można go posłuchać na You Tube. Mamy też zespół Rdzeń2, w którym od 2014 roku, podczas koncertów, pan Ryszard Krynicki czyta swoje wiersze – mówi Piotr Lutyński, dodając, że na razie autobus jest unieruchomiony, bo czeka na przyznanie mu statusu zabytku. – Jak go nie zarejestrują, to trudno, wymyślę coś nowego. W końcu to tylko materia, do której nie ma się co przywiązywać, bo tak jak my, jest na ziemi tylko na chwilę.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Odpowiada Piotr Lutyński

Jak określiłby pan etap życia, na którym się znajduje?
Dojrzały.

Czy sądzi pan, że może istnieć świat idealny?
Nie.

Jaki dar natury chciałby pan posiadać?
Nie wiem.

Co uważa pan za swoje największe osiągnięcie?
Świadomość.

Co uważa pan za swoją największą porażkę?
Brak świadomości.

W jakich okolicznościach pan kłamie?
W pewnych okolicznościach.

Jakie cechy najbardziej ceni pan u mężczyzny?
Stałość.

Jakie cechy najbardziej ceni pan u kobiety?
Skuteczność.

Jakie ma pan najprzyjemniejsze wspomnienie z dzieciństwa?
Podróże z rodzicami.

Pejzaż, który pan przywołuje, gdy przymyka oczy?
Góry.

Zapach, który zawsze będzie pan rozpoznawał?
Zawsze? Zapach poranka.

Przesąd, któremu się pan poddaje choćby żartem?
Czarny kot.

Gdyby mógł pan zmienić się w zwierzę, to co by to było?
Jeleń.

Gdyby mógł pan zmienić się w ptaka, to którego by pan wybrał?
Dzięcioła zielonego.

Jaki jest pana ulubiony kompozytor?
Henryk Mikołaj Górecki.

Jaki jest pana ulubiony malarz?
Jest ich kilku, na przykład Yves Klein.

Jaki jest pana ulubiony pisarz?
Fryderyk Nietzsche.

Bez jakiego dzieła sztuki nie wyobraża sobie pan życia?
Ukrzesłowienia z 1956 roku Andrzeja Wróblewskiego.

Pisać trzeba spod jaj

Rozmawiał Witold Bereś **Zdjęcie:** Danuta Węgiel

Jerzy Pilch: Dla mnie pierwszy zawsze jest obraz. Obraz, który nie jest jakoś wymyślony, zaplanowany, ale natrętnie zjawia się pod czaszką.

Tak Jerzy Pilch tłumaczył mi swoje inspiracje dwadzieścia lat temu (bo w 1998 roku), gdy dla jednego z niszowych pism zrobiłem z nim wywiad o sztuce pisania. Ale czy to pismo padło szybciej, czy to tekstu nie wydrukowało, dość, że tekst jest właściwie nieznany, a wydaje się – ciekawie oddaje warsztat pisarza.

Witold Bereś: Pamiętasz swój pierwszy tekst?

Jerzy Pilch: Cichcem wsunąłem się do literatury. Próbowałem wcześnie, gdzieś w szkole średniej – drukowałem wiersze i prozę w pismach typu „Na przełaj", na kolumnie „Licealiści piszą" w „Życiu Literackim"... A potem nagle przyszła przerwa, bo zacząłem polonistykę, co osobom niedoświadczonym wydaje prostą drogą do pisania. Oczywiście jest dokładnie odwrotnie. Ten okres mnie jakoś rozłożył. Myślę, że po prostu prawdziwym debiutem była moja pierwsza książka, opowiadania *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej*, rok 1988, kiedy miałem już 36 lat i byłem stary.

Co sobie pomyślałeś po ukazaniu się tej książki?

Byłem w takim wieku, że tego nie przeżywałem ekstatycznie. Raczej byłoby klęską, gdyby się książka nie ukazała. Pamiętam jednak pierwszy tekst drukowany w „Na przełaj". Takie poczucie cierpkości... Stan duszy w takiej sytuacji precyzyjnie opisuje Dostojewski, gdy Raskolnikow widzi w druku swój pierwszy tekst. To uczucie było tak zbliżone, że aż zwróciłem na to uwagę. Najpierw człek pisze, męczy się, a nagle staje się to zobiektywizowane, ktoś musiał się tym zająć, przepisać, ktoś składał, ktoś drukował. I wtedy widzisz kawałek samego siebie, zobiektywizowany fragment swej myśli...

A pierwsza książka po prostu miała swój czas, byłem na tyle jej głodny, że zaspokoiłem swój elementarny głód, a nie zająłem się jej smakowaniem. I jeszcze jedna ważna sprawa – przyniosła mi Nagrodę Kościelskich. I o ile teraz mój stosunek do nagród jest spokojniejszy, to wówczas bardzo mi na niej zależało.

Co najpierw tworzy dzieło? Duch, pomysł, spotkanie, kobieta, alkohol...

Dla mnie pierwszy zawsze jest obraz. Obraz, który nie jest jakoś wymyślony, zaplanowany, ale natrętnie zjawia się pod czaszką. *Inne rozkosze* wzięły się z tego, że wyobraziłem sobie kobietę niespodziewanie idącą do mnie przez ogród przed domem w Wiśle. Obraz tak natrętny, że musiałem go zapisać. I z niego brał się dalszy ciąg – bo jeżeli przeszła przez ten ogród, to musiała wejść do domu, potem musiała z kimś porozmawiać, trzeba było ją gdzieś posadzić itd.

Czasami decyduje pierwsze zdanie... Należę do ludzi przywiązanych do kryterium pierwszego zdania. Jako czytelnik lubię, gdy pierwszy akapit książki jest rozstrzygający. Musi być intensywny, dobry – jeśli tak jest, to ją czytam. Dlatego gdy piszę, to przywiązuję wagę do silnego początku.

Czy jest coś, jakiś szczegół, jakiś element otoczenia, który ci pomaga przy pisaniu? Schiller miał gnijące jabłko w szufladzie, Hemingway stał od rana przy pulpicie. A ty?

Takiego fetyszu nie mam. Ale muszę się przyznać (ta szajba pewnie przyszła mi z wiekiem), że muszę być niezwykle starannie ubrany. Jeśli nie mam na sobie nieskazitelnie czystych gaci, jeśli nie jestem skropiony dobrą wodą kolońską, nie mam olśniewająco czystej koszuli, to po prostu nie potrafię. Nawet gdy zimno – a w domu rodzinnym, w Wiśle, gdzie pisuję coraz częściej, bywa zimno – muszę być niezwykle starannie udrapowany w te rozmaite swetry i pulowery. Taki tajemniczy i niepojęty związek między wyglądem zewnętrznym narratora a światem przedstawionym...

Jak sobie wyobrażasz swojego czytelnika?

Trudno sobie wyobrazić anonimowego czytelnika – nie wiem, kto by to miał być. Natomiast bardzo ważne jest dla mnie wyobrażenie sobie kolegów – na przykład ciebie. Co też powiesz, jak się zachowasz. Z czasów, gdy pracowałem w galerii rysunków Andrzeja Mleczki, zapamiętałem jego powiedzenie. Otóż przynosił gotowe rysunki, ja się nad nimi wymądrzałem,

a on zawsze mawiał „Najważniejsze, żeby się chłopakom podobało”.

To ważne, że trzeba prawdziwie zaistnieć jako artysta dla kumpli, by uwierzyli w ciebie, że ty, jakiś Jurek Pilch, człowiek, z którym lubią się napić, jesteś pisarzem. (...) Gombrowicz pytał początkujących: „Ile razy przepisywałeś stronę?”. Ty powiadasz czasami, że każde słowo ma być pisane krwią. Czy rzeczywiście tak musi być?

Właściwie nie zdarza mi się napisać od jednego strzału (no, chyba że piszę o sporcie). Raczej idzie mi ciężko: jeśli kiedyś pisałem felieton – zdarzało się – trzy godziny, to teraz wolę mieć na to dwa, a najlepiej trzy dni.

Ale zasadą jest, że trzeba iść na maksa, iść na całkowitą całość, pisać, jak to czasami mówią, spod jaj, intensywnie. Tylko bez przesady: jak ktoś przepisuje tekst dwadzieścia pięć razy, to znaczy, że powinien zmienić zawód.

Czy życie pisarza ma jakieś przewagi nad życiem innych śmiertelników?

Jest coś takiego, że to fajne, że to nakręca. Satysfakcje bywają wciągające i intensywne. Jak mawiał Janusz Anderman, budzisz się, patrzysz, a tu obok zachwycone spojrzenie. Ale przeważają jednak tyły. I kompleksy. Przez to, że jesteś pisarzem, ostrzej widzisz własne kompleksy. Mocniej cierpisz. Masz chociażby rozliczne kłopoty materialne, bo twoja sytuacja jako człowieka żyjącego z pióra odbiega od normy innych kolegów, którzy na ogół są już ważnymi dyrektorami. Cierpisz więc aż do chwili, kiedy uświadomisz sobie to niewiarygodne szczęście życiowe, że nie jesteś żadnym ważnym dyrektorem.

To po co się tworzy? Dla zostawienia kawałka siebie, dla pieniędzy, z potrzeby pisania, dla sławy?

Odpowiedź jest oczywista i jak najbardziej prawdziwa. Pisze się, bo nic innego się nie umie. Tak jest w mojej sytuacji – z trudem to robię, ale to jest i tak jedyna rzecz, którą potrafię. Po prostu władam językiem polskim w piśmie, a i to, szczerze mówiąc, bez przecinków.

Dobrze byłoby pisać, bo się lubi, umie i jeszcze się na tym zarabia. Ale pisać, bo chce się na tym zarobić, to raczej dość niepokojący objaw. Tak może być w przedsięwzięciach rzemieślniczych, gdy piszesz określony gatunek, horror, powieść erotyczną, która po prostu rządzi się swymi regułami. Natomiast pisanie – przepraszam za wyrażenie – z potrzeby serca

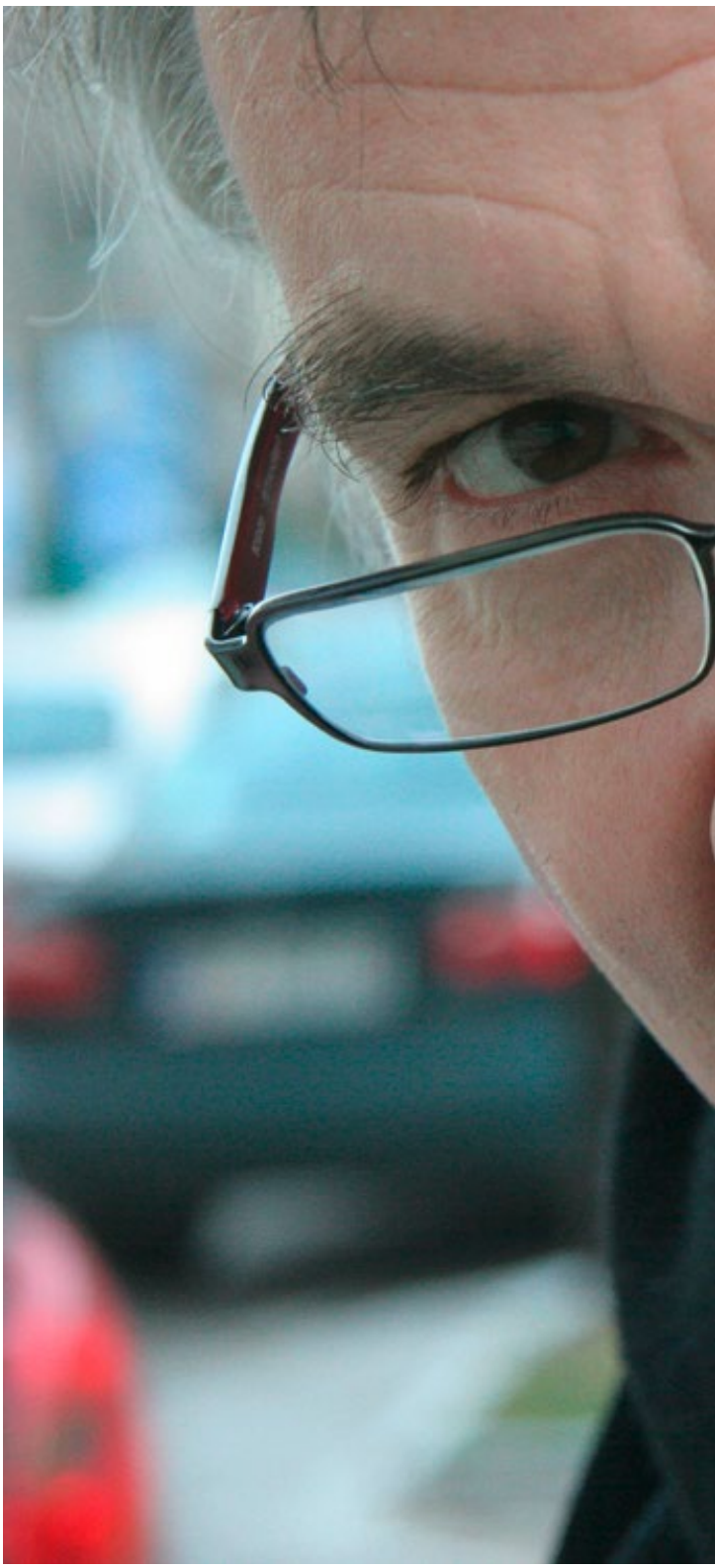

oznacza, że nigdy nie wiesz, jak to się skończy. Nie mówię tu niczego przeciwko zawodowcom, którzy robią kolosalną kasę na pisaniu gatunków, jak to jest na przykład ze Stephenem Kingiem. Może jest nierówny, ale trzeba powiedzieć, że takie *Lśnienie* to po prostu bardzo dobra literatura.

Tak, tacy faceci budzą zazdrość.

Czy pisarz musi być ekshibicjonistą, czy może myśleć o schowaniu dzieła w szufladzie?

Nigdy nie miałem okazji pisać do szuflady, może dlatego, że nie zahaczyłem o barierę cenzury. Pierwsza książka ukazała się za PRL, ale w wydawnictwie emigracyjnym. Potem nie było żadnych barier, a jest jeszcze element, który poniekąd uważam za oznakę grafomanii: wszystko, co napisałem – wydrukowałem. Z wyjątkiem pierwszej powieści, która powstała w 1978 roku, na dziesięć lat przed właściwym debiutem, nazywało się to *Masy upalnego powietrza*, miało 100 stron i jestem zadowolony, że się nie ukazało.

Tak się zatem przyzwyczaiłem do związku pisania z drukiem, że nie wyobrażam sobie innego pisania. Nawet nie prowadzę żadnych dzienników... Owszem, mam stosy zapisanych zeszytów, powstających z jakiejś potrzeby. Na przykład męczy potworny kac, już się z niego wychodzi, ale nie ma jeszcze pomysłu na to, co powinno być dalej, więc wówczas pisanie trzeba traktować jak terapię, dać folgę temu psychofizycznemu nawykowi i zapisywać cokolwiek w gruncie rzeczy. Samo to, że mogę znowu pisać, trzymać pióro w ręce, pomaga. (...) Lubię sytuację, gdy w zasadzie piszę opowiadanie, prozę kreacyjną, a jednocześnie mam swobodę. Jest jasne, że opowiadam to ja, Jerzy Pilch, felietonista „Tygodnika Powszechnego" urodzony 46 lat temu w Wiśle. Krótko mówiąc: mam mocne zaplecze w życiowej prawdzie i swobodnie operuję pięknem. A o to, powiedzmy sobie szczerze, choć brzmi to makabrycznie, w twórczości chodzi. O prawdę i o piękno. Czy nie jest tak, że dziś, aby dorównać pędowi, nawet najwyższa kultura musi myśleć o sprzedaniu się, o opakowaniu. Kompozytor myśli, jak zrobić show ze swojego najnowszego dzieła muzycznego, malarz myśli o prestiżowej galerii, a pisarz pisze tak, żeby bez problemów dało się zrobić scenariusz filmu? Czy dziś w ogóle można tworzyć bez myśli o rynku?

Tak, coś takiego się dzieje. Co o tym myśleć? Bo ja wiem... Konwicki zwykle nie zgadza się na adaptacje scenariuszowe. Ale to nowe pokolenie tak pracuje, żeby swoją twórczość jak najlepiej opakować. Jeśli Stasiuk wydaje książkę, to na niej jak wół stoi: *Dwie sztuki telewizyjne*, bo chodzi o to, by ktoś od telewizji to zauważył.

Jakoś się na to zgadzam z dość prozaicznego, a nie wydumanego powodu: za tym stoi kasa, z reguły całkiem poważna. Kiedy zwrócił się do mnie Rudek Zioło, by zrobić *Inne rozkosze*, to zgodziłem się i dlatego, bo to mój kolega Rudek, i dlatego, że ten jego kierunek myślenia o dziele mnie interesuje, i dlatego, że jakiś zarobek z tego był. Taka jest rzeczywistość świata kultury: trzeba walczyć o jak największe rozpowszechnienie, o atrakcyjne okładki, o promocję. I godzić się na adaptacje, choćby czasami zdarzało się ponieść duchowe straty z tego powodu.

Dziś mamy internet, fascynujące kino, komputery i co tylko dusza zapragnie. Czy książka jest jeszcze potrzebna? Czy będzie potrzebna?

Nie mam internetu, nie mam komputera, nie jestem właściwą osobą, by odpowiadać na takie pytania. Dla mnie zawsze książka była i jest rzeczą podstawową, a do tego dobre pióro, kartka papieru, niemalże kałamarz i codzienne wizyty w księgarni. Bez tego dzień mój byłby nieudany. Myślę, że to pójdzie w kierunku pewnej finezji. Będą i pocket booki, ale i białe kruki, maleńkie księgarnie, rarytasy, ekskluzywne domowe biblioteki. Pełna komputeryzacja, a z drugiej ten rynek ręcznych przyborów do pisania. Nie mówię o masówce, o jakiś pisakach, piórach kulkowych itd., ale o wyrafinowanych piórach wiecznych. Przecież teraz są takie pióra wieczne, jakich nie było, jak były tylko pióra wieczne. Niedawno się dowiedziałem, że pojawił się pelikan z mosiężnym tłoczkiem, który waży bodaj ze czterdzieści deko, a kosztuje pewnie tyle, co samochód. Niech tam zresztą kosztuje, ile chce, muszę go, kurwa, mieć.

Coś w rodzaju pozytywnego snobizmu?

Snobizm nie produkuje wyłącznie samego zła. Ze snobizmu można dojść do czytania Tomasza Manna.

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

GDYNIA

WYBIERZ VOUCHER W GDYNI

Nie odkładaj decyzji na później

moment

moment.pl/voucherwgdyni

#CZASNAGDAŃSK

GDAŃSK

VISIT GDANSK

VISITGDANSK.COM

Czekając na teatr

Tekst: Jakub Wydrzyński

Mateusz Pakuła, autor hitów Teatru Łaźnia Nowa, jeden z najbardziej cenionych dramaturgów i reżyserów młodego pokolenia (Gdyńska Nagroda Dramaturgiczna, Nagroda Specjalna miesięcznika „Teatr”), w czasach zarazy niedostępny na deskach scen, szczęśliwie dla teatromanów wciąż osiągalny w publikacjach krakowskiego wydawnictwa Lokator.

Jego szaloną wyobraźnię poznali widzowie Łaźni, Teatru im. J. Słowackiego, Teatru Starego w Lublinie, Teatru Żeromskiego w Kielcach, zaś jego najnowszy tekst – *Chaos pierwszego poziomu* tuż przed wybuchem epidemii zdążono wystawić w Starym Teatrze w Krakowie. Kto widział *Wieloryba the Globe* z fenomenalną kreacją Krzysztofa Globisza wie, że dramaty Pakuły są często związane z zespołem aktorskim oraz sceną, dla której pisze, lecz jego wydane drukiem najnowsze teksty (tom zawiera *Pluton p-brane*, *Chaos pierwszego poziomu*, *Cudowne mózgi braci Huxley*) pozwalają podpatrzeć warsztat i zrozumieć sceniczne zamysły Pakuły, prześmiewcy i miłośnika groteski w teatrze. O, ironio losu! Dwa miesiące od premiery w Starym pandemia COVID-19 uniemożliwiła dalsze granie tytułowego *Chaosu…*, czyli komedii o procesie ewolucji, której *dramatis personae* stanowią (prócz Darwina) dwa białka motoryczne, komórka jajowa, dinozaurzyca, szczur, ekoterrorystka oraz trio muzykujących gołębi. Doprawdy, aż strach wystawiać kolejne sztuki z „chaosem” w tytule. „W czasach, w których triumfy znów święcą stare zabobony, w których szaleją antyszczepionkowcy, płaskoziemcy i zaprzeczacze antropocentrycznego globalnego ocieplenia, w czasach, w których podważa się podstawowe naukowe fakty, bardzo potrzeba nam nauki i rozumu, również, a może zwłaszcza, w przestrzeni sztuki” – jeszcze w lutym grzmiał zza sceny Głos Jana Peszka. Dziś, gdy wypatrując lepszego jutra, w zaciszach domostw czytamy te fragmenty dramatu, kto w duchu nie zakrzyknie: „Święta prawda!”. Spośród trzech opublikowanych w tomie dramatów akurat *Pluton…* i *Cudowne mózgi…* są najbardziej intrygujące, bo oprócz nieposkromionej manii pastiszu oraz pakułowego dekonstruowania tekstów kultury i popkultury widać tu wyraźnie zarysowany konflikt między marzeniami o wielkich odkryciach, pragnieniem zbadania wszechświata a ludzkimi ograniczeniami i niepozornością naszej skromnej galaktyki wobec ogromu kosmosu. Szaleni naukowcy w tekstach autora *Smutków tropików* przypominają bohaterów *Teorii wielkiego podrywu*, nieporadnych nastoletnich nerdów uwięzionych w ciałach dorosłych mężczyzn i dyskutujących o ostatnim sezonie *Gry o tron*. Jak zauważa Jerzy Franczak: „W tonacji *buffo* wybrzmiewa tutaj filozoficzne *serio*”, a w rozrywkowej formie chodzi o egzystencjalne „rozerwanie żalu, smutku, rozpaczy”. Autor „wzywa nas do wolności, która pojawia się wówczas, gdy odrzucimy dyktat powagi i szantaż mitologii”, czego sobie i czytelnikom życzymy.

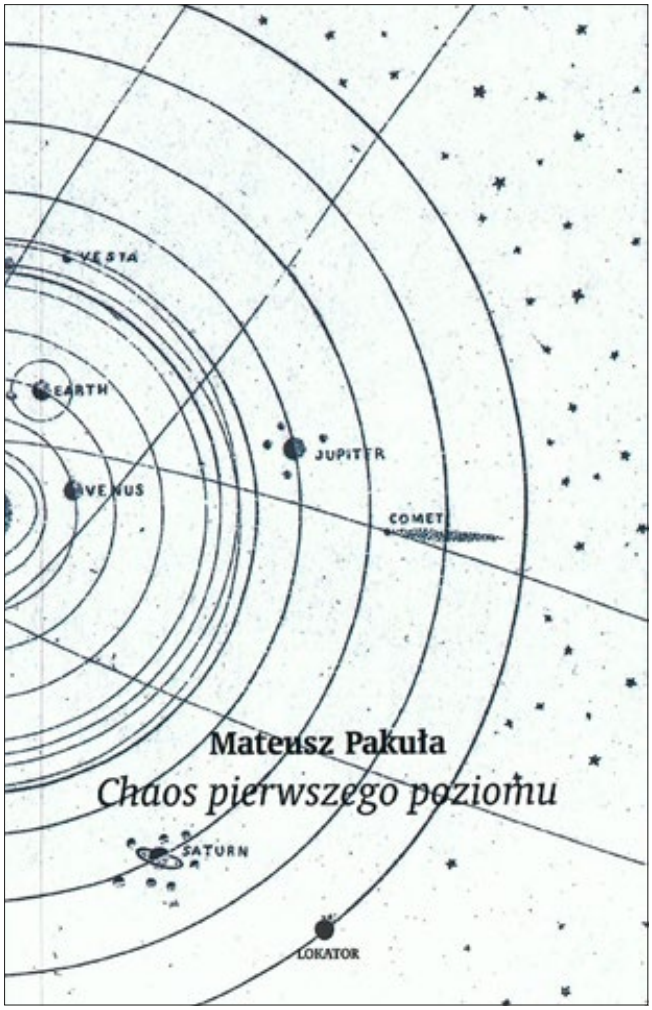

Mateusz Pakuła, *Chaos pierwszego poziomu*, Lokator, Kraków 2020.

Łódź płynie dalej

Tekst i zdjęcie: Katarzyna Łukasiewicz

#Zostańwdomu to hasło, które towarzyszy nam, odkąd pandemia koronawirusa szaleje w Polsce. Artyści i twórcy kultury stanęli przed ogromnym wyzwaniem przetrwania w wyjątkowo trudnym momencie.

Kreatywność i umiejętność adaptacji do zaskakujących okoliczności sprawiły, że łódzkie instytucje kultury i artyści przenieśli swoją aktywność do sieci.

Codziennością stały się koncerty, spektakle czy wernisaże online, a także wirtualne spacery między innymi szlakiem łódzkich fabrykantów.

Miasto Łódź udzieliło wsparcia artystom, uruchamiając program „Zdrowa Kultura".

– Wierzę, że aktywność kulturalna, twórcza odwaga, sztuka, literatura i muzyka pomagają przetrwać jeden z najcięższych kryzysów, z którym obecnie się mierzymy. W mieście o tradycjach filmowych i festiwalowych, mieście, które w swoim czasie aspirowało do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury, ważne jest zadbanie o dalszy rozwój sektora przemysłów kreatywnych. Mam świadomość niepokojów i trosk, które targają całą branżą kulturalną – od zaplanowanych wydarzeń na rok 2020 i zawieszenia działalności programowej, po nagłą utratę przychodów – tłumaczyła prezydent Hanna Zdanowska.

Mural szczególnie mi bliski – dzieło powstało w ramach IV edycji Festiwalu Urban Forms w Łodzi. Twórcą jest pochodzący z Chin artysta o pseudonimie DALeast. Przedstawia jelenia stworzonego z wielu różnokolorowych gałęzi, pośród których mieszkają ptaki. Znajduje się przy ulicy Łąkowej 10.

Program „Zdrowa Kultura" opiera się na czterech filarach, których łączna wartość to 1,5 mln złotych. Pierwszym są granty na kulturę – Łódź wspiera artystów, kolejne to: program Kultugranty 2.0., program wsparcia „karnet kultury" oraz czynsz za 1 zł dla pracowni twórczych.

Pierwsze skojarzenie Łodzi związane jest z filmem – tu powstało pierwsze stałe kino w Polsce i tu znajduje się słynna Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa i Telewizyjna. W myśl tej tradycji pierwszym kinem w Polsce, które zdecydowało się przenieść działalność do sieci, jest właśnie kino szkoły filmowej w Łodzi. Kino *online* funkcjonuje w formule, do której przyzwyczaili się już stali widzowie. Tematyczny repertuar zmienia się co tydzień, codziennie o stałej godzinie można oglądać jeden proponowany film. Każdy seans uzupełniają artykuły, eseje wizualne, dyskusje, wywiady i analizy prezentowane na profilu facebookowym.

Wyjątkową atrakcją czasu pandemii jest też kino samochodowe. Filmy prezentowane są na wielkim telebimie, a dźwięk do samochodu przekazywany jest drogą radiową.

*

Wspaniałą inicjatywą jest także największe na świecie wirtualne kino, które połączyło 47 kin studyjnych z całej Polski (w tym Kino – Galeria Charlie i Kino Bodo z Łodzi). Miłośnicy małych przytulnych kin z niebanalnym repertuarem mogą teraz poczuć namiastkę sali kinowej w domu.

Kino to bardzo ważny wycinek kulturalnej przestrzeni Łodzi.

Kolejne skojarzenie z miastem to... murale! Zdobią szczyty wielu łódzkich budynków, tworząc największą w Polsce zewnętrzną galerię miejską. Być może właśnie w czasie pandemii, kiedy galerie sztuki i muzea zostały zamknięte, ten oryginalny i dostępny dla wszystkich szlak artystyczny w Łodzi jest szczególnie ważny.

Murale powstają tu od lat między innymi w ramach Festiwalu Galerii Urban Forms, a wcześniej Międzynarodowego Festiwalu Graffiti. Współczesna zewnętrzna galeria miejska to nie tylko graffiti, ale również rozmaite instalacje na ścianach budynków – z prętów, części samochodowych, fragmentów luster, a nawet mchu. Twórcami są znani artyści streetartowi z Polski i zagranicy.

Dzięki muralom Łódź wzbogacana jest o kolejne dzieła sztuki w przestrzeni miejskiej. Zatem kiedy tylko hasło #zostańwdomu stało się już nie tak bardzo restrykcyjne, ruszyłam, aby patrzeć i zachwycić się kolejny raz. A w pandemijnej ciszy miasta intensywność murali jest większa niż kiedykolwiek.

Katarzyna Łukasiewicz – łodzianka, socjolożka, miłośniczka sztuki.

Lipiec-sierpień 1920

Tekst: Krzysztof Jakubowski

☞ **1 lipca.** Prasa donosiła o ostatecznej likwidacji filii magistratu krakowskiego w Podgórzu wraz z działającymi przy niej oddziałami.

☞ **1 lipca.** Z kroniki „IKC": „Wczoraj w południe dorożka nr 142 najechała podczas kawaleryjskiej jazdy na przechodzącego ulicą Adama Otofińskiego, weterana powstania 1863 roku. Staruszka ciężko pokaleczonego przewiozło pogotowie ratunkowe do szpitala".

☞ **1 lipca.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Onegdaj do mieszkania Piotra Noska w Rynku Kleparskim 16 wpadło w godzinach południowych dwóch bandytów. Jeden z nich chwycił Noska pod gardło, a drugi, grożąc napadniętemu kijem, zażądał wydania 7000 marek. Bandyta grożąc, krzyczał: »Zrobimy z tobą porządek. Byłem w Ameryce, Anglii, Francji i nic mi nie jest dziwne«. Gdy jednak na krzyk Noska wpadła do pokoju jego żona wraz z dziećmi, bandyci zbiegli".

Marka polska stała się prawnym środkiem płatniczym na terenie całej Polski na mocy ustawy z 15 stycznia 1920 roku. W dawnym zaborze austriackim zastąpiła koronę wymienianą w stosunku 70 koron za 100 marek.

☞ **1 lipca.** Redakcja „IKC" rozpoczęła zbiórkę broni, datków pieniężnych i innych wartościowych przedmiotów na potrzeby wojska. Listę darczyńców systematycznie publikowano.

☞ **2 lipca.** „Polska trupa liliputów z Sosnowca przybędzie do Krakowa i wystąpi parę razy w Teatrze Bagatela. Widowiska te zainteresują bez wątpienia szerokie sfery dziatwy szkolnej, dla której będą miłą i ciekawą rozrywką" – zachęcał „IKC".

Teatr Bagatela, otwarty w październiku 1919 roku, stał się szybko bardzo popularny. Jego założycielem był prasowy potentat Marian Dąbrowski, zarazem redaktor i właściciel „IKC".

☞ **2lipca.** „Czas" zamieścił komunikat: „Z dniem dzisiejszym wchodzi w życie rozporządzenie magistratu, na mocy którego przekupki sprzedające owoce przeniesione zostały na Mały Rynek, gdzie do godziny 6 po południu mają wykonywać swój przemysł. Po 6 stragany mają być usunięte. Dążeniem zarządu miasta jest, aby tylko w dni targowe do 12 w południe odbywała się w Rynku Gł. sprzedaż nabiału, drobiu i jaj. W godzinach popołudniowych Rynek ma być oczyszczony i wolny od straganów".

☞ **2 lipca.** „Wczoraj w sądzie przysięgłych odbyła się rozprawa przeciw Stanisławowi Traczowi, który 9 stycznia br. w domu wesołym Branda wraz z innymi towarzyszami napadł na bawiącego się tam z kobietami półświatka Teodora Kielana, sierżanta żandarmerii. Wyrwał mu browning i strzeliwszy dwa razy, zbiegł. Na wniosek obrony trybunał uchwalił dopuszczenie świadków odwodowych, poczym rozprawę odroczono do jesieni" – relacjonował reporter „IKC".

„Dom wesoły Branda" działał przy ul. Starowiślnej 76. Był to jeden z czterech istniejących wtedy w Krakowie domów nierządu. Po niemałych perypetiach przybytki te udało się zlikwidować wiosną 1920 roku, egzekwując postanowienia ustawy z listopada 1919 roku.

☞ **2 lipca.** „Głos Narodu" przyniósł smutną wiadomość o likwidacji kawiarni Franciszka Sauera mieszczącej się w bogato dekorowanych wnętrzach I p. przy ul. Szczepańskiej 1: „Kawiarnia Sauera była od wielu lat miejscem, gdzie zbierały się sfery literackie, dziennikarskie, artystyczne, a także inteligencja innych zawodów. Odznaczała się tym, że odwiedzali ją przeważnie goście aryjskiego pochodzenia. Nie była też nigdy widownią załatwiania interesów paskarskich".

☞ **3 lipca.** Z rubryki ogłoszeń „Czasu": „Ekonom gorzelnik, z długoletnią praktyką i teorią, poszukuje posady. Zgłoszenia: J. Ziarnowski, Kraków Starowiślna 36, oficyny II p.".

☞ **5 lipca.** Z kroniki „IKC": „Wczoraj lotne oddziały policji dokonały obławy na popisowych w kawiarniach, teatrach i na boisku sportowym »Makkabi«. Badano dokumenty, szereg osób przytrzymano".

Nasilone działania policji wiązały się z apogeum wojny polsko-bolszewickiej i kontrofensywą sowietów, a popisowymi nazywano wtedy poborowych. Stadion Żydowskiego Klubu Sportowego Makkabi to dzisiejszy Nadwiślan.

☞ **5 lipca.** Z podaną powyżej informacją wiąże się kolejna, zamieszczona w tej samej kronice: „Wczoraj w nocy zawezwano pogotowie ratunkowe do Dąbia, gdzie z okna domu nr 102 wyskoczył z obawy przed ścigającym go patrolem wojskowym popisowy Stanisław Kremer , doznając urazu kręgosłupa. Po udzieleniu pierwszej pomocy pogotowie przewiozło go do Szpitala św. Łazarza".

☞ **5 lipca.** „Osławiona z kronik policyjnych i sądowych Rydlówka, gniazdo szumowin i mętów społecznych, była onegdaj terenem śmiałego napadu. Zarządca podatkowy p. Maślankiewicz wiózł wozem swą rodzinę na wakacje do Kalwarii. W przejeździe przez Rydlówkę pod Podgórzem rodzina została napadnięta przez opryszków, którzy wdarli się na wóz i zrabowali wszystkie bagaże. Po-

Dawna siedziba magistratu miasta Podgórza mieści dziś między innymi biura Urzędu Miasta Krakowa. Widokówka, ok. 1917, archiwum autora

Adam Didur (1874–1946), jeden z najwybitniejszych polskich śpiewaków, bas-baryton. Fot. ok. 1915, domena publiczna

Generał Stanisław Szeptycki (1867–1950). Fot. ok. 1920, domena publiczna

licja wszczęła pościg za sprawcami, którzy niebawem zostali ujęci, w osobach Jana Gajeca, Leona Lisowskiego, Antoniego Woźniaka i Franciszka Łobodniaka. Ze względu na to, że Rydlówka jest postrachem okolicy, konieczne jest tam wzmocnienie bezpieczeństwa" – dopominał się „IKC".

☞ **6–16 lipca.** W związku z kontrofensywą bolszewicką w trwającej wojnie prasa wszystkich odcieni przytoczyła wiele utrzymanych w patriotyczno-patetycznym tonie relacji z wieców, uroczystych deklaracji, odezw etc.

☞ **7 lipca.** Z kroniki „Nowej Reformy": „Najsławniejszy polski śpiewak obecnej doby, który w ciągu kilku ostatnich lat odnosił triumfy w Ameryce, Adam Didur, pozyskany przez Krakowskie Towarzystwo Operowe, wystąpi dwukrotnie (7 i 9 lipca), w operze »Cyrulik Sewilski«".

☞ **7 lipca.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Onegdaj na pl. Szczepańskim nadinżynier P.P. dostał ostrego ataku szału i rzucił się na ludzi z brzytwą. Z trudem zdołano go ująć, gdyż licznie zgromadzona publiczność krakowska zamiast dopomóc, przeszkadzała. Chorego odwieziono do zakładu dla umysłowo-chorych".

☞ **10 lipca.** Jak relacjonował „Czas": „Dobrowolny zaciąg ochotników w koszarach Kościuszki przy ul. Rajskiej (I p., pok. 64) już od pierwszej chwili rokuje najlepsze powodzenie, a natłok zgłaszających się wskazuje, że należy co rychlej ustanowić drugie biuro werbunkowe. Przy komisji przeprowadzającej dobrowolny zaciąg urzędować będą od dziś dwaj członkowie Rady Miasta, jako reprezentanci społeczeństwa, oraz urzędnik magistratu. Zgłoszenia przyjmowane są od 8 rano do 2 po południu".

☞ **10 lipca.** Z kroniki „IKC": „Wczoraj zawezwano pogotowie ratunkowe do p. S. zamieszkałej przy ul. Kołłątaja 3, którą ukąsiła mucha. Skutek ukąszenia był fatalny, gdyż spowodował zakażenie krwi. Prawie umierającą p. S. przewiozło pogotowie do szpitala".

☞ **11 lipca.** Dzienniki donosiły o tragicznej w skutkach katastrofie. Samolot lecący z lotniska w Rakowicach, po minięciu Dębnik i koryta Wisły, zaczął niebezpiecznie opadać na wysokości ul. Słonecznej (dziś Prusa), po czym uderzył w dach i komin tamtejszej szkoły podstawowej. Następnie maszyna spadła z impetem na pole ziemniaków w sąsiedztwie szkoły, zahaczając jeszcze o drzewo. W katastrofie zginęli 27-letni sierżant Józef Jaworski oraz st. żołnierz, 21-letni ks. Antoni Radziwiłł.

☞ **11 lipca.** Notatka z „Nowej Reformy": „Wczoraj wezwano pogotowie do Anny Burdyl, zamieszkałej przy ul. Zwierzynieckiej 17, służącej, którą chlebodawca pobił do nieprzytomności. Tego rodzaju pobicie ma miejsce już trzeci raz".

☞ **15 lipca.** „Wskutek rekwizycji samochodów i motocykli dyrekcja policji wstrzymuje aż do odwołania ruch samochodowy" – obwieszczał „Czas".

☞ **15 lipca.** „Nowa Reforma" zamieściła tekst uchwały podjętej przez członków redakcji „Nowego Dziennika", mocą której – solidaryzując się z uchwałą Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich – oddali się oni do dyspozycji dowództwa wojskowego.

„Nowy Dziennik", ukazujący się w latach 1918–1939, był najpoważniejszą żydowską gazetą wydawaną w języku polskim.

☞ **22 lipca.** „Biuro werbunkowe Ochotniczej Legii Kobiet na Zachodnią Małopolskę mieści się przy ul. Grodzkiej 65 (koszary Legionów). Praca w Legii jest przeważnie wartownicza, są też sekcje biuralistek, oświatowe i sanitariuszek. Wszystkie ochotniczki przechodzą ćwiczenia, podlegają dyscyplinie wojskowej i są na prawach szeregowców, jak w oddziałach męskich" – przypominała „Nowa Reforma".

☞ **23 lipca.** „IKC" zamieścił taki oto anons: „Wzywam wszystkie moje pracownice, by zgłosiły się w Szatni Kobiecej, Kraków, pl. Szczepański 3 I piętro, w celu szycia bielizny dla armii – płaca podwyższona. Jakubowska".

☞ **28 lipca.** „Czas" przytoczył fragment tekstu z „Gazety Lwowskiej": „Przez Lwów przeciągają codziennie mniejsze i większe grupy jeńców bolszewickich. Wygląd ich zwraca powszechną uwagę. Obdarci, noszą na sobie łachmany wszelkich mundurów, wśród których widzi się nierzadko dawne pruskie. Charakterystyczny klekot drewnianych bucików robi wrażenie, jakby szła grupa Chińczyków".

☞ **29 lipca.** „Odpłatne wzloty pasażerskie nad Krakowem, urządzane przez szkołę lotniczą, odbywają się od dwóch dni z lotniska w Rakowicach. Dla amatorów jazdy powietrznej jest do dyspozycji 10 aparatów pod kierownictwem najbardziej doświadczonych instruktorów-lotników. Dotychczas odbyło wzloty pasażerskie kilkadziesiąt osób, zarówno pań, jak i panów. Krążącym nad Krakowem samolotom pasażerskim przygląda się codziennie liczna publiczność" – relacjonował reporter „IKC".

Przypomnieć warto, że od maja1919 roku działała w Rakowicach Niższa Szkoła Pilotów. Wieńczący kilkumiesięczne kursy egzamin nie należał do łatwych, toteż zdawał go co drugi chętny. W sierpniu 1920 roku szkołę przeniesiono do Bydgoszczy.

☞ **29 lipca.** Z kroniki „Nowej Reformy": „Wczoraj o godz. 9 rano zdarzył się na dworcu towarowym podczas ładowania amunicji straszny wypadek. Przy przenoszeniu do samochodu paczek z pociskami, jeden granat wysunął się i upadł obok najbliżej stojących. Trzech żołnierzy zostało całkiem rozerwanych, dwóch ciężko, a trzech lekko rannych".

☞ **30 lipca.** „Maria Zagórska aresztowana niedawno za wypowiedzenie podczas mowy swej pod pomnikiem Grunwaldzkim krytycznych słów po adresem Belwederu, została wypuszczona na wolność, gdyż stwierdzono, że mówczyni uniesiona zapałem patriotycznym dopuściła się wykroczenia bez złych intencji" – donosił „Czas".

31 lipca. Dzienniki przyniosły wiadomość o zawieszeniu działalności wszelkich zespołów muzycznych w kawiarniach i restauracjach. Decyzja taka podjęta została jednomyślnie przez właścicieli lokali w związku z poważną sytuacją na froncie.

4 sierpnia. Jak odnotował „Głos Narodu": „W niedzielę rano przybył do Krakowa generał Szeptycki. Z pociągu wysiadł o własnych siłach i wsiadł do karetki Pogotowia, która odwiozła go z dworca do mieszkania ks. Sapiehów przy ul. Szlak. Generał przechodzi jeden z najcięższych przypadków czerwonki. Obecnie niebezpieczeństwo minęło".

Stanisław Szeptycki (1867–1950), gen. broni, był jednym z wybitniejszych sztabowców w historii polskiej wojskowości. W wojnie polsko-bolszewickiej dowodził frontem północno-wschodnim. Podczas zamachu majowego (1926), opowiedział się za rządem, czym przekreślił swą dalszą karierę. Jego bratem był długoletni zwierzchnik kościoła grekokatolickiego, metropolita lwowski Andrzej Szeptycki.

7 sierpnia. „IKC" zamieścił ostrzeżenie: „Za długi syna mojego najstarszego Mońka Hammera nie odpowiadam i pieniędzy pożyczanych przez niego na mój rachunek pod żadnym warunkiem zwracać nie będę. S.E. Hammer".

11 sierpnia. Jak donosił „Czas": „Wczoraj w południe zjawiła się u prezydenta miasta Federowicza delegacja dorożkarzy, by przedstawić mu swoje życzenia w sprawie świeżo wydanej przez magistrat taryfy normującej ceny jazdy. Dorożkarze czując się pokrzywdzeni nową taryfą, zagrozili strajkiem".

12 sierpnia. Informacja z „Głosu Narodu": „Magistrat komunikuje, że w miejscu do kąpieli przeznaczonym (na lewym brzegu Wisły, naprzeciw pałacu Lasockich) urządzono dla wygody publiczności namioty służyć mające jako rozbieralnie".

13 sierpnia. Z kroniki „IKC": „Wobec oddania nowo urządzonego placu targowego i na postój wozów w dzielnicy XII, na pl. Na Stawach, magistrat zarządził przeniesienie wszelkich stanowisk wozów w dz. XII i XIII na powyższy plac. Zatrzymywanie się wozów na dotychczasowych miejscach będzie surowo karane".

13 sierpnia. Wiadomość z tej samej kroniki: „Nocy ubiegłej organa policyjne i wojskowe wykryły tajny dom gry hazardowej przy ul. Berka Joselewicza 5. Aresztowano dwadzieścia kilka osób, w tym kilku dezerterów uchylających się od służby wojskowej".

18 sierpnia. Dzienniki relacjonowały uroczystość na stacji Grzegórzki, gdzie arcybiskup Sapieha poświęcił wyruszający na front pociąg pancerny „Śmierć". Na jego wieżyczce umieszczono flagę z trupią czaszką i napisem „Śmierć komunie".

Stacja Grzegórzki należała do tak zwanej kolei kocmyrzowskiej. Jej dworzec stał w latach 1899–1964 przy ul. Podgórskiej naprzeciw zabudowań Rzeźni Miejskiej.

18 sierpnia. Jako podejrzanego o agitację bolszewicką aresztowano w Krakowie, przez sąd okręgowy w Wadowicach, 44-letniego Wojciecha Batkę zamieszkałego przy ul. Felicjanek 23. Batko został odstawiony do więzienia w Wadowicach.

20 sierpnia. Z kroniki „Głosu Narodu": „Przebieg epidemii czerwonki, panującej obecnie w Krakowie, jest względnie łagodny, śmiertelność waha się w normalnych granicach, chorych umiera 11 procent. Dziennie bywa zgłaszanych ok. 30 przypadków. Szerzeniu choroby sprzyja pora letnia, a z nią psucie się potraw i pokarmów ulegających łatwo gniciu. Wobec tego, że w bieżącym roku wiosna rozpoczęła się wcześnie, czerwonka zaczęła panować już w lipcu. W zeszłym roku pojawiła się we wrześniu. Tyfus plamisty, który zaczął szerzyć się w grudniu ub. r., trwał pół roku i obecnie zupełnie wygasł".

21 sierpnia. „Za oszczerstwa na państwo polskie i kradzież aresztowano 49-letniego Jana Lecha, robotnika z Zakrzówka. Na inspekcji policyjnej przed rewizją dobył on z kieszeni i połknął trzy monety złote" – relacjonował reporter „Głosu Narodu".

21 sierpnia. Dzienniki donosiły o schwytaniu na granicy Górnego Śląska i przewiezieniu do obozu internowanych na Dąbiu około 1200 dezerterów. Przeważali wśród nich Żydzi.

22 sierpnia. Przykrą wiadomość przyniósł „IKC": „Wczoraj popełnił samobójstwo, zamieszkały przy al. Mickiewicza, prof. UJ śp. Adam Prażmowski. Denat liczył lat 67. Powodem rozpaczliwego kroku był rozstrój nerwowy".

Raczej zapomniany dziś prof. Adam Prażmowski (1853–1920) uznawany jest za jednego z twórców polskiej mikrobiologii.

26 sierpnia. W gazetach ukazał się komunikat: „Z powodu świetnych zwycięstw naszych wojsk prezydium miasta i wojskowość zarządziły dekorację magistratu oraz wszystkich urzędów miejskich i wojskowych".

27 sierpnia. „Firma Adam Piasecki Fabryka Czekolady i Cukrów subskrybowała 600 tys. marek polskich na długoterminową pożyczkę i ofiarowała 2,5 tys. tabliczek czekolady o wartości 36 tys. marek dla żołnierza polskiego" – odnotował „Czas".

27 sierpnia. „Głos Narodu" opisał przypadek ppor. Herzoga Ferbera skazanego na karę śmierci przez rozstrzelanie za udowodnione przez wojskowy sąd doraźny „szerzenie bolszewizmu".

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Tysiąc spokojnych miast, 1997

Jerzy Pilch twierdził, że dla książki kluczowe jest pierwsze zdanie... Czytam więc: „Gdy ojciec i pan Trąba postanowili zabić I sekretarza Władysława Gomułkę, panowały niepodzielne upały, ziemia trzeszczała w szwach, rozpoczynała się udręka mojej młodości". I wchodzę w książkę bez opamiętania.

W kwietniu 1998 roku za *Tysiąc spokojnych* miast (wydawnictwo Puls) pisarz uhonorowany został Nagrodą Krakowska Książka Miesiąca. Spotkanie w Śródmiejskim Ośrodku Kultury prowadził Jan Pieszczachowicz, przewodniczący kapituły. Jerzy Pilch był już znanym nie tylko w Krakowie twórcą, a popularność przypieczętowała ekranizacja *Spisu cudzołożnic* z 1994 roku w reżyserii Jerzego Stuhra. Nie pamiętam, jakie książki konkurowały z nagrodzoną. Można uchylić rąbka tajemnicy, że nie została ona wybrana przez jury jednomyślnie. Z jednej strony londyńskie wydawnictwo, z drugiej historia o przygotowywanym w 1963 roku zamachu na komunistycznego przywódcę Polski – Gomułkę. Świetna opowieść przepełniona groteską i absurdem. W 2010 roku wydana po angielsku, doczekała się recenzji w amerykańskim prestiżowym Kirkus Reviews. W 1998 roku czekaliśmy na laureata niecierpliwie. Przyjdzie, nie przyjdzie? Widownia wypełniona... Przyszedł w ostatniej chwili otoczony wianuszkiem rozentuzjazmowanych kobiet – oczywiście młodszych od siebie. Na sali zasiadały koleżanki ze studiów, zastanawiające się, czy je rozpozna... Tego samego roku pierwsza nominacja do Nagrody Nike. To było ponad 20 lat temu?!

Janusz M. Paluch

Marsz Polonia, 2008

O wadze Jerzego nie świadczą opisy chlania (choć te są tyleż brawurowe, co porażająco głębokie i prawdziwe) czy, jak sam to określał, dymania. O znaczeniu Pilcha świadczą opisy i diagnozy Polski oraz Polaków. Ich zwieńczeniem – zważywszy na tytuł, można powiedzieć nawet: zwieńczeniem symbolicznym – może być ta, niedoceniona niestety, minipowieść. Utrzymana w formule relacji z wyjazdu na jeden z legendarnych „całodziennych – z wolna przeradzających się w orgię – rautów", które na początku stulecia wydawał w posiadłości pod Warszawą Beniamin Bezetzny, „ekscentryk nad ekscentrykami, swawolnik nad swawolnikami, rozpustnik nad rozpustnikami", naczelny jednego ze skandalizujących tygodników polityczno-obyczajowych, a niegdyś przenikliwy publicysta i znienawidzony przez cały naród za swój cynizm rzecznik komunistycznego rządu. W istocie to opowieść o Polsce, która zdobyła wolność – ale przecież wciąż tyleż postsolidarnościowej, co postkomunistycznej, wciąż obijającej się między Zachodem i Rosją, między rodzimym katolicyzmem a skłonnością do rozmaitych nałogów i discopolowych (w szerokim rozumieniu) rozrywek, między światowymi ambicjami a chłopsko-szlachecką mentalnością.

I taki krajobraz ojczystej mazowieckiej równiny: „Raz po raz zza sztucznie usypanych wzgórz wyłaniały się otoczone parkami warowne zamki albo spartańskie kilkudziesięcioizbowe rezydencje. Mijaliśmy przeszkolone nawet w kiblach i rzęsiście pomimo południa oświetlone centra kultury europejskiej, (...) baraki biedoty, które jeszcze dwadzieścia lat temu były uchodzącymi za szczyt luksusu willami, rozpostarte na ruinach socjalistycznych fabryk pola golfowe, ślepe i przypominające sześcienne dziwowiska natury hurtownie, zagubione w szczerym polu apteki z ogromnym neonowym krzyżem na dachu; przydrożne bary, puby i burdele – wszystko było inne i wszystko było nowe; starą komunistyczną Polskę przypominały jedynie pola i lasy, trawy i drzewa".

Rozmowy z nim o Polsce były równie ciekawe, jak te o alkoholu i kobietach.

Krzysztof Burnetko

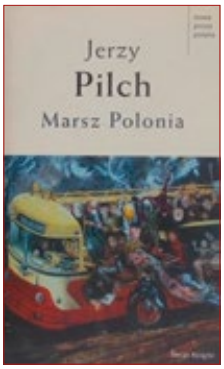

Bezpowrotnie utracona leworęczność, 1999

Zawsze stał na półce, w prawym górnym rogu. W dobrym towarzystwie – Manna, Płatonowa i kilku innych panów, których sam uznawał za mistrzów. Gdy przyszła wiadomość, że go nie ma, w naturalnym odruchu chciałam sięgnąć po jego książkę. Pierwszą, jaka przyszła mi do głowy, była *Bezpowrotnie utracona leworęczność*. Pewnie ze względu na słowo „bezpowrotnie". Stałam przed półką, ale pożądanych felietonów tam nie było. Powiedzieć, że ich tam nie było, to nic nie powiedzieć. Im bardziej ich szukałam, tym bardziej ich tam nie było. Ogarnęła mnie wściekłość na kogoś, kto „pożyczył" ów egzemplarz, uniemożliwiając mi zaspokojenie głodu lektury Pilchowej frazy, za pomocą której autor przechadza się po szpitalnym korytarzu i ulega urokowi średniego personelu medycznego. Podejrzanie zaczęły trząść mi się ręce, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie sięgnę po smakujący jak dobrze zmrożona wódka opis spaceru Pilcha przez Rynek zakończony spotkaniem z Bronisławem Majem i nie dowiem się, jak obydwaj usiłowali umożliwić studia na polonistyce zachwycającym nogom Miss Polski. Mam palpitacje serca, gdy zdaję sobie sprawę, że nie zostanie mi już wyjaśnione, na czym polegał „cud czasu ujemnego", który osiągnął swoim trabantem prof. Jarzębski na trasie Gołębnik–Jagiellonka.

W poszukiwaniu *Bezpowrotnie utraconej leworęczności* wyrzucam kolejne książki na podłogę. Ale felietonów Pilcha wśród nich nie ma. Ze sterty okładek nie wyłania się rysunek siedzącego na krześle kota, którego uważał za jedyne stworzenie, jakie Panu Bogu wyszło. Jeszcze niedawno mogłabym to wszystko zrzucić na kota Karola, który swoją czarną łapką potrafił zmącić porządek świata. Ale kota Karola też już nie ma.

Magda Huzarska-Szumiec

Wypalony pałac i pomnik Zyblikiewicza

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcie:** archiwum autora

To jedno z najważniejszych miejsc Krakowa – magistrat i pałac Wielopolskich na pl. Wszystkich Świętych. Tu niemal każdy przechodzi choćby przez chwilę. Robiąc sobie tutaj *selfie*, warto dowiedzieć się o katastrofie sprzed 100 laty...

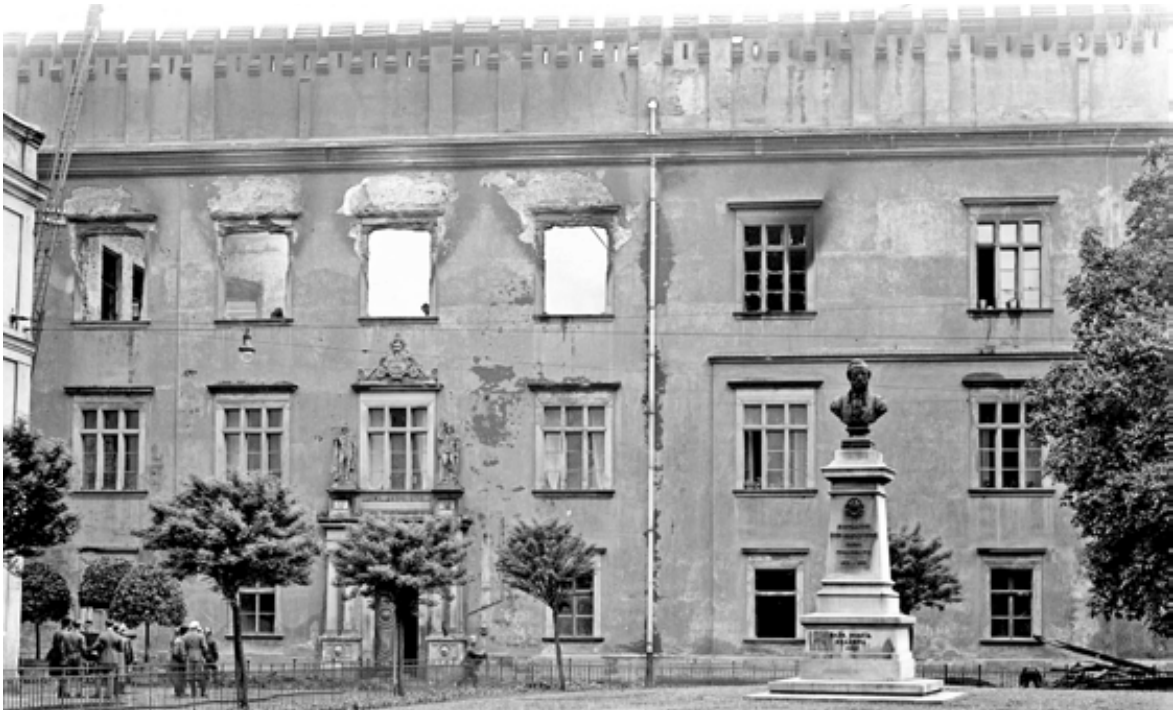

Nieszczęście przyszło nad ranem 26 maja 1926 roku. W ciągu kilkudziesięciu minut spłonęło doszczętnie drugie piętro pałacu Wielopolskich, mieszczącego – jak dziś – siedziby prezydenta, rady miasta i biur magistrackich.

Reporter „IKC" relacjonował z emfazą: „Przybyłym na miejsce pożaru tłumom przedstawił się straszny widok. Kłęby dymu buchały ze starych framug okien drugiego piętra pałacu Wielopolskich od ulicy Grodzkiej, gdzie mieści się sala rady miasta Krakowa wraz z jej salonami klubowymi. Sala przedstawiała jedno wielkie morze płomieni. Kiedy straż pożarna przybyła na miejsce, nie było już nic do uratowania".

Grozę sytuacji najlepiej oddaje fotografia, na której przez okna widać skrawki nieba, bo pałac nie ma już dachu. Jak ustalono, najbardziej prawdopodobną przyczyną pożaru było zwarcie w instalacji elektrycznej w okablowaniu sufitu, ponad salą obrad. Straty oszacowano na około 500 tys. zł. Spłonęły między innymi portrety prezydentów i kunsztowne wyposażenie. Odbudowa trwała niemal dwa lata. Sala obrad otrzymała tym razem wystrój w duchu zmodernizowanego klasycyzmu, z elementami art déco, w przeważającej mierze zachowany do dziś.

Na pierwszym planie tej smutnej fotografii widać pomnik prezydenta Mikołaja Zyblikiewicza i może warto przy tej okazji przypomnieć jego niekonwencjonalną historię. Zyblikiewicz był godnym następcą i kontynuatorem dzieła Józefa Dietla. Za jego kadencji (1874–1881) ukończono restaurację Sukiennic, wyrosły także imponujące gmachy Szkoły Sztuk Pięknych czy Straży Ogniowej. Niezbędne dla funkcjonowania miasta było wzniesienie rzeźni i zasypanie koryta Starej Wisły. Z kolei w sferze duchowości ponadczasowe znaczenie miała budowa Krypty Zasłużonych na Skałce.

Pomimo niewątpliwych zasług przez wiele lat postać Zyblikiewicza była zapomniana. Mało tego, sprzed magistratu usunięto skromny pomnik, a ulicę jego imienia przemianowano na Bitwy pod Lenino (1953). Przyczynił się do tego wszechmocny i nad wyraz skuteczny, stary działacz socjalistyczny, a w PRL-u poseł Bolesław Drobner. Wykorzystując fakt, że Zyblikiewicz wydalił kiedyś w odwecie za krytykę redaktora humorystycznego tygodnika „Harap", szybko dopiął swego, eksmitując pomnik. Był to jednak tylko zgrabny pretekst, bo w istocie Drobner „zemścił się" na pomniku, pielęgnując wiedzę o licznych antagonizmach, jakie dzieliły jego ojca Romana (niegdyś radnego miasta) z ówczesnym prezydentem. Zyblikiewicz odzyskał dobre imię (wraz z ulicą), dopiero w latach 80. ubiegłego wieku. A nieco później wrócił pod magistrat zachowany pomnik.

*

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym cyklu będą nagradzane książkami miesięcznika „Kraków".

Kraków

TEATR bagatela 100 LAT

MAMY DLA WAS

PONAD **26 GODZIN** OPOWIEŚCI W SIECI

WEJDŹCIE NA

#BagatelawTwoimdomu

ON-LINE

TEATR „BAGATELA" IM. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Przesuwanie ostatniej kropki

Tekst: Paweł Głowacki

Środa
Żaden druk nie jest ostateczny. Dla narratora opowieści W.G. Sebalda nie istnieje inne sedno pisania. Nie ma druków pełnych, bez balonów pustki, druków skończonych, spójnych, nietykalnych. Żaden druk zamknięty – w istocie nie jest zamknięty. Nie ma kropki ostatniej. Pod okiem czytającego – ostatnia kropka zmienia się w kolejną, po której wiele jeszcze następnych. Druk? To skromnie powiedziane, groteskowo skromnie. Powieść, film, rzeźba, sonata, notka gazetowa, obraz, szkic, zdarzenie, uczucie, krajobraz, widok z okna, lody pistacjowe, oczy, gest, dotyk, zapach, pamięć, kawałki przeszłości w słowach, w albumach, wieko... Cokolwiek napotkane. Wszystko. Świadek świadkuje wszystkiemu, a wszystko jest jak druk. Więc i teatr. Przedstawienie, stare lub świeże. Bądź rola każda. Szekspirowski Błazen? Niech będzie. Tadeusz Łomnicki jako Błazen w *Wieczorze Trzech Króli* przez Bronisława Dąbrowskiego wyreżyserowanym i w roku 1948 wystawionym na dziedzińcu Zamku Wawelskiego, przy setkach świec, w blasku łuczyw. I którejś nocy, nagle, w środku jednej z wielu piosenek Błazenka – coś z zewnątrz wtrąca się do akcji. Jakiś dźwięk prawdziwy. Niezapowiedziana wizyta gościa spoza szekspirowskiej fikcji, potężnego gościa z realności. Dzwony. Tak. Głęboki głos dzwonów nad dziedzińcem.

Czwartek
W *Il ritorno in patria* Sebalda narrator widzi siebie sprzed bardzo wielu lat. Chłopczyka w roku 1948. Rodzinna wioska, największa sala w gospodzie Pod Aniołem i w niej – przedstawienie *Zbójców* Fryderyka Schillera. „Ze sześć razy pewnie siedziałem w zaciemnionej sali wśród częściowo aż z sąsiednich wsi przybyłej publiczności", mówi narrator o swej przeszłości, teraz oglądanej w pamięci. Pewnie nie pierwszy raz odprawia rytuał odwlekania ostatniej kropki, seans opowiadania starych dziejów kolejny raz, czyli inaczej niż wcześniej. Pewnie nie pierwszy raz powtarza sobie wiele tamtych chwil, także tę chwilę, w której on, podniecony sztucznym światem teatru chłopczyk na widowni, pragnął zamkniętą przez Schillera scenę – zamknąć inaczej. Oto Amalia nie rozpoznaje stojącego tuż przed nią ukochanego, i ta bezradność oka dziewczyny sprawia ból chłopczykowi na widowni. Teraz, po wielu latach, wyznaje: „Zawsze miałem wtedy chęć wtrącić się do akcji i jednym słowem oświecić Amalię, że aby z obrosłego kurzem więzienia dostać się do raju miłości, czego przecież sobie życzy, wystarczy jej wyciągnąć rękę. Ale że nie mogłem się zdobyć na taką interwencję, odmienny obrót, jaki mogłyby ewentualnie przybrać wypadki na scenie, pozostał przede mną ukryty". Wtedy – tak. Lecz czy teraz opowieść o nieziszczonej ongiś chęci chłopczyka nie otwiera fabularnych furtek, przez Schillera zamkniętych na amen? Czy nie przesuwa w prawo, a potem w dół, ostatniej kropki sceny 4 aktu IV *Zbójców*?

Piątek
Tamtej kwietniowej nocy roku 1948 wawelskie dzwony biły nad dziedzińcem, nad *Wieczorem Trzech Króli Szekspira* – punkt dwunasta. Zewnętrzny dźwięk zjawił się na początku nowego dnia, przerywając finałową piosnkę Błazenka-Łomnickiego, piosnkę zamykającą starą opowieść. Łomnicki ma wtedy lat ledwie 21, dlatego zdrabniam słówko „Błazen". I myślę, że dzwony na chwilę przerwały fikcję, otworzyły i wpuściły w nią kawałek innej opowieści – wtedy, gdy Błazenek odśpiewał już pierwszą zwrotkę, melodyjkę osobie samym. „A gdy był ze mnie całkiem mały brzdąc, / Wiej, wietrze, wiej, hej-ho, deszczu, siecz, / Błaznując żyłem i radośnie rżąc, / Bo gdy leje deszcz, to zwykła rzecz". 40 lat później Łomnicki, już Błazen genialny – aktor osobny doskonale – wspomni nieoczekiwaną wizytę dzwonów. W istocie powie, że było to nieuchronne, choć przecież nieoczekiwane. Powie tak, jakby wyznawał, iż jedna opowieść nicowana opowieścią drugą – to jest, to powinna być normalność. A nawet – że inaczej się nie da, że trzeba dopowiadać, dopełniać, własną bajką przesuwać ostatnią kropkę starej bajki. Rzekł: „Żywy teatr, w którym zdarzenia niezaplanowane nie tylko nikomu nie szkodzą, lecz mieszczą się bez trudu". I wtedy dzieje się dokładnie tak, jak w innej historii Sebalda.

Niedziela
W *All'estero* ten sam sebaldowski narrator, ten sam świadek wszystkiego, co go spotyka, wchodzi do ogromnej Biblioteki Civica w Weronie. Żywego ducha. Tylko ciemność, a w łagodnym, miękkim świetle czytelni – wiekowy bibliotekarz w zarękawkach z czarnej satyny i złotych okularach. „Toteż wkrótce siedziałem w pobliżu jednego z okien i przeglądałem oprawne zszywki gazet werońskich z sierpnia i września 1913 roku", powiada narrator. Czemu akurat te? Teraz to dla nas mniej istotne. Najistotniejsze, że notatki, artykuły, ogłoszenia, niby na amen zamarłe na kruszejących, żółtawych płachtach – naraz zmartwychwstają. Na ekranie wyobraźni pochylonego nad gazetami narratora – tracą swe ostatnie kropki. „Oto zaczęły się przede mną rozgrywać najróżniejsze sceny z niemych filmów". Widzi, jak po via Alberto Mario przechadzają się panowie, którzy

Ilustracja: Tadeusz Łomnicki i Eugeniusz Fulde w sztuce *Sen nocy letniej*, Teatr w Krakowie, 1948, „Film" 12 grudnia 1948, nr 54, domena publiczna

Próba do *Króla Leara* z udziałem Tadeusza Łomnickiego w poznańskim Teatrze Nowym, 1992, fot. Archiwum Teatru Nowego w Poznaniu / za łaskawą zgodą

nagle, myśląc, że nikt ich nie widzi – jednym susem znikają w bramie domu, w którym przyjmuje dr Ringer, specjalista od wstydliwych chorób skórnych. Widzi, jak na fotelu dentystycznym wije się i skręca kobieta śmiertelnie przerażona, kiedy dr Pesavento z wiertłem w garści pochyla się nad jej rozdziawionymi ustami. Widzi to, gdyż pozornie skończone, zamknięte i pełne ogłoszenia prywatnych gabinetów lekarskich Pesaventa i Ringera, dzięki nigdy do końca sytej wyobraźni narratora – tracą skończoność, otwierają się na opowieść gościa z zewnątrz, pochylonego nad nimi w czytelni Biblioteki Civica w Weronie. I tak ze wszystkim napotkanym w kruszejących gazetach. „Obrazki i wiadomości z tamtych czasów pozbawione były dźwięku i ciężaru, wyświetlały się i gasły, a każdy obraz i każda wiadomość stanowiły osobną, wydrążoną wewnątrz tajemnicę. (...) Historie bez początku i końca, które kiedyś, pomyślałem sobie, trzeba by prześledzić". A dalej – zjawia się i dźwięk. Kolejny nieoczekiwany gość z zewnątrz słów, drukowanych na pożółkłych płachtach. Dokonuje się kolejne otwarcie zamkniętej drobiny tekstu, drobiny świata. „Mój wzrok – relacjonuje narrator – przylgnął na długo do sześciu liter słowa pigmei, zapowiedzi zniszczenia, które niebawem nastąpiło. Zdawało mi się, że słyszę głos ludu, jak się podnosi i skanduje. Pig-me-i, pig-me-i, pig-me-i". Po czym układa frazę fundamentalną, coś jak zaklęcie, rządzące ruchem na kładkach przerzuconych pomiędzy iluzją a realnością, zmyśleniem a prawdą, tamtym i tym światem. „Krzyk przetaczał się wewnątrz mego słuchu i w rzeczywistości był zapewne tylko wzmożonym i zniekształconym przez wyobraźnię szumem mojej własnej krwi". Tylko? W przygodach naszych ze wszystkim, co po drodze napotykamy – nie mamy nic więcej. Mamy aż tyle. I nie więcej miał Łomnicki, gdy w roku 1975 zobaczył na scenie przeciwieństwo siebie z roku 1948.

Wtorek

Upalny czerwiec roku 1975. Warszawa, Festiwal Teatru Narodów. Wiele cudowności scenicznych, wiele doskonałości, lecz wieczoru któregoś – doskonałość specjalna. *Wieczór Trzech Króli* Szekspira z Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Reżyseria? Ingmar Bergman. Do tego Bibi Anderson grająca Violę, lecz zostawmy to. To dla Łomnickiego na widowni jest mniej istotne, może nawet żadne. Od pierwszej sceny z Błaznem nie potrafi odeń odkleić oczu. Ten kuglarz namiętności jest u Bergmana – stary. Kilka kępek siwych włosów na łysej głowie, znużone ręce, nogi, co wciąż łakną bezruchu, plecy już nie do wyprostowania. Gdy widać go pierwszy raz – leży skulony, bezwładny, i nawet kuksańce, szarpnięcia i kopnięcia, którymi raczy go bezlitośnie Maria, nie są dlań argumentem, by się bronić. Niewiele wskazuje na to, że kiedykolwiek wstanie. A jednak. W brązowej koszuli i kubraku o podobnym odcieniu,

w zielonkawych obcisłych spodniach, kończących się pod kolanem na linii cholewki buta, od czasu do czasu otulając się babilońskim czerwonym płaszczem – niespiesznie igrał będzie z rozbrykanym światkiem dworskim i gminnym. On wie więcej, on nie ma żadnych złudzeń, jego pewność, że ironia to jedyne powietrze, jest pewnością niewzruszoną. Wciąż z boku świata – serwuje światu kłujące prawdy o świecie. W jego goryczy nie ma cienia bombastyczności, jest tylko ciemna melancholia. Z każdą jego sceną coraz jaśniejsze się staje, że to on czarodziejsko owija sobie wokół palca wszystkie sprawy świata tego, że cyrkowo żongluje ludzką wiarą i ludzkimi namiętnościami, niczym najgenialniejszy aktor świata. I chyba ma też we władaniu żywioły, które ożywia piosnkami, zawsze przygrywając sobie na małym bębenku. Kiedy nuci piosnkę finałową, tę o deszczu, o nieubłaganie kapiącym czasie i świecie nie do pojęcia – z niewidzialnego nieba nad sceną rzeczywiście zaczynają spadać krople...

Środa

Nie, nie widziałem Szekspira Bergmana, nie zobaczyłem Ingvara Kjellsona w roli Błazna. Ja tylko przywołałem własnymi słowami wspomnienia świadka, zapewne przesuwając ostatnią jego kropkę trochę w prawo, a dalej – w dół. Teraz zaś powtarzam po swojemu wspomnienia Łomnickiego. Oto już w trakcie *Wieczoru Trzech Króli* Szekspira-Bergmana, oczywiście po cichu, zaś po ostatniej kurtynie już bombastycznie gromko – Łomnickiego koledzy po fachu gratulowali mu... tamtej wawelskiej roli rozbrykanego, niepoczytalnie frenetycznego Błazenka-chłoptasia sprzed lat prawie 30. Czy miała to być miażdżąca wobec Bergmana ironijka nasza nadwiślańska, nasz karcący Szweda bacik intelektualny? Zapewne. Lecz w roku 1988 Łomnicki powiada: „Błazen, którego ujrzałem na scenie w szwedzkim przedstawieniu, był tak prawdziwy, że niemal raził w tej roześmianej komedii. I był cudowny". Po czym mówi o swojej wtedy – jest, przypominam, rok 1988 – absolutnej pewności. Ma lat 61. Wyznaje: „Właściwie dopiero teraz chciałbym zagrać Błazna. Ale któż to wystawi, któż ośmieli się powierzyć mi taką rolę...? Kto?". Ingvar Kjellson, ten u Bergmana cudownie przez czas zeszmacony Błazen, zupełnie już zobojętniały na tanie ludzkie pocieszenia, do cna znający marność dzierganych w panice nadziei – wiele dopowiedział powszechnym o szekspirowskich błaznach wyobrażeniom, pozornie zamkniętym na amen. I nie tylko wyobrażeniom o błaznach.

Piątek

Być może naprawdę kiedy indziej, lecz w moim dopowiedzeniu właśnie wtedy, tamtego czerwcowego wieczoru roku 1975, kiedy przez dwie, trzy godziny przyglądał się resztkom istnienia Błazna zeszmaconego przez czas – Łomnicki pierwszy raz poczuł, że czeka na niego Lear. Być może w którejś z licznych chwil, kiedy stary Błazen Bergmana nie miał już ochoty śpiewać mrukliwie, pukając w maleńki bębenek, ani nawet odklejać wzroku od ziemi i przez chwilę patrzeć w pełną głów, nieskończoną ciemność naprzeciwko siebie – być może w którymś z takich momentów bez otuchy usłyszał Łomnicki w swej głowie, jak szum krwi układa się w tę w *Królu Learze* Szekspira pamiętną wymianę czarnych zdań. „BŁAZEN: Gdybyś był moim błaznem, wujaszku, kazałbym cię obić za to, żeś się przed czasem zestarzał. LEAR: Jak to? BŁAZEN: Nie wypada się zestarzeć, zanim się nie zmądrzeje". Być może właśnie wtedy zrozumiał, że od poranka dnia następnego musi zacząć czekać.

Tadeusz Łomnicki jako Błazen w *Wieczorze Trzech Króli*, przez Bronisława Dąbrowskiego wyreżyserowanym i w roku 1948 wystawionym na dziedzińcu Zamku Wawelskiego, przy setkach świec, w blasku łuczyw. I którejś nocy, nagle, w środku jednej z wielu piosenek Błazenka – coś z zewnątrz wtrąca się do akcji. Niezapowiedziana wizyta gościa spoza szekspirowskiej fikcji, potężnego gościa z realności. Dzwony. Głęboki głos dzwonów nad dziedzińcem.

Sobota

Czekał zatem. Różnie czekał, gdyż różne były po drodze filmy, teatry, telewizje, więc szło zapomnieć oczekaniu, choć wątpię, że zapominał. A pod koniec – było już tylko czekanie czyste. I ćwiczenie się w formach samotności. Gdyż bez wielkiej sztuki bycia jak palec w ciemności coraz większej wokół – Lear jest Błaznem tylko starym, który nie zdążył zmądrzeć. A przecież chodzi oto, aby Lear był Błaznem wiecznym. Czekając więc na Leara, albo idąc do niego – zamkniętą Leara samotność Łomnicki otwierał i dopowiadał samotnościami niebywałych figur. Ostatnią kropkę Szekspira wciąż dalej i dalej przesuwał widmami, które grał: oszalałym Fauerbachem, bezradnym Krappem, operetkowo bombastycznym Hammem, zapiekłym Bogusławskim, uporczywym Sagerem, w końcu i zgorzkniałym Brusconem. A później? To takie proste. Zabrakło czasu. Chyba około tygodnia.

Niedziela

Tydzień przed premierą – Lear upadł za kulisami. I tyle. Kropka. Ocalało niewiele. Zdjęcia, cudze słowa, krótki film. I cały *Król Lear* Szekspira. Koniec. Druk już zamknięty. To znaczy – otwarty. Wystarczy tylko zacząć opowiadać sobie rolę-widmo, na początku przesuwając kropkę w prawo. Łomnicki wstaje, otrzepuje spodnie, chichoce. To był żart! Wchodzi na scenę, podnosi dłoń, zaczyna mówić. „Pora objawić nasz skrywany zamysł. / Gdzie mapa?"...

Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Gdzie jest Maria Jaremianka?

Rozmawiał Janusz M. Paluch **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Agnieszka Dauksza: Jaremianka była artystką lewicującą. Pracuję nad kolejną książką pism zebranych Marii Jaremy – była nie tylko wybitną artystką, ale też świetną, odkrywczą myślicielką. Ciekawie problematyzuje sztukę awangardową, status twórcy i kobiety w tamtym społeczeństwie. Także przenikliwie ocenia procesy, których była świadkiem.

Janusz M. Paluch: Książkę Jaremianka. Biografia napisała pani 60 lat po śmierci Marii Jaremy. Jednak wciąż jej pani szuka...
Agnieszka Dauksza: Jarema jest w Krakowie. To nie ulega wątpliwości. Wiele osób próbuje odnaleźć jej ślady, związane z nią miejsca, nieznane prace – Jaremianka była dynamiczna i efektywna w działaniu, ale nie zawsze dbała o los swoich dzieł. Nadal odkrywam różne jej notatki, szkice. Pracuję nad kolejną książką pism zebranych Marii Jaremy – ewidentnie była nie tylko wybitną artystką, ale też świetną, odkrywczą myślicielką. Ciekawie problematyzuje sztukę awangardową, powinności artysty, status twórcy i kobiety w tamtym społeczeństwie. Przenikliwie ocenia procesy, których była świadkiem. Jaremianka współreagowała z otoczeniem, zapewne dynamika jej ciągłych przekształceń zależała od intensywnych zmian społeczno-cywilizacyjnych. Jednocześnie chciała tworzyć taką sztukę, która będzie o krok wyprzedzała ludzkie doświadczenie. Być może dlatego jej prace nadal zaskakują, nie są oczywiste, bywają dziwne.

Wierzyła w potrzebę edukacji estetycznej. Uważała, że państwo polskie wyrządza obywatelom wielką krzywdę, nie wprowadzając zadowalającego przygotowania z wiedzy o sztuce. Mówiła, że władze finansują kulturę w ten sposób, jak gdyby świat miał się skończyć za dwa lata. Niewiele się zmieniło od tamtego czasu, niestety.

Można stwierdzić, że Jaremiance się udało: pragnęła być tam, gdzie nikt nie spodziewa się jej zastać.
Żyła krótko. W tym czasie trwało kilka wojen i systemów.
Maria doświadczyła kolejnych totalitaryzmów XX wieku. Żeby zrozumieć jej wybory, trzeba pojąć wielopłaszczyznowość tamtych realiów, wyzwań, problemów, manipulacji, czynników ekonomicznych, politycznych i propagandowych. Jednak trudno odtworzyć tamtą mentalność, sposoby odczuwania i oceny. Łatwo etykietować ówczesne postawy, trudniej zrozumieć złożoność motywacji. W życiu Jaremianki najważniejsza była sztuka, polityka zawsze ustępowała procesowi twórczemu. Jednak to nie były łaskawe czasy dla awangardy – w latach 30., gdy Jarema współtworzyła Grupę Krakowską, eksperymentujący artyści mieli przeciwko sobie konserwatywną większość, także w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. To nie oni decydowali, jaka sztuka wchodzi na salony. Byli młodą, gniewną grupą buntowników artystycznych. Jednak później było jeszcze trudniej: podczas okupacji niemieckiej sztuka awangardowa była po prostu zakazana. Po wojnie, w 1945 roku, wydawało się, że wszystko jest przed nimi, że nadszedł moment najpełniejszego rozkwitu aspiracji awangardowych. Niestety, zachłyśniecie swobodą artystyczną nie trwało długo. Okazało się, że to nie była wolność, tylko pułapka ideologiczna i estetyczna – nad tymi artystami już unosiło się widmo socrealizmu.
I nie ominiemy polityki, która po 1945 roku wdarła się brutalnie w życie kulturalne Polski i twórcze artystów.
Jaremianka była artystką lewicującą. To były jej wartości już od czasu studiów. Niebawem, po zjeździe plastyków w Nieborowie w 1949

Dr Agnieszka Dauksza, adiunkt w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych Wydziału Polonistyki UJ

roku, okazało się, że oficjalna linia rozwoju nijak ma się do przedwojennych ideałów lewicowych. Na salony wszedł socrealizm, którego Jarema nie mogła i nie chciała zaakceptować. Jej lewicowość to przede wszystkim pewna pryncypialność i wrażliwość, wyczulenie na różnice, chęć reagowania na nierówności społeczne, bycie odpowiedzialnym za innych. Widać to w działaniach pierwszej Grupy Krakowskiej: młodzi artyści rzeczywiście angażowali się w bieżące sprawy, zbierali środki dla poszkodowanych, protestowali i strajkowali wraz z robotnikami – współdziałali z nimi, organizowali dla nich przedstawienia. Jaremianka stworzyła na Rakowicach pomnik dla robotników Semperitu, którzy zgi-

Dzisiaj mylimy często pojęcia komunizmu i lewicowości. Komunizm jako brutalny, bezwzględny totalitaryzm nie jest tożsamy z lewicowym reagowaniem na cudzą krzywdę. Lewicowość Jaremianki to pewna pryncypialność i wrażliwość, wyczulenie na różnice, chęć reagowania na nierówności społeczne, bycie odpowiedzialnym za innych.

nęli na ulicach Krakowa w 1936 roku. To było praktyczne, lewicowe zaangażowanie, które miało służyć potrzebującym. Dzisiaj mylimy często pojęcia komunizmu i lewicowości, to podstawowy błąd. Komunizm jako brutalny, bezwzględny totalitaryzm nie jest tożsamy z postawą i działaniem lewicowym, reagowaniem na cudzą krzywdę.

Czy pani książka *Kobiety na drodze. Doświadczenie przestrzeni publicznej w literaturze przełomu XIX i XX wieku* wpłynęła na biografię o Jaremiance, kobiecie wyzwolonej?

Praca nad wspomnianą przez pana książką nauczyła mnie dostrzegać różne, niekiedy niepozorne przejawy i strategie emancypacyjne. Rzeczywiście Jaremianka całe życie walczyła o swoją wolność, nie uznawała podziałów, była świadoma siły kobiet, a poglądami wyprzedzała swoją epokę. Zresztą w pracy nad biografią Marii Jaremy przydało się także doświadczenie pisania książki *Klub Auschwitz i inne kluby. Rwane opowieści przeżywców*, którą poświęciłam byłym więźniom obozów koncentracyjnych i ich przeżyciom z II wojny światowej. Ta wiedza pozwoliła mi lepiej zrozumieć wojenne zawirowania w rodzinie Jaremów-Filipowiczów: Kornel Filipowicz, partner, a później mąż Jaremianki, był więźniem w Sachsenhausen i Oranienburgu. Gdy wrócił do Krakowa w1945 roku, był wrakiem człowieka, długo się leczył.

Co więcej, pisząc o sztuce Jaremianki, korzystałam także z koncepcji zaproponowanej przeze mnie w książce doktorskiej o afektywnym modernizmie. Dzięki temu łatwiej było mi zrozumieć jej praktyki artystyczne, które nigdy nie były czysto racjonalną, „obiektywną" procedurą. Sztuka Grupy Krakowskiej, także sztuka Jaremianki, to są żywe, emocjonalne reakcje, odczuwanie codzienności poprzez sztukę. Tym artystom nie chodziło o „kiełznanie uczuć" czy „wstydliwość", ale o szukanie nowych form wyrazu dla nieraz bardzo intensywnych doświadczeń.

Jak Maria znalazłaby się w dzisiejszej rzeczywistości? Miałaby 113 lat...

Mam wrażenie, że jej sztuka nie traci na aktualności. Być może zostałaby więc dostrzeżona i doceniona? Inna sprawa, że my jako wspólnota odbiorców nadal nie potrafimy patrzeć na te prace, mamy problem ze zrozumieniem jej przekazu. Ta sztuka jest wymagająca, od początku miała zadziwiać i wytrącać z nawyków patrzenia, zresztą Jaremianka wierzyła w potrzebę edukacji estetycznej. Uważała, że państwo polskie wyrządza obywatelom wielką krzywdę, nie wprowadzając zadowalającego przygotowania z wiedzy o sztuce. Mówiła, że władze finansują kulturę w sposób, jak gdyby świat miał się skończyć za dwa lata. Niewiele się zmieniło od tamtego czasu, niestety. Jarema poszukiwałaby dziś kolejnych strategii artystycznych. Tego jestem pewna, choć trudno przewidzieć, jaka byłaby ścieżka jej rozwoju. Zapewne rozczarowałoby ją społeczeństwo, które tworzymy, wcale nie obywatelskie.

Janusz M. Paluch – jest krytykiem i animatorem kultury (m.in. współinicjatorem Nagrody Krakowska Książka Miesiąca oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia Leopolis").

Obrazy jak planety

Tekst: Agnieszka Dauksza

Maria Jarema traktuje obrazy jak żywe organizmy, których energia, puls czy intensywność pochodzi z kilku źródeł – dynamiki plastycznego konfrontowania się form, ich każdorazowej aktywacji w kontakcie z odbiorcą, ale przede wszystkim z materialnej relacji z artystką dosłownie poruszającą formy w polu oddziaływania obrazu. Malarka ewidentnie nie chce, by te relacje były „jednorazowe", aktualne jedynie w akcie tworzenia. Strukturą, która ma zapewniać łączność, spoistość, „żywość" poszczególnych elementów, są włókna, błony, gąbki i sieci rozpościerające się na obrazach. To one „wyposażają" raz zasklepione formy w puls, rytm, siłę. One także świadczą o łączności obrazów z autorką – ich graficzna struktura powstaje wskutek nacisku, który wywiera Jaremianka. Każde poruszenie ciała, drgnienie, intensywność, moc nacisku znajdują odzwierciedlenie na powierzchni obrazu. (...)

Andrzej Turowski słusznie twierdził, że praktyka Jaremy jest prowadzona tak, by „być problemem", stawiać opór, „bić odbiorców młotkiem po głowie" (Jarema), wprawiać w stupor poznawczy, prowokować do reakcji. Pracownia artystki to laboratorium, otwieranie pola nowych relacji w płaszczyźnie każdego kolejnego obrazu. Podobnie jak formotwórcze są konfrontacje prezentowanych przez nią zderzających się, filtrujących i przenikających się elementów, tak też kształtujący ma być kontakt z odbiorcą. Prace powinny działać jak zaczyn ruchu i zmienności: „Obrazy jak planety drzemiące na ścianie eksplodują w zetknięciu z psychiczną zawartością człowieka na skutek przemian, które my, nie znając ich, możemy nazwać chemicznymi – eksplozją uczuć". Forma ma zatem powstawać w konfrontacji z odbiorcą przez afektywne spięcia, rejestrowanie różnic, narastanie wrażeń, koincydencje skojarzeń. Jednocześnie sytuacja odbioru ma „ścinać się", przerastać w nową formę relacji bycia wobec kogoś lub czegoś, co nie jest tożsame z postrzegającym:

W sztuce jak w życiu odrzucamy stare konwencje, kiedy znowu dajemy nowe. Odrzucamy stare, kiedy już nowe narzuca nam swoje sugestie, swoje nowe emocje. Synchronizacja życia i sztuki polega na wzajemnym wyczuciu, na wspólnych sprawach, na wspólnym myśleniu, w końcu na wzajemnym dążeniu dokądś. Rezygnacja ze starych konwencji, zwyczajów, przyzwyczajeń, norm obowiązujących (czyli tego, co nas ludzi w każdym czasie tworzy) jest równie trudne w życiu, jak i w sztuce. I jedno, i drugie jest wieczną rewolucją, mniej lub bardziej szokującą. Sztuki nie można planować, tak samo jak nowego życia. Sztuka przyszłości jest tym, czego nie znamy i czego nie możemy przewidzieć (Jarema).

Według Jaremianki doświadczanie rzeczywistości może być współbieżne ze sztuką, ale nie jest tożsame. Te odrębne systemy powinny funkcjonować na własnych prawach. Sztuka – a z pewnością praktyka Jaremy – nie ma więc prawa ani możliwości przedstawiać przeżycia codzienności, dokonywać transferu afektów i traum. Dostrzegając w pracach Jaremy przemoc, zniszczenie czy degenerację albo dla odmiany odczuwając pod ich wpływem przyjemność lub radość, odbiorcy jedynie rzutują na nie własne emocje. Obrazy wyprzedzają o krok ludzkie doświadczenie, są sztuką przyszłości, mają wytwarzać nowe połączenia, relacje i wrażenia, stawiać nowe wyzwania.

„Wspólne wyczuwanie życia i sztuki", które postulowała Jarema, to projekt nowej wrażliwości, zaangażowania, formy bycia. Chodziło o to, by konfrontacja ze sztuką nie była zwyczajowa. Ale nie tylko – główną stawką Jaremy było uplastycznienie relacji społecznych przez oddziaływanie sztuki, która wpływa na reakcje ciała, kształtuje wyobraźnię, a także zmienia przestrzeń publiczną: „tam, gdzie architekt na skutek funkcjonalnej konieczności zamyka przestrzeń gładką ścianą, tam ją otwiera, zwielokrotnia malarz, tam ją prowadzi dalej rzeźba, rozwijając przestrzeń, wprawiając w ruch powietrze" (s. 38). W tym sensie sztuka Jaremy nie jest autonomiczna; jest wystawiona na interakcję, tworzenie różnicy, fizyczne, plastyczne, materialne i afektywne przesunięcie. „Otwieranie, rozwijanie, wprawianie w ruch" to podstawowe cele, które stawia swoim pracom Jarema. Holistyczne postrzeganie i praktykowanie sztuki jako czynnika uplastyczniającego relacje jest gestem paradoksalnym, dającym artystce wolność i jednocześnie świadczącym o zaangażowaniu we wspólnotę pojmowaną jako sieć materialnych powiązań, które coś otwierają i coś znaczą.

Fragment eseju *Wrażliwość tkankowa. Materializm plastyczny Marii Jaremy* publikowanego w „Didaskaliach" 2018, nr 149.

Wakacje nad morzem

Tekst: Maria Malatyńska

Powoli i nieśmiało otwieram stary album... Tak długo już zajęci jesteśmy innymi tematami, poważnymi, smutnymi, niemal ostatecznymi, że nikt nie zauważył, iż nadszedł czas wakacji. Czy możemy się już nie bać powietrza, ludzi bez masek czy przebywania w innych okolicach niż te, gdzie mieszkamy? A może nawet moglibyśmy gdzieś wyjechać?

Czy mamy jednak prawo do wakacji? Może chociaż do tych najprostszych i najbardziej w gruncie rzeczy symbolicznych, czyli spędzanych nad polskim morzem? Proste obrazy, zwykłe wspomnienia, najspokojniejsze i najczulsze okno na świat.

Wyobraźmy więc sobie taki właśnie obraz: szeroka plaża – taka ona u nas jest zawsze, zwłaszcza gdy nie jest zapełniona kolorowymi parawanami, gdy nie stoją budki ratowników, gdy nie ma „obozowisk", „grajdołków", nadmiaru wczasowiczów, mnóstwa głośnych dzieci... Ale właściwie dlaczego tego wszystkiego nie ma w moim obrazku? Jest pusto. Są wydmy. Cudowne, nieuporządkowane w swoim przemieszaniu piasku i różnej wielkości kępek trawiastych. Jest pustka i cisza. Czy jesteśmy przed świtem? Czy po sezonie? Światło – naturalne, wyraziste. Słońce... nie przeszkadza. Morze spokojne, fale lekkie, chciałoby się napisać – normalne. Obłoki też zwyczajne. Ta dziwna cisza przecinana jest tylko, co jakiś czas, lecącymi samolotami wojskowymi. I znowu cisza. Cisza.

Gdy Martin Scorsese kompletował przed kilku laty słynną listę arcydzieł polskiej kinematografii, które chciałby pokazać światu (czyli głównie Ameryce), wpisał na nią także skromny, a niespodziewanie wielki debiut Tadeusza Konwickiego – *Ostatni dzień lata* z 1958 roku.

I nagle z morza wychodzi kobieta w kostiumie kąpielowym. Zgrabna, naturalna, świadoma siebie, dojrzała. Jest sama. Zmierza w stronę wydm, dyskretnie zmienia mokry kostium. Tym razem będzie to kostium też czarny, ale jednoczęściowy, pewnie korzystniejszy dla tej akurat sylwetki. Odpoczywa, patrząc na morze. Znowu zastyga nad nią powietrze. Pewnie dlatego niemal nie zauważamy, że na wprost kobiety, ale nisko, w miejscu, gdzie kończy się morze, a zaczyna plaża, pojawia się męska sylwetka. Mężczyzna patrzy na kobietę nieruchomo, ale nie widać jeszcze gry twarzy i oczu, kamera dopiero za chwilę ku niemu podąży, zobaczymy, że to chłopak niemal, o czupurnym wyglądzie i natrętnym wzroku. Ten wzrok zacznie kobiecie przeszkadzać, będzie chciała go odgonić. Bez rezultatu. Chłopak będzie się zbliżał, krążył, udawał, że interesuje się czymś innym, ale jak kobieta zaśnie na wydmach, to zbuduje dookoła niej małe ogrodzenie z patyczków, trawek i kwiatków. A jak się zbliży, to przyzna, że dawno chciał ją poznać, że ją podgląda, towarzyszy jej z daleka. Trochę zaczyna być uroczo, nie ma zagrożenia, zaczyna się rodzić powolna, wzajemna ciekawość... I wtedy znów zauważamy, że co jakiś czas niebo przecinają samoloty, wojskowe, nawet nie pojedyncze... Wywołuje to jakieś wspomnienia osobiste ukobiety, potem okazuje się, że wojenne. Niby zaczyna się rozmowa. Ale to jest jakieś jedno słowo, zdanie, nie ma zwierzeń, w każdej chwili można się ze wszystkiego wycofać. Ktoś chce wyjechać, ktoś mówi – zostań. Już do końca filmu tak będzie. Chłopak biega, podskakuje jak źrebak, ale wciąż wraca, kobieta traktuje go z ciekawością, choć pobłażliwie, a potem pada deszcz, chowają się pod przypadkową, znalezioną na wydmach drewnianą skrzynką, gdzieś krąży jakaś prowokacja czy „żart" samobójstwa, morze kusi...

Odgadliście – odnalazłam stary film Tadeusza Konwickiego *Ostatni dzień lata*. Jego debiut z 1958 roku. To mój pretekst, żeby znaleźć się nad Bałtykiem, na plaży. Możemy smakować chwilę...

*

Mimo ogromnej prostoty i enigmatycznej treści ten film ma bogatą historię i zacne miejsce w dziejach polskiej kinematografii. W życiorysie autora również. Jako ciekawostkę podaje się genezę jego realizacji: oto pisarz, duszący się w *entourage*'u socrealistycznych ograniczeń, mający zresztą za sobą kilka socrealistycznych próz, a już „zarażony"

Max Uth (1863–1914), *Zachód słońca nad Bałtykiem*, 1893, olej na kartonie, kolekcja prywatna

kinem, bo pracujący jako kierownik literacki w Zespołach Filmowych, a także jako recenzent w „Odrodzeniu" – postanawia zostać reżyserem. Amator reżyser, przecież zaledwie trzydziestoletni, wierzący, że film może się sam zrealizować – próbuje. Ale jak sprytnie! Dostaje 10 000 złotych od macierzystego zespołu filmowego „Kadr" (zwykle to kropla w bilansie potrzeb), zdobywa kamerę i 6 tysięcy metrów taśmy. To znowu kropla. Ale... bierze do pomocy przyjaciół: studenta operatorki w Filmówce Jana Laskowskiego, jego siostrę, znaną już wówczas aktorkę teatralną Irenę Laskowską, i studenta pierwszego roku aktorstwa Jana Machulskiego. Przyjaciele popracują za darmo, studenci tym bardziej. Ale Tadeusz Konwicki sam jeszcze nie wie, że rękę ma szczęśliwą, więc każde z nich zrobi w przyszłości duże kariery i wszystko się wyrówna. Na razie liczy się to, co ma: naturalna scenografia, za którą nie trzeba płacić, naturalny dźwięk, który niesie przyroda, i wreszcie świetnie wynalezione miejsce akcji, czyli najpiękniejszy i najbardziej dziki fragment polskiego wybrzeża, podobno najczystsza plaża w miejscowości Szklana Huta, na północnym krańcu Polski między Władysławowem a Łebą.

Tak oto, wspólnymi siłami i w zacięciu niemal dokumentalnym powstał film. Nikt jeszcze takich filmów nie robił, nie tylko w Polsce. Takich, w których nie czuło się scenariusza, „nic się nie działo", całość wyglądała raczej na podglądanie świata niż na jakąkolwiek zorga-

nizowaną fabularnie opowieść, a wyrażanie emocji i postaw było enigmatyczne i niemal niezauważalne. Powstała całość tak ascetyczna, tak zaledwie zasugerowana, a tak równocześnie pełna tajemnic, jakiejś wewnętrznej, niewyrażonej siły, jakiegoś niewybrzmiałego smutku, jakiejś wyraźnie obecnej poezji, że musiało to być wtedy i było po prostu zaskakujące.

A najdziwniejsze jest to, że dziś to samo można w tym filmie odnaleźć! To samo o tym filmie powiedzieć. Do dziś się w swojej głębi nie zmienił. Nie bez powodu gdy amerykański reżyser Martin Scorsese kompletował przed kilku laty słynną listę arcydzieł polskiej kinematografii, które chciałby pokazać światu (czyli głównie Ameryce), to znalazł się na niej także ten skromny, a niespodziewanie wielki debiut Konwickiego.

Laury film dostał z resztą tuż po powstaniu. Zdobył Grand Prix w Wenecji (w kategorii filmu dokumentalnego!), a na festiwalu w Brukseli otrzymał Nagrodę Główną w kategorii filmów eksperymentalnych. Ale najciekawsza ocena spotkała go w kraju, gdzie historycy kina uznali go za dzieło prekursorskie wobec francuskiej Nowej Fali, która miała urodzić się za rok, a więc dopiero w następnym sezonie święcić największe triumfy. Czym zaś stała się potem Nowa Fala dla kina europejskiego, nie trzeba przypominać. Zmieniła myśl, strukturę, dramaturgię, aktorstwo i wszystko, co otworzyło epokę nowego filmu europejskiego.

Pisarz-Konwicki stworzył Konwickiego-filmowca, autora zupełnie nowego rodzaju filmowego, eseju, o formie precyzyjnej, choć bardzo własnej.

Oczywiście, może „w powietrzu" jest to coś, co staje się potrzebą chwili i kto ma szczęście być w odpowiednim miejscu i tę potrzebę złapać, ten tworzy arcydzieła lub wywołuje artystyczne rewolucje. Może tak być.

Tadeusz Konwicki nigdy już w swojej oryginalnej drodze filmowca nie powrócił do tamtego doświadczenia. Jego kino stało się inne. Może dlatego trudno nie widzieć, że ten pierwszy film był jedynym w jego twórczości filmem... bezinteresownym. Narodził się z prywatnej, zmysłowej potrzeby kina. Właśnie w swojej spontanicznej prostocie, w świadomości, że obraz potrafi sam mówić, nie trzeba niczego w nim poprawiać.

Konwicki poszedł inną drogą. A raczej – dwiema równoległymi szlakami: pisarza i filmowca. Stworzył w polskiej kinematografii osobny gatunek filmu i osobny gatunek powieści. Jedyny w swoim rodzaju esej filmowy podobny był do jego esejów literackich. Wszak jego eseje literackie też były jego własną formą powieściową. A jak jeszcze do formy doszły jego własne tematy, to trudno się dziwić, że niemal zapomniał o bezinteresownej skromności tamtego pierwszego arcydzieła. Teraz – jego film szedł razem z jego literaturą. A ta była tak bardzo własna i tak splatająca „polskie losy" z jego własnym życiorysem, że do dziś to jest całość, której nie sposób rozdzielić. Jego polskie kompleksy i polskie losy, czyli przynajmniej od *Sennika współczesnego*, od *Kompleksu polskiego*, od tylu niezwykłych esejów i wyznań, w których często sam był bohaterem, a które to wyznania stworzyły jedyny w swoim rodzaju rynek obiegu jego książek, pełen entuzjastycznego czekania na kolejne tomy, pochłaniania ich, tworzenia niezwykłego kręgu wtajemniczenia. Czy pamiętamy? Pewnie tak! A kto tego nie przeżył, niech żałuje, bo już nigdy to się nie powtórzyło z innymi autorami. Bo to od początku było po prostu ciekawe, że pisarz-Konwicki stworzył Konwickiego-filmowca, autora zupełnie nowego rodzaju filmowego, właśnie owego eseju, o formie precyzyjnej, choć bardzo własnej, i że to wszystko tak trafiło w rynek, czyli w nas, czytelników, że zanurzaliśmy się w jego opowieści jak w narodowy rachunek sumienia. Takie było i *Salto*, i *Jak daleko stąd, jak blisko*. A obok tego i poprzez to trwały te jego próby nieustannego zbliżania się do własnej Litwy: zapomniał o Bałtyku, gdy uświadomił sobie, że twórca urodzony nad Wilejką zawsze musi traktować tamten teren jako swój święty mit, skąd nie wolno mu odchodzić. I to tworzył właśnie najdoskonalej w obrazach i literackich, i filmowych, nie bojąc się nawet sięgania do innych autorów, którzy też mieli prawo do tego mitu urodzenia. Może dlatego dwa najwspanialsze przykłady filmowe na ten temat to *Dolina Issy* – adaptacja powieści Czesława Miłosza, człowieka „stamtąd", i *Lawa*, czyli adaptacja Mickiewiczowskich Dziadów, także człowieka „stamtąd". Pewnie wtedy to już nawet nie mógł pamiętać, że wyszedł od Bałtyku i kiedyś włóczył się po pięknej plaży. Pochłonęły go zupełnie inne rejony Polski. Wyjątek dotyczył tylko Warszawy, tej specjalnej, z widokiem na Pałac Kultury i Nauki – ale dobrze, bo dzięki temu powstała *Mała apokalipsa*!

Ot, droga, jak droga – ale w tym wypadku tak własna, tak oryginalna, że chwała mu za to, iż o niczym, co własne, nie zapomniał. I cudownie, że taki właśnie był.

A nad Bałtyk... cóż! Jedźmy sami! Może tylko wspominając tamten stary film, jego czystość graficzną i fabularną, jego bezkresność i czas, kiedy jeszcze wszystko było możliwe.

Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

„NaGłos. Miesięcznik mówiony”, 1983–1989

Tekst: Krzysztof Burnetko

Kto jeszcze, prócz Mariana Stali, pamięta, że mistrz felietonu swoje pierwsze próby w tym gatunku drukował w „Echu Krakowa” i „Studencie”? Na dobre zaś zabłysnął felietonami wygłaszanymi – tak, tak! – na półlegalnych spotkaniach w sali krakowskiego Klubu Inteligenckiej Katolickiej przy ul. Siennej.

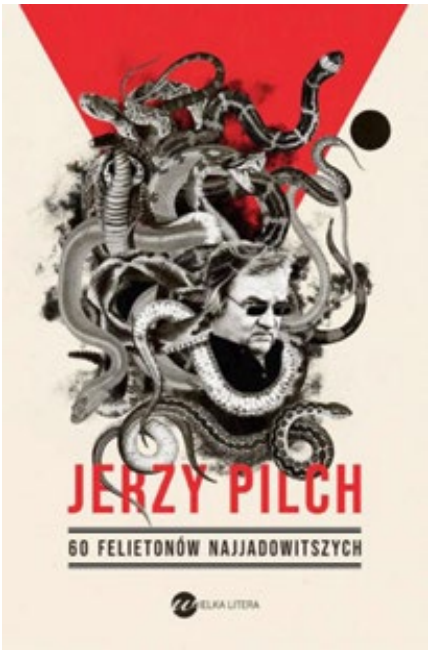

Pilch został tam mianowicie gwiazdą pisma mówionego „NaGłos” – powstałej w 1983 roku, a więc tuż po stanie wojennym, inicjatywy opozycyjnie nastawionych pisarzy z rozwiązanego właśnie przez władze Związku Literatów Polskich oraz zawieszonego miesięcznika „Pismo”. Jako że nie chcieli poddawać się cenzurze, wpadli na pomysł stworzenia literackiego periodyku niewydawanego w postaci drukowanej, lecz czytanego przez autorów bezpośrednio publiczności. Gościny udzielił im KIK, którego wewnętrzne spotkania klubowe nie wymagały każdorazowo zgody władz. Jak wspomina Marian Stala, pierwsze dwa wieczory odbyły się pod szyldem „Bluszcz Literacki”, aż potem prof. Stanisław Balbus wymyślił bardziej oryginalny i pasujący do formuły tytuł: „NaGłos”. Począwszy od grudnia 1983 roku, na Sienną zapraszani byli czołowi polscy – bo nie tylko krakowscy – pisarze, poeci, eseiści, krytycy i inni ludzie kultury. Nazwiska były wielkie: Wisława Szymborska i Julia Hartwig, Kornel Filipowicz i Marek Nowakowski, Paweł Huelle i Andrzej Drawicz, Adam Michnik i Jacek Fedorowicz oraz wielu innych. Czytano też bądź odtwarzano utwory specjalnie nadesłane przez emigrantów: Czesława Miłosza, Stanisława Barańczaka i – gościnnie na polskim gruncie – Josifa Brodskiego. Brawurowym sekretarzem redakcji, czy raczej konferansjerem, był Bronisław Maj.

Nic dziwnego, że na Sienną przychodziły tłumy, wypełniając także przyległe pomieszczenia i klatkę schodową. Układ wystąpień był skomponowany tak, jak zwykle w tradycyjnie drukowanym piśmie – a więc z felietonem na końcu. Tu właśnie brylował Pilch. Bohaterami swoich wystąpień uczynił literatów usłużnych ówczesnej władzy, często zresztą równocześnie litych grafomanów. Nawiązywał do popularnej w kręgach ówczesnej opozycji książki Stanisława Barańczaka *Książki najgorsze*, tyle że nie silił się na analizy krytyczne, lecz bawił wynajdywaniem kiksów językowych i stylistycznych, absurdów logicznych i kompozycyjnych oraz zwykłego bełkotu. Omawiał więc swoją charakterystyczną frazą wytwory Jana Dobraczyńskiego, Władysława Machejka, Romana Bratnego, Wojciecha Żukrowskiego, Józefa Ozgi Michalskiego i im podobnych. Analizował choćby takie wersy erotyków autora *Czterech pancernych*, czyli pułkownika rezerwy Janusza Przymanowskiego: „Jeszcze, gdy zrzucę czaprak i uprzęże / umiem, dosiadłszy klaczy smukłonogiej /gnać ja na oklep, nie bacząc na drogę / (...) kitę w galopie póty wygłaskując / aż zwilgotnieją rozedrgane kłęby / i zarży” oraz „Nie płosz się, dzika / ten chłód to nie ostrze noża / lecz koniuszek języka”. Albo też twórczo rozwijał zdania powieściopisarza Aleksandra Minkowskiego: „Żeby się uspokoić, wsunął prawą dłoń między przyjazne uda Anieli i zaraz poczuł się cały jak w ciepłej kołysce, pod puchową kołderką, ze smoczkiem w buzi”. Bądź wreszcie interpretował myśli bohatera powieści Eugeniusza Kabatca *Śmierć robotnika w hotelu Savoy*: „Kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej” i „Maszynista bez swoje czarnej walizeczki jest jak mężczyzna bez męskości”. Bezlitosne komentarze Pilcha wywoływały entuzjazm. Pamiętam krztuszącą się ze śmiechu Wisławę Szymborską czy zwijającego w paroksyzmach chichotu prof. Jana Błońskiego. A i to, że kiedyś Jan Józef Szczepański, pisarz przecież uznany, a także, było nie było, prezes zlikwidowanego ZLP, czytał długi fragment nowej prozy. Sala długo wytrzymywała, ale w końcu gwar stawał się coraz głośniejszy. Zdeprymowany Jan Józef przerwał nagle. Potem miał samokrytycznie przyznać Majowi: „Nie sądziłem, że to takie niedobre”. Tyle że na salę wpłynęło także to, że następnym punktem programu miał być felieton Pilcha, na który podczas „NaGłosu” nade wszystko się czekało.

Wygłaszane w ramach „NaGłosu” felietony Pilcha ukazywały się potem drukiem w podziemnej „Arce” i emigracyjnym „Pulsie”. Nigdy jednak nie zostały wszystkie – a było sporo, jako że sam „NaGłos” miał 25 edycji – zebrane w książce. Pięć ledwie przypomniała niedawno Wielka Litera w zbiorze *60 felietonów najjadowitszych*.

To nasz Dom

Tekst i zdjęcie: Łukasz Maciejewski

Zamknięci w domach – oglądamy. Zaległości, nowości, alternatywę, seriale z Netflixa. Do wyboru, do koloru. Przymusowa kwarantanna prowokuje zbliżenie do kina. Moje wybory są niepokorne. Sięgam po klasykę, powracam do starych, pięknych polskich seriali które oglądałem w dzieciństwie. W ten sposób obejrzałem *Dom* Jana Łomnickiego. To niedościgła lekcja historii o mnie. Tak, o mnie, bo ja, jak wszyscy, też jestem stąd, z kamienicy na Złotej, chociaż miała inną nazwę, była początkowo blokiem z wielkiej płyty, potem jeszcze czymś innym. Jestem z serialu *Dom*.

Janowi Łomnickiemu udało się w tym serialu – jednym z najważniejszych i najpełniejszych portretów polskiego charakteru – zawrzeć coś w rodzaju przypowieści o polskim losie.

Po latach, po dekadach, wybrzmiewa z pełną siłą. Co to jest? Jak zawsze pomocny wydaje się Konwicki z jego *Kompleksem polskim* – zaklinaniem matecznika tolerancji (Traugutt), który okazywał się zawsze rewanżem oportunisty i nonkonformisty (albo odwrotnie).

Wzruszenie od pierwszego do ostatniego odcinka. Gospodarz domu Pan Popiołek, Andrzej Talar, Basia, Pani Bawolikowa, a w tle historia pisana małą i wielką literą, ale nawet ta wielka zgina się nieprawomyślnie, bo u nas wciąż tak jest, że dopiero wygięcia dają świadectwo prawdy.

Wojna, wojna, wojna, i długo nic. A potem jeszcze strach, strach, który nie odpuszcza do końca – wielka kreacja Tadeusza Janczara jako doktora Sergiusza Kazanowicza zderzona z biografią samego aktora jest jak rażenie prądem. To bardzo boli.

Spędziłem wiele dni z bohaterami tego serialu, tej sagi, wróciły wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, kiedy oglądałem *Dom* z rodzicami, po szkole, przypuszczalnie podstawowej. Potem już nigdy – aż do teraz.

A jednak tak wiele zapamiętałem. Przypominały się nie tylko twarze aktorów, aktorów obsadzonych wręcz idealnie – po latach nisko kłaniam się zwłaszcza Tomaszowi Borkowemu, Jolancie Żółkowskiej, Bożenie Dykiel, Krzysztofowi Pieczyńskiemu, Zbigniewowi Buczkowskiemu, Joannie Pacule czy Barbarze Sołtysik. Wasze role to życie

Budynek przy ulicy Pańskiej 85 w Warszawie grał w serialu *Dom* w odcinkach 1–12 kamienicę przy ul. Złotej 25, © Wikimedia Commons

samo w sobie, ujęte nie tyle w nawias, ile w subtelną klamrę.

Wielkość scenariusza Jerzego Janickiego i Andrzeja Mularczyka, wielkość reżyserii Jana Łomnickiego polegała jednak na tym, że ów *Dom* staje się po latach opowieścią, w której nie ma indoktrynacji, nie ma już historycznych nieścisłości, nie ma albo przestały mieć znaczenie. Wszystko przecież wiemy, znamy, dawno temu to sobie wytłumaczyliśmy. Natomiast tym, co przesądza o wyjątkowości tej serii, poza kwestiami właściwie oczywistymi – na przykład warsztatową biegłością Łomnickiego, upokarzającą wręcz dzisiejszych realizatorów, przecież każdy odcinek *Domu* to w istocie osobny film fabularny, czy porywającym i co najmniej równym Nino Rocie tematem Waldemara Kazaneckiego – jednak tym, co wynosi ten film ponad inne serie, jest ton opowieści. Los wspólny zaklęty w jednostkowym. Ja, czyli my. Wspólnota w zniewoleniu i w marzeniu o wolności. W konfrontacji z historią społeczności i z historiami sąsiedzkimi. Zawołanie Ryszarda Popiołka, czyli najcudowniejszego na świecie Wacława Kowalskiego, będące uwerturą każdego odcinka: „Jacuś, aleś wyrósł", symbolicznie dotyczy każdego.

Wyrośliśmy. Co z tego zostało. Kim jesteśmy, kim byliśmy, co stało się z naszą kamienicą i dlaczego nie znamy już naszych sąsiadów. W skali makro i w mikroskali. Nie znamy ich. Siebie chyba również.

Dom – serial telewizyjny emitowany na antenie TVP od 9 listopada 1980 do 17 grudnia 2000 – składa się z 25 odcinków emitowanych w czterech seriach (w latach 1980, 1982, 1987, 1996–1997, 2000). Jest jednym z najdłuższych polskich seriali pod względem rozciągłości lat emisji premierowych odcinków (20 lat od premiery do zakończenia serialu).
Obsada: Tomasz Borkowy (Andrzej „Jędrek" Talar), Tomasz Mędrzak (Lechosław „Leszek" Talar), Wacław Kowalski (Ryszard Popiołek – 1980, 1982, 1987), Ewa Serwa (Ula Siekierko, żona Leszka – 1982, 1996, 2000), Krzysztof Pieczyński (Bronisław „Bronek", „Niutek" Talar 1980), Joanna Pacuła (Ewa Szymosiuk 1980), Józef Nowak (Kajetan Talar, ojciec Andrzeja, Bronka i Leszka 1980, 1982), Halina Rowicka (Ewa Szymosiuk-Talar, żona Andrzeja – 1982, 1987, 1996, 2000).
Produkcja: Zespół Filmowy „Iluzjon", Zespół Filmowy „Kadr".
Reżyseria: Jan Łomnicki.
Scenariusz: Jerzy Janicki i Andrzej Mularczyk.
Muzyka: Waldemar Kazanecki, Piotr Hertel.
Zdjęcia: Bogusław Lambach

Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach", kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film", członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

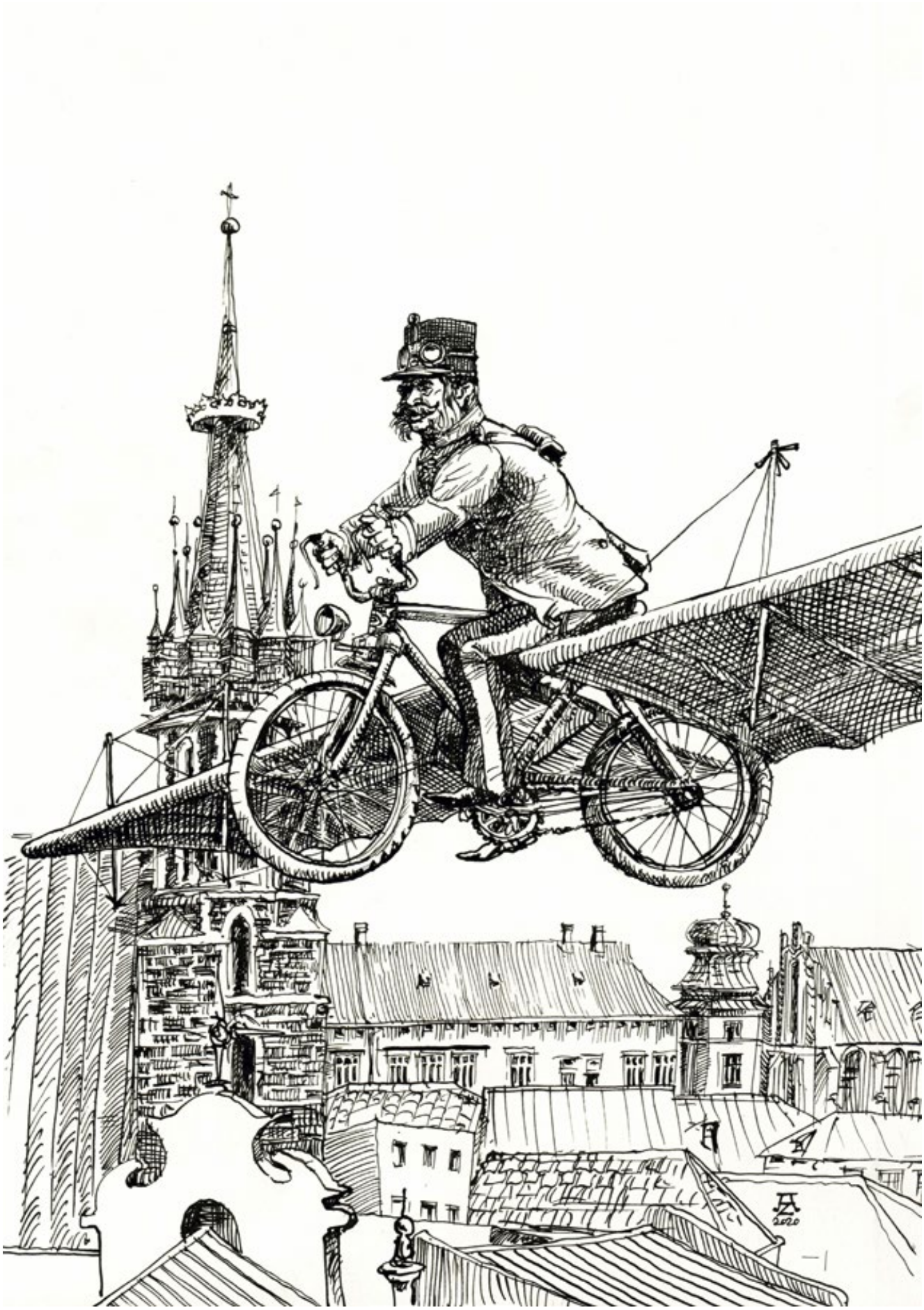

Kraków nieodkryty z lotu ptaka, rys. Andrzej Zaręba

List do Jerzego Pilcha

Tekst: Mieczysław Czuma

Szanowny Panie Jerzy,

nie zdążyłem Panu tego powiedzieć, stąd ten spóźniony list. Głęboki szacunek, jakim Pana darzę, nakazuje mi wyznać swoje zamiary nawet w tych trudnych obecnych okolicznościach. Nie mogę niczego taić, to przecież Pan uczył świat szczerości aż do bólu. Sąsiadowałem z Panem na łamach „Krakowa" i odkąd pojawił się tam Pan na stronie 96, od tego miejsca rozpoczynałem lekturę miesięcznika. Imponował mi Pan swoją fascynacją piłką nożną, przewrotną filozoficzną dociekliwością w ogarnianiu wszelkich zakamarków tej dyscypliny. Nie zdaje sobie Pan sprawy, jak bardzo zazdrościłem Cracovii takiego fana i rzecznika. Moje sympatie ulokowane są po przeciwnej stronie Błoń. Dlatego zamiarowałem w skrytości podjąć desperacką próbę przeciągnięcia Pana – ikonę i herosa „pasów" – na naszą stronę.

Aby osiągnąć ten cel, chciałem Panu mianowicie przypomnieć o pewnym epizodzie, który powinien pogrążyć w Pańskich oczach bezgranicznie przez Pana umiłowaną Cracovię. W roku 1910 Wisła występuje z Austriackiego Związku Futbolowego, który uznawał jedynie struktury państwowe i odrzucał podkreślanie narodowości. Aby uwypuklić swoje polskie korzenie, klub z naszej strony Błoń wstępuje do Międzynarodowej Unii Piłki Nożnej z siedzibą w Paryżu, gdzie popierano związki narodowe. Na ogłoszony przez Wisłę apel odpowiada dziesięć klubów galicyjskich, a wśród nich Resovia, Sandecja, Wisłoka z Dębicy, Skawa z Wadowic, zespoły z Mielca i Tarnowa. W efekcie w roku 1911 zawiązany zostaje w Krakowie legitymizujący aspiracje narodowe Polski Związek Futbolowy. Żywot tej struktury jest – niestety – krótki, trwa tylko jeden sezon. A to dlatego, że zbojkotowała go ciesząca się sympatią Austriaków Cracovia i kluby stołecznego Lwowa.

Panie Jerzy, chciałem Panu przypomnieć o pewnym epizodzie, który powinien pogrążyć w Pańskich oczach bezgranicznie przez Pana umiłowaną Cracovię.

Chciałem tę wiedzę przekazać Panu wcześniej, nie zdążyłem. Może więc teraz, kiedy spogląda Pan na nasze przyziemne sprawy z wysokości, zechce pan dokonać istotnych korekt w swoich niegdysiejszych wyborach. Zwłaszcza że urodził się Pan przecież w Wiśle...

Mieczysław Czuma – redaktor niehabilitowany spod znaku Białej Gwiazdy

Drzwi w drzwi

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Mam sporo zapisków z tegorocznej, szczególnej wiosny. Jedna z notatek przypomina mi o pewnym fotografie, który przez kilka tygodni robił zdjęcia ludziom w drzwiach. Nie mógł wejść ani podejść bliżej. Ale to nie znaczy, że nie mógł poznać historii swoich bohaterów.

Najważniejsze teraz to utrzymać ze sobą kontakt" – powiedział Markowi jeden z fotografowanych, Mateusz. Marek Ogień zareagował swoją fotograficzną akcją na czasy globalnej kwarantanny, ale poza zdjęciami prosił jeszcze bohaterów o kilka słów o tym, jak sobie radzą, czego się boją, co czują. Takich warszawskich portretów nigdy dotąd chyba nie było. My w drzwiach. Drzwi w drzwi ze wszystkim, co siedzi w nas głęboko i na co wcześniej pewnie nie mieliśmy czasu. Proste i niebanalne spotkania. Jedne z pierwszych, które się pamięta ze szczenięcych lat, gdy zapukanie do drzwi rodziców koleżanki czy kolegi z podwórka oznaczało nie tyle złamanie prywatności, ile wyprawę w odległe krainy.

Beskid Niski. Kraina wielkiej literatury, bo to kraina wspaniałego pisarza. A jednak tak daleko od wszystkiego, co się nam, w mieście, z życiem literackim kojarzy.

Od razu pomyślałam, kogo chciałabym odwiedzić i pogadać, podczas gdy mój rozmówca stałby po prostu w swoich drzwiach. To nie byłyby byle jakie drzwi! Najpierw bym poszła do Mariusza Szczygła. Po pierwsze dlatego, że nie mam daleko i gdyby nie jakiś mus od czasu do czasu też najchętniej w ogóle nie opuszczałabym stołecznego Powiśla. Chyba że dla Pragi i to tej czeskiej. Mariusz Szczygieł, fantastyczny pisarz, autor cenionych reportaży, ale też ambasador tego gatunku i mądrego słowa w ogóle, opowiadał o swoim mieszkaniu wiele razy. Jest wyczekane i przemyślane. Mówi, że jest jak jego reportaże – zbudowane świadomie, bo potrafi wytłumaczyć każdy jego element. Ja oczywiście stoję w drzwiach, więc w sumie niewiele widzę, ale może chociaż kątem oka czerwoną rozgwiazdę? Leży podobno u niego po prawej stronie od wejścia, na dwóch trzecich długości pokoju. Daje pieniądze.

Potem jadę do Andrzeja Stasiuka. I w chwili, w której to wymyślam, uzmysławiam sobie, że to nie ma sensu... Najpierw na południe, żeby potem znowu na północ? To jednak nie. Najpierw do Jerzego Hoffmana. Reżyser *Potopu* mieszka w tak zwanych „pięknych okolicznościach przyrody". Niestety, tak obezwładniająco pięknych, że stanie w progu jest męką. Trudno zresztą określić dokładnie jego próg. Czy to jest wjazd do siedliska? Byłam tam raz i przysięgam, że żadnego progu nie pamiętam. Pamiętam tylko jezioro, które było tak blisko, że niemal wpływało w jadalnię. Wiąże się z tym anegdota. Jerzy Hoffman kręcił niedaleko Ełku film. Kierowca na planie zdjęciowym namawiał go do kupna domu w okolicy, ale on wymawiał się cygańskim trybem życia i w końcu powiedział, że kupiłby, gdyby to był dom na wodzie. To jest właśnie dom na wodzie. Stanie w progu to stanie na brzegu. Musiałabym jednak stać tylko chwilę, bo tam obiad jest po prostu obowiązkowy i odmówić nie można. Wiem, bo raz próbowałam to zrobić.

I z Mazur jadę na południe, aby porozmawiać ze stojącym w drzwiach swojego domu Andrzejem Stasiukiem. Wyprawa jest o tyle wyjątkowa, że ja tam rzeczywiście nigdy nie byłam, a mało jest takich miejsc. Beskid Niski. Kraina wielkiej literatury, bo to kraina wspaniałego pisarza. A jednak tak daleko od wszystkiego, co się nam, w mieście, z życiem literackim kojarzy. Czy to nie od nazwy jednej z wiosek wzięła się nazwa wydawnictwa Czarne? Chyba tak. Wyobrażam sobie, że jest tu prawdziwa wolność, bo próg jest tam, gdzie go sobie postawimy. I tam, w progu, w którym, a właściwie na którym się na wsi siedzi, można wreszcie rozmawiać o tym, jak powstaje książka. I czego wymaga. I tylko tam może się zrodzić odpowiedź, że tworzyć znaczy „pisać, skreślać, myśleć, patrzeć, słuchać, pisać i skreślać, skreślać, skreślać...".

Coś magicznego się dzieje, kiedy otwieramy drzwi. Słychać dzwonek lub pukanie, mija parę chwil. Po paru krokach ktoś otwiera i drzwi stają się jakby ramą zdjęcia, które nam jako mieszkańcom można zrobić. Każde są inne. Bo każdy jest inny.

Wiele razy w ostatnich latach podczas naprawdę wytężonej pracy marzyłam o chwili, w której będę mogła zamknąć drzwi od środka i zniknąć wewnątrz swojego mieszkania na parę dni. Tego lata największym pragnieniem jest zamknąć drzwi z zewnątrz. I pójść odwiedzić innych.

Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Pamiętnik pandemiczny: 13 czerwca 2020

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

W piątek przyśnił się Ninie prezydent. Stali naprzeciw siebie w grubych kożuchach ze zwierzęcej skóry na jakimś szczycie góry, w tle jakby w zwolnionym tempie topniały lodowce.

Prezydent nie patrzył w tamtą stronę – jego wzrok intensywnie skupiał się na czymś, co stało kilka metrów za Niną, a ona sama bała się spojrzeć za siebie. Prezydent milczał, po czym położył palec na ustach i bezgłośnie powiedział „ciii". Nina zastygła – prezydent miał na ramieniu strzelbę i wiedziała, że nie jest to atrapa. Oboje zamiast zimowych butów górskich mieli na sobie wysokie obuwie narciarskie z ledowymi lampkami, których noszenie, nie wiedzieć czemu, było we śnie obowiązkowe. Ninie przeszło przez głowę, że to pewnie brat ministra Szumowskiego zadzierzgnął kolejną przyjaźń z jakimś zakopiańskim producentem owych badziewnych buciorów obczepionych migającymi światełkami i dlatego 38 milionów Polaków nosi teraz ten szajs. Nie było to jednak tak pewne, jak historia ze sprzedawcą oscypków, która niestety wydarzyła się na jawie. Prezydent we śnie Niny powoli sięgał po strzelbę, pochylił się, zrobił krok do przodu. Nina stała nadal w absolutnej ciszy, każdy oddech zamieniał się w ból, bo temperatura wokół zaczęła prędko spadać. Oboje zamarzali, prezydent uniósł broń, a Nina ostatkiem sił zerknęła za siebie. Broń wystrzeliła, a kula zawisła w powietrzu jak w tanim filmie *science fiction* klasy B. Wzrok Niny przeniósł się z kuli na cel strzału. Zmrużyła oczy. Widziała siebie zmultiplikowaną w tysiącach kopii. Setki Nin podnosiło rękę do twarzy, by zasłonić się przed strzałem. To ona była celem.

Nagle przebudziła się i prawie spadła z hamaka. Upał był nie do zniesienia. W pałacu w Komborni, gdzie spędzała długi czerwcowy weekend, było już sporo hotelowych gości. Obsługa, która jeszcze trzy miesiące temu liczyła 50 osób, teraz skurczyła się do 15. Wszyscy podnosili się z klęczek spod ciosu koronawirusa, a niepisaną umową był zakaz rozmów o COVID 19 i wyborach. W tym celu właściciel hotelu wyłączył Wi-Fi. Żadnych wiadomości z zewnątrz.

Nina przypomniała sobie swój sen.

– Wiesz, co mi się śniło? Prezydent chciał do mnie strzelać. A właściwie do tysięcy mnie.

– Ty, Nina, może już nie pij – odpowiedziała Natalia, zaśmiewając się nad kieliszkiem prosecco. – Wyglądasz, jak byś miała zaraz dostać udaru.

Twarz Niny przypominała sałatkę z buraków, a skóra jaśniała od potu. Słabła z każdą chwilą.

– To ja się położę w cieniu.

– Poleż, poleż, bo ci nieźle w czachę przygrzało – Natalia dalej chichotała.

Myśli Niny pędziły w poszukiwaniu sensu. Skąd jej się to wzięło? Według staropolskiego sennika sen o prezydencie zwiastuje rozczarowania i przykrości – pisano na ezoterycznych portalach. W drodze z Krakowa do Komborni przy bramie co drugiego domu wisiał plakat wyborczy z twarzą urzędującego prezydenta: „Mój prezydent" – głosił napis. Nieco rzadziej na przejeżdżającą Ninę gapił się z plakatu Szymon Hołownia. Przy każdym mijanym kandydacie Nina przewracała oczami z niesmakiem. Pewnie od tych plakatów pomieszało się jej w głowie.

Wszyscy podnosili się z klęczek spod ciosu koronawirusa, a niepisaną umową był zakaz rozmów o COVID 19 i wyborach.

W sobotę miała kilka nieodebranych połączeń. W końcu odebrała.

– Włącz wiadomości i posłuchaj, co mówi prezydent. Mówią dziś o nas we wszystkich mediach na świecie – usłyszała głos znajomego.

Nina zastygła. A jednak do niej strzelił.

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie", „Tygodniku Powszechnym", portalu Onet.pl. i „Codzienniku Feministycznym". Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

***Dziennik*, 2012 / *Drugi dziennik. 21 czerwca 2012 – 20 czerwca 2013*, 2014 / *Trzeci dziennik. 7 maja 2017 – 15 lipca 2018*, 2018**

Gdyby *Dzienniki* Pilcha zekranizował Woody Allen, mielibyśmy światowy hit i opinię najzabawniejszego narodu po drugiej stronie Atlantyku. Pech chciał, że Allen jest ostatnio na cenzurowanym.

Chwała redakcjom „Przekroju" (od 2010) i „Tygodnika Powszechnego" (od 2012) za dopingowanie Pilcha przy tworzeniu tych erudycyjno-prześmiewczych notatek. Literatura polska byłaby o wiele uboższa bez diarystyki pierwszego luteranina prasy katolickiej. Nie da się ukryć, że Pilchowe dzienniki, tak jak wykłady Nabokova, to przede wszystkim lekcje czytania. U autora *Spisu cudzołożnic* to czasem też dosłowne instrukcje pisania. Oszczędnego, bo najlepszy był w krótkiej formie. Mimo protestanckiej surowości Pilch to wytrawny muzyk. Nie wiem, czy tańczył pisząc, ale podobno w domu był pedantem, zaś akapity kreślił jak partytury. Żadnego bałaganu. Same dobrze postawione kropki. Motywy przewodnie cyklu to na zmianę autokreacja i autodemaskacja. Kiedy omawia literacki autotematyzm, czyni to w formie uwag, jak go nie stosować (bo śmiesznie, bo wstyd, bo nie warto). Tego uczył na podstawie dziennika Güntera Grassa: dokładnie, rzeczowo i w pięciu punktach. Jak powtarzał, liczyło się początkowe zdanie. Pierwszy tom zaczął od anegdoty o pogrzebie Iwaszkiewicza, drugi od ducha Henryka Berezy zjawiającego się w kuchni warszawskiego mieszkania, trzeci własnym niedomaganiem, by całość zamknąć pochwałą schyłku życia.

Sequele i drugie płyty zwykle nie przebijają torpedy debiutu, ale Pilch w roku 2012 niczego nie musiał udowadniać – *Drugi dziennik* uważam za najlepszą część tryptyku. W odcinkach z lat 2012–2013 Pilch jest polskim Allenem, Nabokovem, momentami Toporem. Rozwija dwa rodzaje wpisów: uwagi z lektur dawnych i nowych na zmianę z ironicznymi obserwacjami codzienności. Tego zwykle oczekujemy – ciekawscy wojeryści, smakosze pikanterii z prywatnych bebechów artystów, pisarzy, celebrytów. Co jadł, z kim romansował, jaką nosił bieliznę? Z tych czytelniczych oczekiwań autor przebojowo kpił, prezentując, jak powinien wyglądać arcyszczery opis dnia współczesnego pisarza: „Oto niekłamany w niczym jeden dzień życia J.P. Obudziłem się jak zwykle o piątej rano, jak zwykle jak wilk głodny. Pognałem do kuchni, puściłem radio. Kiełzałem i zarazem ćwiczebnie wzmagałem głód pieczołowitością przygotowań, krotiłem chleb z precyzją psychopaty. Odbezpieczyłem flaszkę activii o smaku morelowym – Boże mój, kiedyś piąta rano była godziną śmierci, teraz gdy śmierć ruszyła z kopyta, jest godziną życia".

Dwa pierwsze tomy bezdyskusyjnie wpisują Pilcha w poczet czołowych polskich diarystów. A jest tutaj spore już grono: od Paska przez Kitowicza po Dąbrowską, Nałkowską, Gombrowicza. Trzeci tom zawodzi. Nie jako słaby, lecz dlatego, że dwa poprzednie to perełki. Pisane były jak stałe zlecenie, sprawdzane na żywo, regularnie redagowane i publikowane. W trzecim czuć brak czytelniczej presji, *deadline*'u i ostrości spojrzenia. Jakby rozgrywał mecz Wisła *contra* Cracovia przy pustych arenach. Jest jeszcze forma, lecz brakuje dawnej werwy. Obserwacje, jakie nam serwuje, to między innymi: narzekanie na brak sex appealu u aktorek *Seksu w wielkim mieście*, obojętność krytyczek-feministek na rocznicę śmierci Carson McCullers, groteskowość Krystyny Kofty czytającej konstytucję RP. Na szczęście jest jeszcze czarny humor na wieść o śmierci Janusz Głowackiego, który to miał przed odejściem wyjechać do Egiptu na wczasy *last minute*. „*Last minute* – jakże to teraz brzmi. Język śmierci zawsze brzmi topornie" – bezbłędnie pointował Pilch.

Jakub Wydrzyński

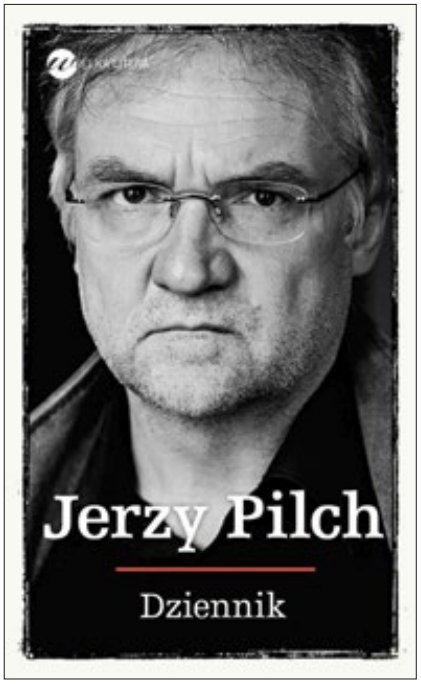

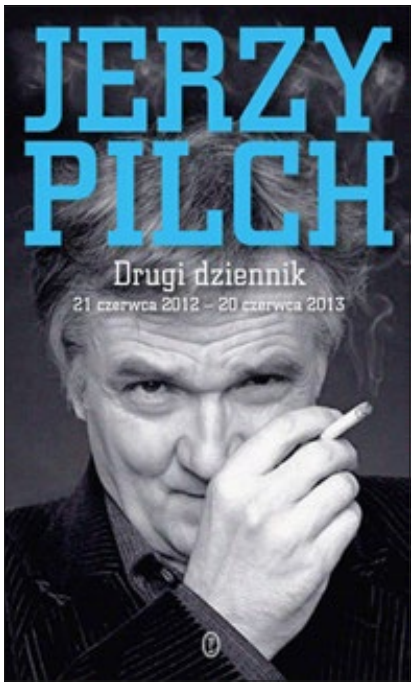

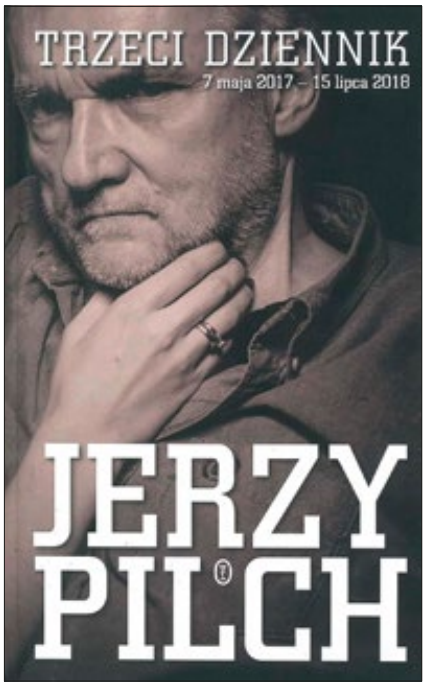

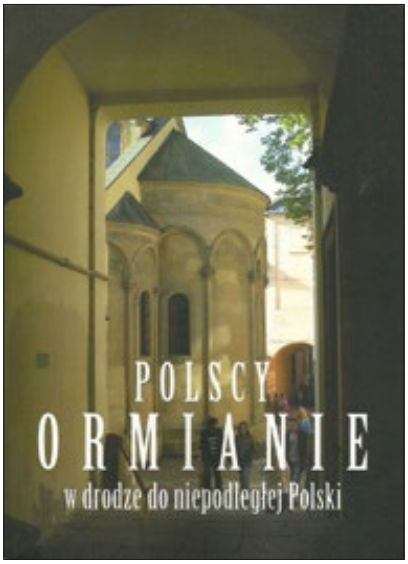

„Od wieków nie tylko sam fakt mieszkania w państwie polskim lub ambicje kulturowo-społeczne, ale także istnienie grupowej formuły tożsamościowej nazywanej (...) *gente Armeni, natione Poloni*, umożliwiało wytworzenie się polskiego patriotyzmu bez konieczności jednoczesnej rezygnacji z pamięci ormiańskiej" (prof. Andrzej A. Zięba).

Ormianie to jeden z bardziej fascynujących wątków Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Obecni jako nacja chrześcijańska, ale i kupiecka, i rycerska. A dziś niemal zanikła nad Wisłą.

Jesienią 2018 roku nasz wydawca przy współudziale Muzeum Niepodległości w Warszawie, a pod auspicjami prezydenta Krakowa zorganizował konferencję poświęconą polskim Ormianom. Tematów było mnóstwo, mnie pewnie najbardziej by zaciekawił mit rycerskiego pochodzenia tej nacji, który sięgał zaproszenia Ormian przez książąt ruskich ponoć w roku 1062. Opowieść ta okazuje się po latach właśnie mitem, co nie zmienia tego, że wzbogaciła polską kulturę. Piszę w trybie przypuszczającym: „pewnie by mnie zaciekawiło", bo w konferencji z rozmaitych powodów nie wziąłem udziału.

Na szczęście nie upadł zwyczaj publikacji konferencyjnych referatów w postaci książkowej. I teraz z przyjemnością mogę poczytać choćby o ormiańskich wygnańcach z Kamieńca w 1673 roku.

(wb)

Polscy Ormianie w drodze do niepodległej Polski. Materiały z konferencji naukowej Kraków, 9–10 października 2018 roku, red. Stanisław Dziedzic i Janusz M. Paluch, Biblioteka Kraków 2018.

Kiedy widzimy kobietę w ciąży, mimowolnie myślimy: cud narodzin, nowe życie, szczęście. W tej książce nie znajdziecie takich cudów. Autorka mierzy się z własną traumą po urodzeniu wcześniaka w dwudziestym dziewiątym tygodniu ciąży – jedenaście tygodni przed terminem. Przedwcześnie urodzone dzieci ważą zwykle mniej niż kilogram, nie potrafią samodzielnie oddychać, ssać, ich skóra jest cienka jak pergamin, widać pod nią układ cieniutkich żył. Dramatyczne odwrócenie porządku świata: dziecko rodzi się do umierania, nie na życie – pisze.

Współczesna neonatologia potrafi wiele z nich uratować. Media przytaczają historie o skrajnych wcześniakach, o trojaczkach, o sześcioraczkach, o tych, którym się udało przeżyć i widzimy, jak uśmiechnięci rodzice wynoszą w nosidełku maleńkie zawiniątko. Jednak książka Małgorzaty Nocuń to nie taka relacja. To opowieść o strachu, niepewności, psychicznym i fizycznym cierpieniu matki, która każdego dnia patrzy na swoje maleńkie dziecko zamknięte w inkubatorze. To opowieść o matkach bohaterkach, które znajdują nadludzką siłę, by codziennie wracać do szpitala, odciągać pokarm, zgłębiać medyczne terminy i na nowo układać życie – z dzieckiem, które być może nie będzie widzieć, słyszeć, chodzić. Dla kobiet, które mają podobne doświadczenie, książka ta będzie pokrzepieniem. Pozostałym uświadomi, jak skomplikowany jest proces dojrzewania płodu i jak wiele twarzy może mieć macierzyństwo.

Magdalena Oberc

Małgorzata Nocuń, *Wczesne życie*, Wydawnictwo Czarne 2020.

O teatrze można pisać na rozmaite sposoby. Można recenzować spektakle dla różnych czasopism. Można opisywać zjawiska i nurty, które teatr w danym momencie tworzą. Można wnikliwie rozmawiać z wybitnymi twórcami, by następnie rozmowy te publikować w formie wywiadów. Ale można również pokazywać i archiwizować sztukę teatru w telewizji. To ostatnie było nie do przecenienia zwłaszcza w czasach, kiedy o internecie i cyfrowych gadżetach nikt jeszcze nie słyszał. Krzysztof Miklaszewski wszystkie te rodzaje aktywności uprawiał przez 55 lat. A gdy się do tego doda jego działalność pedagogiczną, dyrektorską (między innymi warszawski Teatr Rampa), reżyserską i aktorską (wiele lat z Tadeuszem Kantorem), to wyłania się obraz człowieka teatru – omnibusa, jakich dziś już prawie nie ma. *Moje życie w teatrze* jest podsumowaniem ponad półwiecza przygody z teatrem i pracy dla teatru. Od wnikliwie opisywanych teatrów studenckich z lat 60., na czele z Teatrem STU, przez portret wybitnych twórców teatru i recenzji zamieszczanych na łamach między innymi „Dziennika Polskiego", po refleksje „w ogniu współczesnych sprzeczności". Miklaszewski nie tylko zjawiska opisuje, ale próbuje je zrozumieć.

(mhs)

Krzysztof Miklaszewski, *Moje życie w teatrze*, Fundacja Urwany Film, Kraków 2019.

Pociąg do życia wiecznego, 2007

Tekst: Witold Bereś **Zdjęcie:** Zofia Katarzyna Morstin

Siedziałem w ponurej sali odlotów na Okęciu i miałem czekać dwie godziny na ostatni samolot do Krakowa – bo na ten przedostatni oczywiście się nie załapałem. Jakiś powrót z kolejnej fuchy – pokaz filmu w Tampere, prezentacja książki w Hamburgu czy inny wykład w dalekim Kołbaskowie, nieosiągalnym inaczej niż liniami PLL LOT.

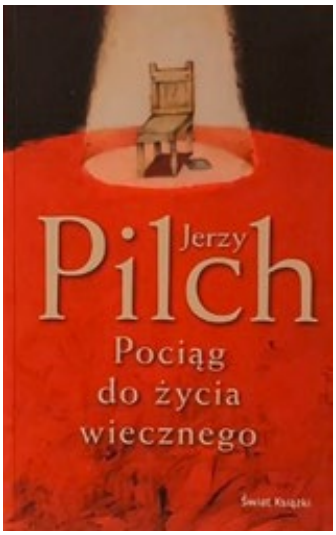

Ciemnawo, świetlówki szarym światłem ni grzeją, ni ziębią, a automat z coca-colą nie działa. Zresztą i tak sobie właśnie obiecałem kolejną dietę, wolną od wszelkich węglowodanów w postaci stałej, nie mówiąc już o płynnej. I o każdym płynie.

Potwornie zmęczony sięgam po Pilcha, ostatnie, książkowo wydane felietony z tygodnika „Polityka". „Polityka" daje jednak tyle tekstów ważkich, że zwykle sięgam po nią po katolicku, od przodu, a wtedy zawsze trafiam na co najmniej jedną wstrząsającą analizę sytuacji w kraju, co mnie absolutnie zniechęca do czytania czegokolwiek, a nawet w ogóle do czegokolwiek. W dodatku pismo ukazuje się co tydzień – brawo, zaskakujący wywód zważywszy na nazwę! – liczy ze sto stron i prawie nigdy nie mogę dotrzeć do końca, do felietonów.

Stąd większość felietonów Pilcha mi mija. Tym bardziej że – jak wiadomo – tekst w gazecie, czytany między kanapką z żółtym serem a herbatą, smakuje zupełnie inaczej (gorzej!) niż tekst książkowy.

Sięgam więc po książkę. Boję się, że będzie za trudna, a ja tu taki wypluto-zmęczony. Coś jednak z sobą trzeba zrobić...

Nie mija jednak kilka chwil, za mną ledwie kilka pierwszych zdań, a coś się zaczyna dziać...

„Nocami śnieg schodzi z dachu z łoskotem, jakby wszystkie wcielenia spadały na ziemię. W męce bezsenności niejasno widzę na najwyższej półce zarys klasycznego naczynia z koreańskim wężem w środku. (...) Dziadek się chyba nigdy tą osobliwością nie nasycił, co dzień kolebał naczyniem, by zbadać na ile ruchy węża są samodzielne, a na ile falowaniem trunku spowodowane, do definitywnych ustaleń nie doszedł, bo umarł, ojciec też umarł. Ambasador, wysoko postawiona krewna, Kim Ir Sen – pomarli. Kufry, w których kiedyś ten rarytas wieziono, zetlały, parowozy rdza strawiła, stary dom obrócił się w ruinę, imperia upadły, słaby byłem jak mucha, otwarłem, kawałki węża przeszły przez gardło, nie ma rzeczy wiecznych".

Za dużo emocji, za dużo wzruszeń.

Oczy się szklą.

Nie.

Pieprzę, pieprzę wszystko, do bani z obietnicami swoimi, cudzymi i wyczekanymi. Na odległym lotnisku kupiłem co nieco w sklepie wolnocłowym w postaci podarunku dla domu. Więc wyciągam owo co nieco i na oczach zdumionej wciąż widowni pociągam spory łyk.

Dzwonię do Pilcha i wychodzę z lotniska...

Ewę Lipską doceniono w Warszawie

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Danuta Węgiel

Dla miesięcznika „Kraków" piszą najlepsi autorzy. Możemy tak bezczelnie stwierdzić, gdyż są na to dowody. Jednym z nich jest to, że obecna na naszych łamach Ewa Lipska otrzymała właśnie Nagrodę Literacką m. st. Warszawy.

Jury w składzie: Janusz Drzewucki (przewodniczący), Grażyna Borkowska, Anna Maria Czernow, Karolina Głowacka, Anna Romaniuk, Krzysztof Masłoń oraz Rafał Skąpski zachwyciło się wierszami poetki, które znalazły się w tomie *Miłości w trybie awaryjnym*. Trudno dziwić się jurorom, gdyż rzeczywiście wiersze Ewy Lipskiej dotykają niezwykle poruszających nas dziś problemów, a skojarzenia z pandemią niekiedy nasuwają się same.

Ale tak naprawdę utwory z najnowszego tomiku Ewy Lipskiej są bardzo osobiste, intymne, a przy tym pełne zaskakujących skojarzeń. Jak choćby *Kopalnia:*

Już od lat pracuję
w kopalni Imaginacji.
Zjeżdżam do samego dna
w dwutlenku metafor
w pyle popiołu i siarki
ze zbutwiałymi aniołami piękna. (...)

Ewa Lipska porównuje swoje pisarstwo do pracy górnika, popiół, siarka stają się tu metaforą trudu twórczego. Warto jednak mu ulegać, by spotkać się ze „zbutwiałymi aniołami piękna", które rodzą się w wyobraźni poetki. Za tymi bardzo osobistymi słowami skrywa się przemijający i zmienny świat, świat dojrzałej poetki, która tak kończy *Kopalnię*:

(...) Zjeżdżam coraz niżej. Coraz głębiej,
Igranie z losem jest moim wybrańcem.
Bierzemy wkrótce ślub.

I właśnie na te wartości poezji Lipskiej zwróciło uwagę przyznające prestiżową nagrodę jury. A honoruje ono nie byle kogo. Pierwszym laureatem wyróżnienia był w 1926 roku najstarszy syn Adama Mickiewicza – Władysław, a ostatnim przed wojną – Leopold Staff. Nagrodą tą wyróżniono także Wacława Berenta, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Polę Gojawiczyńską, Marię Kuncewiczową, a w bliższych nam czasach: Tadeusza Konwickiego, Józefa Hena, Marka Nowakowskiego, Janusza Głowackiego, Wiesława Myśliwskiego, Hannę Krall.

Pani Ewo, szczerze gratulujemy!

Ewa Lipska, *Miłości w trybie awaryjnym*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

Gambit Sulta – sukces czy porażka, oto jest pytanie!

Tekst: Janusz Paluch **Zdjęcie:** Paulina Myśliwiec

Książka od początku pachnie spiskiem. Z jednej strony sprytny prawnik, który chce postawić w stan oskarżenia o wysokie odszkodowania Kościół żyjący z datków ludzi i wmawiający im od tysiącleci istnienie siły nadprzyrodzonej – Boga. Z drugiej – włączenie do akcji, jako głównego bohatera, naukowca, profesora filozofii i do tego związanego z Uniwersytetem Jagiellońskim oraz jego nobliwego Mistrza, którego rola w powieści jest wielce podejrzana, choć nie do końca wyjaśniona, to już perwersja!

Prof. Sult, filozof, to geniusz już od kołyski, ze zdaniem którego liczą się wszyscy. Dlatego minister sprawiedliwości zwraca się do niego, by opracował opinię sądową na temat istnienia Boga. Bagatela! Nobliwy krakowski profesor – niezależnie od tego, czy byłby wierzącym dewotem czy religijnym abnegatem – odmówiłby bez zastanowienia! Ale nie Sult, który w kwestii istnienia Boga nie ma wątpliwości. Jednakże musi przeprowadzić logiczny dowód, nim w opinii stwierdzi: istnieje lub nie istnieje. Po euforii nawet u geniusza budzą się wątpliwości. Nie może w tak rudymentarnej kwestii sam wydawać opinii burzących porządek świata – wprawdzie tylko religijny, ale konsekwencje mogą być nieprzewidywalne... Co zatem należy zrobić? Oczywiście! Powołać komisję! I tu się zaczyna... Skład komisji musi być przewidywalny, by zapewnić powzięcie opinii potwierdzającej nieistnienie Boga. Wiemy jednak, jak z komisjami bywa. Ich praca często doprowadza do zaskakujących zakończeń. Pojawiają się grupy interesów, naciski z pieniędzmi w tle...

Powieść Macieja Miłkowskiego posiada posmak sensacji, a nawet kryminału podszytego grozą. Dlatego czyta się ją z zapartym tchem. Jej niezwykłość polega jednak na tym, że można ją zaliczyć do gatunku powieści intelektualnych. To duże ryzyko dla autora, by przez świat filozofii i religii tak prowadzić czytelnika, by go nie stracić. By przebrnął przez trzyczęściową (ponad 400 stron!) powieść i na końcu miał poczucie niedosytu, a może zawodu z niespodziewanego zakończenia książki, która ma odpowiedzieć tylko na jedno – wydawało by się proste – pytanie: „czy istnieje Bóg?".

Książkę czyta się o tyle przyjaźniej, że akcja rozrzucona jest w miejscach nam znanych, niemal codziennie odwiedzanych. Budynek Starego Teatru, plac Szczepański, plac Biskupi czy Planty – to tam spacerujemy, myślimy, dyskutujemy.

Maciej Miłkowski, *System Sulta*, Nisza, Warszawa 2019.

■ **Odszedł Adam Wodnicki, człowiek, który żył w świecie wyobraźni**

Jeszcze nie tak dawno rozmawialiśmy przez telefon. Adam Wodnicki, choć był już bardzo chory, chętnie opowiadał o sztuce, książkach i swoim ukochanym Arles. Teraz pozostały nam jedynie, a może aż, jego przekłady literatury francuskiej i wydane przez Austerię *Notatki z Prowansji*, *Obrazki z krainy d'Oc*, *Tryptyk oksytański*, *Anamnezy*. W ostatnim wywiadzie, który znalazł się w majowym miesięczniku „Kraków", a jest do przeczytania na www.miesiecznik.krakow.pl, profesor mówił: „Jestem przekonany, że najwyższą prawdę o rzeczywistości daje nam właśnie wyobraźnia. To, co wyobrażone, jest niekiedy bardziej realne niż to, co rzeczywiste".

W świecie swojej wyobraźni Adam Wodnicki żył od zawsze, nawet we wczesnej młodości, kiedy walczył w Szarych Szeregach. Później rozwijał ją na studiach artystycznych w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, z którą związał się na wiele lat, zostając jej profesorem, dziekanem Wydziału Form Przemysłowych, a w końcu prorektorem. Wykładał gościnne w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Tuluzie oraz prowadził warsztaty językowe w Międzynarodowym Kolegium Tłumaczy Literatury Pięknej w Arles. I to właśnie południe Francji stało się jego miejscem na ziemi, o którym pisał w swoich erudycyjnych książkach.

Panie Profesorze, będzie nam bardzo brakowało Pana wyobraźni.

■ **Bagatela ma nowych dyrektorów**

Andrzej Wyrobiec i Krzysztof Materna obejmują dyrekcję Teatru Bagatela – pierwszy stanowisko dyrektora naczelnego, drugi artystycznego. Tandem wygrał konkurs organizowany przez miasto Kraków. Na jego rozstrzygnięcie czekano z niecierpliwością od czasu, gdy prezydent Jacek Majchrowski zwolnił Henryka Schoena, który otrzymał prokuratorskie zarzuty za molestowanie seksualne zatrudnionych w teatrze kobiet.

Andrzej Wyrobiec jest postacią znaną pod Wawelem jako ceniony menadżer i wiceminister kultury za rządów Platformy Obywatelskiej. Krzysztofa Maternę nie trzeba też nikomu przedstawiać. Satyryk, aktor, producent i reżyser przybędzie do nas z Warszawy.

■ **Kolejne krzesło przy profesorskim stoliku zostało puste**

Są lata 50. Ulica Karmelicka właśnie budzi się do życia, kiedy w stronę kawiarni Kopciuszek sprężystym krokiem podąża młody pracownik naukowy Wydziału Prawa UJ. Zanim uda się na uczelnię, musi napić się dobrej kawy. Ten rytuał Stanisław Grodziski powtarzał przez lata. Aż któregoś dnia w kawiarni pojawiła się grupa jego kolegów z Instytutu Historii, wśród których był Antoni Podraza, Aleksander Krawczuk, Marian Zgórniak, Eligiusz Kozłowski, Józef Buszko. Naukowcy szukali dla siebie miejsca po tym, jak zamknięto im Kawiarnię Literacką. Spodobało im się w Kopciuszku i odtąd około godz. 11 zasiadali razem ze Stanisławem Grodziskim przy tym samym stoliku.

30 maja, na wieść o śmierci profesora, właśnie taki obrazek rozdyskutowanych naukowców staje przed oczami. Tym bardziej że Stanisław Grodziski opisał te spotkania szczegółowo w książce *Klio, córka Mnemosyne, kelnerka z Kopciuszka. Kraków 1968–1982*. Ale specjalistom na pewno od razu przyjdą na myśl poważniejsze dokonania profesora, takie jak choćby jego badania nad ustrojem dawnej Polski i Galicji. Był on bowiem wybitnym znawcą tych zagadnień, na co dowody możemy znaleźć w jego książkach, między innymi w *Historii ustroju społeczno-politycznego Galicji 1772–1848*, *Sejmie Krajowym Galicyjskim 1861–1914*, *Franciszku Józefie I.*

Także imponująco wyglądała jego kariera naukowa. Był szefem Katedry Historii Prawa i Państwa Polskiego, dziekanem Wydziału Prawa, prorektorem UJ i wiceprezesem PAU. Nie przeszkadzało mu to publikować nieco lżejsze szkice, mające charakter popularnonaukowy, takie jak *W obronie czci niewieściej*, *Wzdłuż Wisły, Dniestru i Zbrucza. Wędrówki po Galicji*, *Feliksa Boronia pielgrzymka do historii* czy *Na Orlim Szlaku.*

Wielu studentów prawa UJ wspomina jego wykłady jako najciekawiej prowadzone i wygłaszane najpiękniejsza polszczyzną, zaś postawę w roli prorektora w trudnej na uczelni i w Polsce końcówce lat 80. ubiegłego wieku za tyleż odważną, co rozumną i obywatelską.

Pisał też do naszego miesięcznika. Były to teksty poświęcone historii Krakowa, a także życiu profesora pod Wawelem. Życiu, które toczyło się również w kawiarni Grand Hotelu, a potem w Europejskiej, gdzie po zamknięciu Kopciuszka i peregrynacjach po innych miejscach przeniósł się w końcu na stałe stolik profesorski. To tam popijający kawę, przypadkowi goście mogli usłyszeć wypowiadane przez jednego z naukowców zdanie: „Skończcie już z tym nudzeniem o szansach powstania listopadowego. Porozmawiajmy poważnie o szansach Cracovii…".

■ **Festiwale przeniosły się do sieci**

To był eksperyment, który zakończył się sukcesem. Przeniesiony do sieci Krakowski Festiwal Filmowy obejrzało aż 40 tysięcy widzów. A może znacznie więcej, bo przed ekranami w domach mogło zasiadać przecież po kilka osób. A było co oglądać. Choćby nagrodzony Złotym Rogiem film Radu Ciorniciuc *Acasa, mój dom*, będący opowieścią o usiłujących przystosować się do życia w miejskiej dżungli rumuńskich Cyganach. Oczywiście lepiej byłoby zobaczyć go w pełnej po brzegi sali kina Kijów. Podobnie jak posłuchać koncertów Festiwalu Kultury Żydowskiej na żywo w synagodze Tempel. Wydarzenie zostało jednak odwołane. Na pocieszenie w sieci możemy brać udział w *Prologu*, który stanowi wprowadzenie do kolejnej edycji imprezy zaplanowanej na przyszły rok. Od 28 czerwca dostępny będzie *Koncert inauguracyjny*, podczas którego wystąpią między innymi Frank London, David Krakauer, Shai Tsabari, Kutiman, Lola Marsh, Piyut Ensemble, Gili Yalo, Ori Alboher i Shofar. Koncerty, wykłady, a nawet warsztaty odbywać się będą *online* aż do święta Chanuki 10 grudnia. To musi nam wynagrodzić oczekiwanie na powrót do normalności.

Zebrała Magda Huzarska-Szumiec

Krótka piłka

Jurka już nie ma Tu, jest Tam.

A Stamtąd jako wytrawny kibic analizuje sytuację przedmeczową. A mecz jest o wszystko!

Mamy dwie drużyny: teoretycznie silniejszą, z despotycznym i bezwzględnym prezesem klubu – dla niektórych strategiem i wizjonerem, z szerokim sztabem szkoleniowym, z wielkim budżetem, z zaślepionymi fanami, którzy nie dostrzegają, że ich drużyna do finału dochodziła, faulując rywali.

I mamy zespół potencjalnie słabszy, trapiony kontuzjami na własne życzenie, drużynę, w której niedawno zmieniono podstawowego napastnika, bo poprzedniemu brakło kondycji. Skład, który dopiero zaczyna treningi. Ale to jest nasz zespół, to jest nasz Klub.

Mecz będzie na boisku przeciwnika, a jak wiadomo, gospodarzom nawet ściany pomagają. Być może będą obserwatorzy z UEFA, ale cholera wie, czy dotrą na czas, bo granice nie do końca otwarte... Skład sędziowski ustalony przy pomocy stratega gospodarzy, a na VAR nie ma co liczyć, bo transmisję prowadzi jedynie słuszna stacja nadawcza.

Termin spotkania? No cóż, tu też ostatnie słowo należy do gospodarza, mimo że niektóre zapisy regulaminu rozgrywek jasno go określają.

Oczywiście są stare reguły gry w futbolówkę; gramy po jedenastu, aut jest wtedy, jak piłka wyjdzie poza linię, ale nie każdą, bo czasem bywa korner, nie ciągniemy za koszulkę i nie tniemy po kostkach. To są zasady – rodzaj futbolowej ustawy zasadniczej.

Ale wiemy, że nasz przeciwnik tych zasad się nie trzyma przez całe rozgrywki. Gra brutalnie, jak nie obrażając w „C" klasie, ale do finału dochodzi.

I co teraz? Wyjść na boisko czy zbojkotować spotkanie?

Odpowiem jak stary piłkarz: idę grać, mimo że mam świadomość, że mogę z murawy być zniesiony na noszach. Na trybunach są kibice, którym to jestem winien. Wiem, że to nie będzie czysta gra, ale są momenty, że cel jest najważniejszy. Tym bardziej że jak przegramy teraz, to następnej rozgrywki może już nie być i wtedy zasady gry będziemy mogli sobie do przepoconych spodenek schować.

A przecież gram o mistrzostwo Polski!

Piotr Błachut

Rys. Piotr Błachut

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków"
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Jerzy Pilch, Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński
Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski
Strona internetowa: Piotr Rachwaniec
Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl, tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci lokalnej

Kraków.pl
https://www.krakow.pl/aktualnosci/240602,26,komunikat, wracamy__wracajcie_do_lazni_.html

Kto nigdy nie był w teatrze Łaźnia, może nadrobić to właśnie teraz. Po emisji spektakli *online* przyszedł czas na bezpośredni kontakt publiczności z aktorami. Więcej o planach teatru możecie przeczytać na portalu krakow.pl

Po czasie intensywnej działalności w sieci dla ponad 60 000 widzów, którzy wyświetlili spektakle *online* emitowane przez Łaźnię Nową (...), teatr wraca ze spektaklem szczególnie ważnym. *Konformista 2029* zostanie zagrany na dużej scenie w ostatni weekend czerwca.

– Traktuję czas pandemii jako wyzwanie do nowego otwarcia. Zaczynamy z wiarą, że to, co robimy, jest ważne, a nawet w pewnym sensie ważniejsze niż przed lockdownem. Sztuka sięga przecież do fundamentów naszego człowieczeństwa. Pandemiczny kryzys skompromitował niemal cały system i pokazał, że tak naprawdę możemy liczyć tylko na sztukę – mówi Bartosz Szydłowski, dyrektor artystyczny teatru Łaźnia Nowa.

KRKnews.pl
https://krknews.pl/w-krakowie-powstanie-park-im-wieslawy-szymborskiej-mozesz-oddac-glos/https://krknews.pl/w-krakowie-powstanie-mural-wislawy-szymborskiej/

Zła informacja dla kierowców, za to dobra dla pięknoduchów. Jak donosi serwis krknews.pl, przy ul. Karmelickiej w miejsce parkingu ma powstać park im. Wisławy Szymborskiej, a elewację pobliskiego hotelu przyozdobi mural upamiętniający naszą noblistkę.

To byłby piękny sposób na uczczenie pamięci o Wisławie Szymborskiej. W internecie pojawiła się petycja, aby park, który ma powstać przy ulicy Karmelickiej, nosił imię słynnej noblistki. (...) Pod pismem podpisało się już ponad 800 osób. Petycję wsparli między innymi noblistka Olga Tokarczuk, reżyserka Agnieszka Holland czy Michał Rusinek, były sekretarz Szymborskiej.

– (...) Od początku planowaliśmy odrestaurowanie elewacji kamienicy i ponowne pokazanie jej walorów oraz piękna, co niewątpliwie wpłynie na polepszenie krajobrazu Krakowa. Mural już od jakiegoś czasu chodził mi po głowie, ale teraz stanowiłoby to świetne dopełnienie społecznej inicjatywy. Mamy nadzieję, że stanie się on punktem orientacyjnym, który chętnie będzie oglądany przez mieszkańców i turystów, a tym samym wpłynie na popularność samego parku – mówi Joanna Ostrowska, zarządzająca rodzinną siecią Osti-hotele.

Przegląd i wprowadzenie: Piotr Rachwaniec

Nasza ankieta: Co czytać?

Co miesiąc staramy się prezentować najlepsze pozycje literackie. *Nasza biblioteka* sięga po książki różnych gatunków, biografie, prozę, listy. W marcu przywoływaliśmy ważną pozycję Macieja Wasielewskiego, opisującą słynną akcję „Niewidzialna ręka" i *Dzienniki* Tadeusza Kwiatkowskiego z lat 1953–1973. W kwietniu zwracaliśmy uwagę na album Muzeum Fotografii w Krakowie i wybór zdjęć dokonany przez dyrektora instytucji Marka Świcę. Teraz zapytaliśmy naszych czytelników o tomy, które polecają na czas kwarantanny. Wśród faworytów znalazły się biografia *Boznańska. In finito* Angeliki Kuźniak, *Tu jest wojna. Kobiety, fundamentaliści i nowe średniowiecze* Klementyny Suchanow, wiele osób wraca też do prozy Zadie Smith i do Szczepana Twardocha. Jeśli uważacie, że jakaś książka jest warta, żebyśmy o niej wspomnieli, piszcie! (ng)

W następnym numerze:

Kraków nieodkryty. Zapraszamy
Olga Tokarczuk specjalnie dla nas
Jedziemy do Włoch!
Przynajmniej czytelniczo
Marta Bizoń: śpiew,
Neapol i Kazimierz
Krakus jesienią nad Bałtykiem

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A–B?
Boy

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec na podstawie książki Mieczysława Czumy, Michała Kozioła, Leszka Mazana *To jest Kraków, mości książę*! (Anabasis)
Ilustracja: Janusz Stefaniak

Nie całuję twojej dłoni, madame

Dzisiaj taka akcja miałaby, niestety, rację bytu i higieniczno- zdrowotny kontekst. Ale w roku 1949 jej pomysłodawcom, czyli redakcji tygodnika „Przekrój", chodziło o coś zgoła odmiennego. Otóż rzeczony tygodnik „w imię najwyższych wartości humanistycznych i humanitarnych" wszczął kampanię przeciwko całowaniu rąk. Ażeby jeszcze bardziej podbudować bazę ideologiczną całej batalii, uznano, że ten „cmok-nonsens" jest „ostatnim przeżytkiem z czasów feudalnych". Potrafimy sobie wyobrazić taką oto sytuację, że jakiś junak, umawiający się z jakąś panną na A–B, wita ją mocnym uściskiem dłoni, po czym dodaje: – Sądząc po sile uścisku, widzę, że koleżanka też uczestniczy w akcji „cmok-nonsens". I widzę też, że na odcinku niepodawania dłoni do cmoknięcia, jest koleżanka prawdziwą przodowniczką!

Ale to tylko oczy wyobraźni. Bo choć cała akcja trwała aż dwa lata, zakończyła się kompletną klapą pomysłodawców.

Przerwa w podróży nie wszystkim służy

Uwaga na naszą słynną, staropolską gościnność! Bywa zgubna, a jej skutki mogą spowodować rysę nawet na historii literatury. No, powiedzmy małą, niewinną ryskę. Przekonał się o tym wybitny amerykański pisarz John Steinbeck, który 19 listopada 1963 roku miał przyjechać z wizytą do Krakowa, goszcząc wcześniej w stolicy. Na autora *Gron gniewu*, niedawnego noblisty, czekała delegacja złożona między innymi z rektora UJ prof. Kazimierza Lepszy i prof. Karola Estreichera. Tymczasem kolumna z dostojnym gościem oraz z towarzyszącą mu małżonką i pracownikami ambasady USA spóźniała się niemiłosiernie. Mijały godziny, a komitet powitalny snuł podejrzenia o jakimś karambolu. Wreszcie cierpliwość została nagrodzona i pisarz ze świtą zajechał pod Wawel. Okazało się jednak, że ani on, ani reszta podróżnych (z wyjątkiem pani Steinbeckowej), nie wiedziała... gdzie jest. Brutalna prawda każe nam napisać wprost: państwo byli w stanie solidnego, alkoholowego upojenia. A wszystko to przez przerwę w podróży, która miała miejsce w Jędrzejowie u dr. Tadeusza Przypkowskiego – między innymi wytwórcy oraz kolekcjonera znakomitych i mocnych nalewek.

Striptiz przerywany

W roku 1958 w kilku krakowskich nocnych lokalach zagościła rozrywka, która szczególnie przypadła do gustu męskiej klienteli. Otóż, otulone nastrojowym blaskiem świateł, rozkołysane delikatnym rytmem stosownej muzyki, na parkietach i na estradach pojawiły się striptizerki. Co ciekawe, rozbierały się ponoć głównie piękności ze Śląska Opolskiego, nauczone tanecznych kroków w zespołach regionalnych. Ale prawdziwa królowa striptizu, ba!, legenda wręcz, pochodziła z samego Krakowa i nazywała się Alicja Darlen vel Kowalik. Nie wiadomo, czy z przywiązania do krakowskiego folkloru, czy z jakichś względów artystyczno-erotycznych, pani Alicja wychodziła do swojego numeru w stroju krakowskim. Potrafimy sobie to wyobrazić: najpierw wianek, potem spódnica, teraz korale, którymi macha w powietrzu niczym Rita Hayworth rękawiczką, by za chwilę, zapinka po zapince, rozpinać gorset... I tak napięcie rosło, tłumy czekały z zapartym tchem na *grande finale* i kiedy już miało dojść do zrzucenia resztek *dessous*, nagle... światło gasło. Co wieczór więc czterech milicjantów musiało uspokajać rozczarowanych gości lokalu, którzy liczyli na to, że boska Alicja obnaży się wreszcie do końca.

Bar naprawdę mleczny

I znów byliśmy pierwsi! 30 maja 1946 roku w Szarej Kamienicy wywiesił tabliczkę „otwarte" pierwszy bar mleczny w Polsce. Do lokalu o nazwie Pod Bańką, kierowanego przez panią Zofię Farynową, wchodziło się od ulicy Siennej. Menu kusiło niemal wszystkim tym, co można upichcić z mleka. Z napojów płynnych królowały więc jogurty, kefiry, kwaśne mleko, mleko kakaowe, śmietany i nawet, uwaga!, szampan mleczny. Mile łechtały podniebienia wielosmakowe twarożki i kanapki z masłem, bryndzą i serami. Był też, a jakże, deser – bita śmietana z owocami. Działał sobie ten bar *par excellence* mleczny, dostarczając nie tylko ludowi pracującemu pożywnego białka prosto od krowy, gdy po dziesięciu latach społeczeństwo, wsparte na opiekuńczym ramieniu partii, zasugerowało poszerzenie oferty kulinarnej. Chcąc nie chcąc, pani Farynowa uzupełniła więc jadłospis Pod Bańką o 14 gatunków zup, około 30 drugich dań, 5 odmian makaronów i 5 deserów. Dziś już nikogo nie dziwi, że w barze mlecznym można zjeść schabowego czy gołąbki z mięsem. Ale w latach 50. zeszłego stulecia musiało to być wydarzenie godne niejednej rewolucji.

Straciliśmy pas cnoty

W jednej z wersji legendy o Smoku Wawelskim ten okrutny gad szczególnie sobie cenił krakowskie dziewice. Nie wiemy, czy te bardziej zapobiegliwe, w trosce o to, by nie być zjedzone, jak najszybciej traciły wianek. Ale wiemy, że gdyby wówczas znano pasy cnoty, smok zadanie miałyby mocno utrudnione. Można się było o tym przekonać na Wawelu, oglądając tam „podwiązkę Wenus" – jedyny w Polsce autentyczny egzemplarz pasa cnoty. Niestety, w roku 1960 Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu przekazały cenny eksponat do muzeum w Cieszynie. Niejasny jest powód, dla którego dyrekcja wawelskich zbiorów wypuściła z rąk to zabytkowe urządzenie. Być może przyczyniły się do tego panie nauczycielki, które oprowadzając wycieczki szkolne, musiały zmierzyć się z pytaniem jakiegoś Jasia: „Proszę panią, a co to jest za pas?".

V Ogólnopolski Konkurs Poetycko-Plastyczny

„Poetyckie Jaskółki”

Serdecznie zapraszamy młodych adeptów poezji oraz sztuk plastycznych do udziału w konkursie, którego podsumowaniem – jak zawsze – będzie tomik zawierający prace laureatów.
Utalentowanym twórcom początkującym – zawsze patronują twórcy wybitni.

2016 - Ewa Lipska
2017 - Wisława Szymborska
2018 - Wojciech Bonowicz
2019 - Adam Zagajewski
2020 - ... (to zawsze niespodzianka!)

Poetyckie JASKÓŁKI

Więcej informacji: **www.zawszewarto.pl**

Organizator: Fundacja Zawsze Warto

Mecenas: Farmona

Patronat honorowy: Biblioteka Kraków

Patronat medialny: Zaczytaj się w Krakowie, Kraków Miesięcznik, www.miesiecznik.krakow.pl

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zając, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Waldemar Smolski, Kraków
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna,Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Nie chcieliśmy lepiej

Kinga Strzelecka-Pilch

Zdjęcie: Jacek Poremba

Kiedy wróciliśmy z pewnego wieczoru promocyjnego do domu, w *Trzecim Dzienniku* powstał taki oto wpis: „Najpierw w ciszy zupełnej wnoszą w lektyce Wdowę Po Poecie. Poeta umarł lata temu, ale wdowa dalej w wytwornej żałobie; wiadomo, żałoby w Polsce trwają długo, niektórzy mówią: żałoby w Polsce trwają wyłącznie. (...) Linoskoczki, a raczej znawcy biografii poety, wesołym krokiem linoskoczków ku podium zmierzają i Wdowie grzecznie się skłoniwszy, sztuki zaczynają pokazywać. Najprzód pierwszy drugiego pod niebiosa wychwala za biografię poety, którą ten, nie stroniąc od epizodów i chwil trudnych, napisał i ogłosił – dziękuje. Potem drugi pierwszemu za wychwalanie jego niestroniącego od epizodów i chwil trudnych dzieła – dziękuje. Potem pierwszy dalej chwali, drugi dalej dziękuje, potem znowuż to samo. Potem pierwszy rękę w górę podnosi i krzyczy: »Ta ręka się z nim witała!«. A drugi: »A ta go macała!«. I swoją prawicę ukazuje. (...) Było biografistów wielu, ale żaden tak udanie nie zmierzał do celu; żaden nieboszczykowi tak czule zębów nie policzył; Wdowie nie wygarnął, że ciężko pierniczy...”.

Mogłabym napisać, że tęsknię. Że kiedy kogoś wspominamy, to najczęściej siebie. Że moje koleżanki rodzą dzieci i biorą śluby, a ja mam już miejsce na cmentarzu. Mogłabym napisać, że jest mi ciężko, że to niesprawiedliwe, że za wcześnie, że niespodziewanie, że tyle bólu i cierpienia. Że byłeś dzielny, nie narzekałeś, pracowałeś codziennie przy swoim ogromnym biurku i to dobre było i dawało siłę. Mogłabym napisać, że mieliśmy tylko siebie, że twoje tak było moim tak. Nie oczekiwaliśmy cudów, tylko spokojnego wieczora przed telewizorem, leniwego pogadywania, leniwych spojrzeń. Nic nie musiało się dziać. Mogłabym napisać, że nie wyobrażam sobie jutra. Że pierwsza książka naszego wydawnictwa prawie gotowa, na horyzoncie widziałeś kolejne. Że chciałeś i mogłeś. Że chodziłeś od dwóch miesięcy, a wózek stał się tylko wygodnym krzesłem. Że w zasadzie go olałeś, wziąłeś na klatę i po prostu z niego wstałeś. Że Twoje rzemiosło, talent, intelekt, poczucie humoru, siła wychodzenia z najgorszego onieśmielały. Mogłabym napisać, że jesteś moim bohaterem, mistrzem i wzorem. Największą miłością. Częścią mnie. Że nie wierzę, a chciałabym wierzyć, że patrzysz na mnie z góry. Że Twój wizerunek był daleki prawdy, ale niczego nie prostowałeś, nikogo nie udawałeś, podsycałeś ogień dla zabawy. Mogłabym przypomnieć, że napisałeś: „Dajcie spokój i nie miejcie złudzeń: ja wiem o was wszystko, wy o mnie nic. To mnie wybitnie uspokaja”. Mogłabym tłumaczyć, że nie byłeś brutalny, tylko szkoda było Ci czasu na udawanie i konwenanse. Że ostatnio polubiłeś zdrowe, koniecznie czerwone koktajle. Nawet jarmuż był okej. Że jeszcze trzy tygodnie temu z zachwytem topiłeś mascarpone do ulubionego tagliatelle z cukinią. Że nauczyłeś mnie pić potwornie mocną liściastą herbatę. Że do tej pory przed śniadaniem parzyłam dwie kawy, a teraz muszę jedną. Że nadal piszę do Ciebie esemesy. Mogłabym napisać, że żałoba ma wiele etapów, że wyparcie miesza się z rozpaczą, rezygnacją, akceptacją, wyrzutami sumienia. Że noszę Twoje swetry. Że tak bardzo Ci dziękuję. Że kiedy patrzę na Twoje okulary, które zostawiłeś na biurku... Że jestem wściekła na los. Że jestem wdzięczna losowi.

Ale powiem tylko – Jurek!, przy świadkach, tak jak 26 maja 2020 powiedziałeś, że zrobisz wszystko, żeby mnie nie zawieść, tak ja obiecuję, że zrobię wszystko, żebyś był ze mnie dumny. Moja miłość wystarczy teraz za nas dwoje.

Kraków

rozstaje
crossroads
association

etnokraków rozstaje

OnEarth
OnAir
OnLine

18 — 22 sierpnia 2020

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

www.etnokrakow.pl

Piotr Lutyński, obraz z cyklu *Nieznany wymiar*, akryl/płótno, 2019